

Mali obywatele, czyli dzieci
na demonstracjach → 18

Taqwacore – wiosna
islamskiego punk rocka → 28

Stoisko z kasetami
– pierwsza praca Nergala → 78

PRZE KROJ

nr 5 (3524), 4 lutego 2013, cena: 3,99 zł (w tym 8% VAT)
www.przekroj.pl

Rozmowa z Marcinem
Kowalczykiem → 6

Odczarować Magika

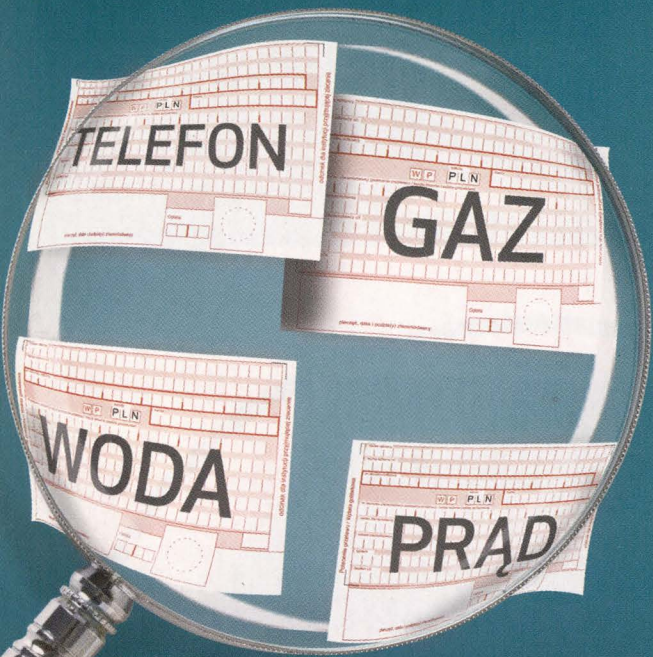
DEKS
1424

ISSN 0033-2488

05 >

„Przekrój” ukazuje się od 1945 roku

Mniejsze rachunki, większy uśmiech!



NOWE KONTO ODDAJE

-10%

za GAZ, PRĄD, WODĘ i TELEFON!

www.credit-agricole.pl

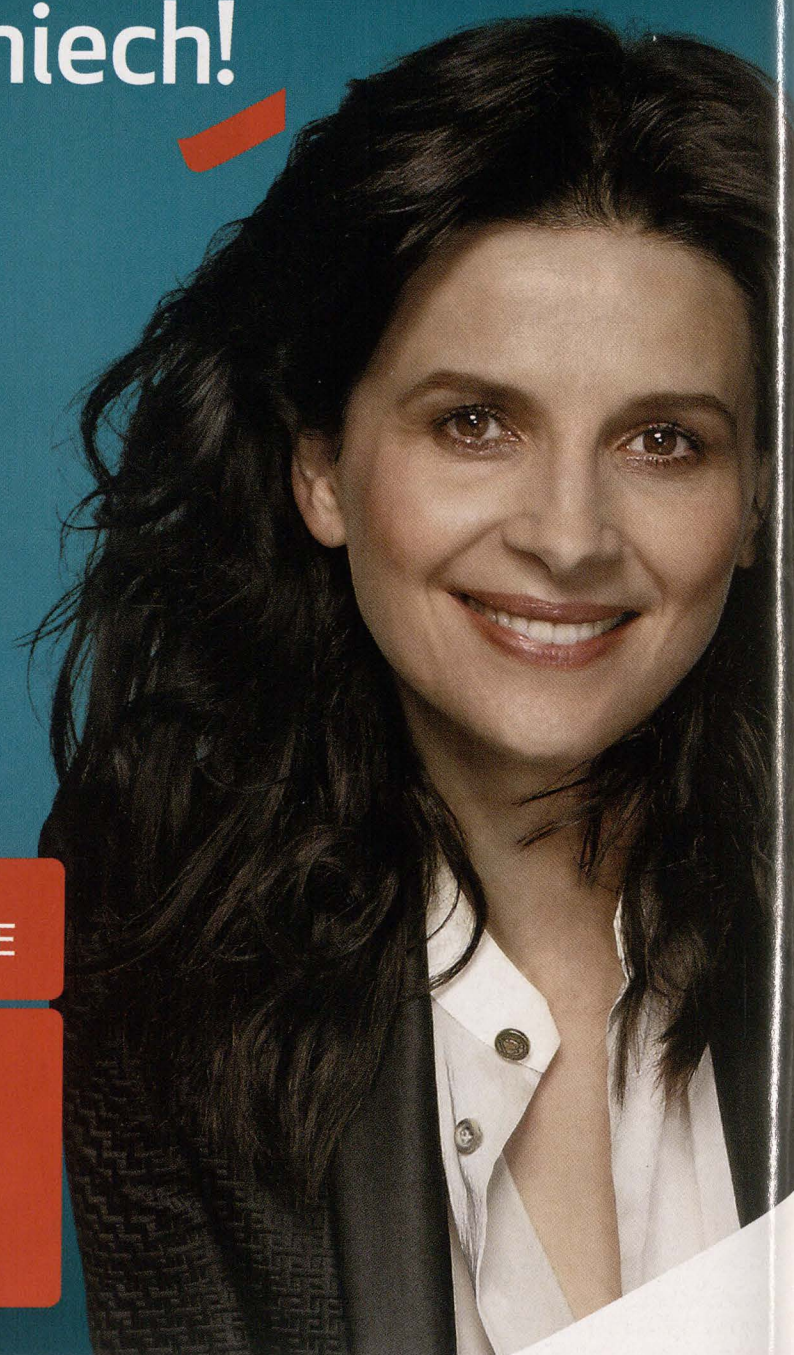
801 33 11 11

koszt wg stawki operatora

Credit Agricole Bank Polska S.A.

CA CRÉDIT AGRICOLE

prosto i z sensem



PRZE KROJ

W tym tygodniu
nie piszemy...

...o posłance Krystynie Pawłowicz, która nie ma dzieci. Jak Ojciec Święty.

...o zamilowaniu naszych polityków do zoologicznych porównań. Polscy posłowie twierdzą, że dwa pingwiny tej samej płci „tego nie robią”. Chyba nie oglądali filmów Herzoga.

...o tym, że debata o związkach partnerskich sprawiła, iż nikt nie zauważył ciekawego posunięcia Sejmu. Przywrócił on Fundusz Kościelny w wysokości 94 mln 300 tys. zł. Po cichu, ale skutecznie.

...o hitach z wiosennych ramówek stacji telewizyjnych. W szczególności o nowym serialu TVN w formacie scripted docu, zatytułowanym „Kocham Enter”. My robimy escape.

...o tym, że pastafarianie mają problem z rejestracją Kościoła latającego Potwora Spaghetti. Kto się boi Gargamela, niechaj zaraz idzie spać.

...o zemście Chin na redakcji „New York Timesa”. Po tym jak gazeta napisała o gigantycznym – i ukrytym – majątku premiera tego państwa, padła ofiarą chińskich hakerów, którzy miesiącami inwigilowali jej dane. Bo władze Chin lubią wiedzieć.

...o tym, że uwielbiane przez nas gdańskie wydawnictwo słowo/obraz terytoria ogłosiło właśnie upadłość. To już kolejne wydawnicze bankructwo – niedawno zwinął się Świat Książki. Pora umierać.



ZUZANNA ZIOMECKA

Nasza prawica utrzymuje, że związki partnerskie, aborcja i in vitro to tematy zastępcze w stosunku do znacznie ważniejszych wyzwań gospodarczych. Co za absurd. To tak jakby powiedzieć, że lepiej zająć się szukaniem odnawialnych źródeł energii niż zbieraniem śmieci pod nogami. Tworzenie godnych ram prawnych dla funkcjonowania istniejących związków tysięcy Polaków jest kwestią uprawnienia jednej ustawy. Znalazienie odtrutki na rosnące bezrobocie i emigrację młodych ludzi za chlebem, jak wylicza Krzysztof Szczerski z PiS, to faktycznie ważne sprawy dla wszystkich, ale wymagające najpierw znalezienia rozwiązania, a następnie zaimplementowania go z nadzieją, że zadziała. Biorąc pod uwagę rozchwianie ekonomiczne całej Europy, mamy małe szanse na to, że to akurat my wymyślimy rewolucyjny sposób, by rozwijać gospodarkę. Tymczasem ustawy (sztuk trzy) chroniące interesy partnerów były już na stole i są oparte na rozwiązaniach, które na Zachodzie działają od lat (str. 24). Ryzyka, że nie dadzą pożądanego skutku, nie ma. No, chyba że pożądanym efektem jest homogeniczne społeczeństwo udające, że wszyscy jesteśmy wesołymi konserwatystami... Rozumiem, że dla prawicy, pod którą ustawione jest status quo, tematy dotyczące mniejszości seksualnych lub par niedecydujących się na małżeństwo są nieistotne. Tak samo jak dla rodziców lęki, pytania lub potrzeby dzieci potrafią być niewygodne, błahe lub niezrozumiałe. Jednak w odróżnieniu od słabego dobrego rodzica pochyla się ze zrozumieniem nad innym, mniej wpływowym człowiekiem, nad którym ma władzę, i dostarcza mu tego, czego potrzebuje, by się rozwijał (str. 18). Odpłaca się takiej władzy szacunkiem i dialogiem. To relacja partnerska (ahem!), do której warto dążyć.



MARCIN PROKOP

Jarosław Gowin jaki jest, każdy widzi. Bo poseł nigdy nie krył się ze swoimi konserwatywnymi poglądami. Można się z nim zgadzać lub nie, ale trudno odmówić mu niezłomności. Dlatego kiedy zagłosował przeciwko związkom partnerskim, trudno mi było zrozumieć nie tyle jego decyzję, ile rwetes podniesiony przez tych, którzy nagle poczuli się nią zaskoczeni. A czego się spodziewali? Dopiero po chwili dotarło do mnie, że przecież żyjemy w kraju, w którym spójność poglądów, po dowolnej stronie barykady, jest zjawiskiem niemal niespotykanym, więc nie bardzo potrafimy je obsłużyć. Nie jesteśmy Szwecją, w której temat ludzkiego prawa do różnych odmian miłości i rodzicielstwa już dawno został skutecznie przepracowany (str. 24). Niestety, normę u nas stanowią ci, którzy z jednej strony wielce troskają się o psychikę i dobrostan dziecka (str. 18), które miałyby być wychowywane przez dwójkę gorszących pedałów, a z drugiej przymykają oko i ucho, kiedy dziecko za sąsiedzką ścianą jest katowane przez zamrozonego wódką ojca, molestowane przez katechetę albo narażone na słuchanie faszystujących bredni wygłaszanych przez indywidua z profesorskimi tytułami. To ja już od tak rozumianej troski wolę Gowina. Przynajmniej jest konsekwentny.

FRANCISZEK MAZUR (2)

NA POCZĄTEK

RACZKOWSKI



~ M. RACZKOWSKI

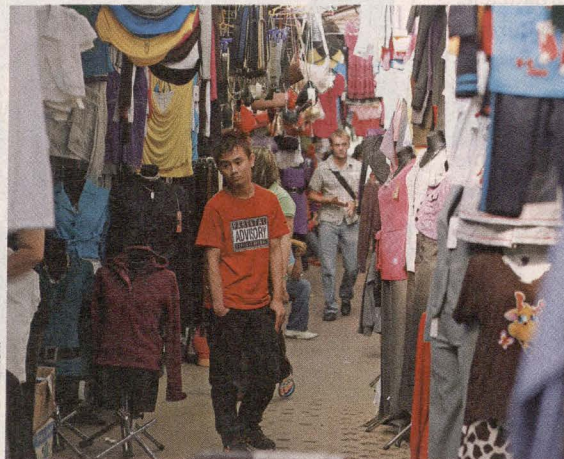
Promocja „Oszczędzam na rachunkach” trwa w terminie 12.01-28.02.2013 r. Warunkiem udziału w promocji jest otwarcie konta w pakiecie Konto PROSTOoszczędzające PLUS lub Konto PROSTOoszczędzające PREMIUM, złożenie wniosku o debetową kartę płatniczą oraz deklaracja stałych wpływów na konto (min. 100 zł miesięcznie). Klient otrzyma premię promocyjną w postaci oprocentowania specjalnego części środków, na rachunku bieżącym konta osobistego wynoszącego 12,35% dziennie (10% netto), przez 5 mies. od momentu przystąpienia do promocji przekazywanych na rachunek po wykonaniu transakcji wskazanych w regulaminie promocji. Maks. łączna kwota odsetek promocyjnych nie może przekroczyć 246,92 zł (200 zł netto). Szczegółowe warunki uczestnictwa oraz zasady promocji znajdują się w regulaminie „Oszczędzam na rachunkach” dostępnym w placówce bankowej i na www.credit-agricole.pl. Materiał ma charakter informacyjny i nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 kc.

AKTUALNOŚCI

- 6 → **MARCIN KOWALCZYK** Schizofrenia przed kamerą
Z odwrotą roli Piotra Łuszczka w „Jesteś Bogiem”
rozmawia Monika Brzywczy
- 16 → **TECHNOLOGIE** Pierścień Google’a Aleksandra Stanisławska

GRUBE SPRAWY

- 18 → **RODZICE MÓWIĄ** Mamo, tato, co to jest związek partnerski? Opinie zebrały Zuzanna Ziomecka i Monika Brzywczy
- 24 → **ZWIĄZKI PARTNERSKIE** Miłość nie jest chorobą Z Barbro Westerholm, posłanką do Riksdagu, rozmawia Mike Urbaniak
- 28 → **ZJAWISKO** Islamski punk rock Ewa Kaleta wyjaśnia, kto wymyślił hasło „Taqwacore”



- 32 → **UCHODŹCY** Wietnamczyk śni o Ba Lan Julia Wizowska
- 36 → **SPORT** Futbol miłości Polscy i irlandzcy kibice trzymają się razem – Michał Kołodziejczyk
- 40 → **KSIĄŻKI 2.0** Biblioteki przyszłości Dominika Kaźmierczyk
- 44 → **MIASTA** Detropia Dzięki sztuce Detroit znów się odradza, przekonuje Karolina Sulej

KULTURA

- 50 → **TEATR** Wizjoner teatru Mike Urbaniak przypomina sylwetkę twórcy Teatru Polskiego

RACZKOWSKI



- 56 → **MUZYKA** Happy hardcore Podział na gatunki jest dzisiejszej muzyce niepotrzebny – przekonuje Patryk Chlewiński
- 60 → **MUZYKA** Biedota jest dobra na wszystko O wytwórni wydającej muzykę na kasetach pisze Dominika Węclawek
- 64 → **FILMY** Harvey Weinstein, czyli jak zostać królem Oscarów Jan Mirosław o oscarowym wyścigu zbrojeń
- 66 → **MUZYKA** Nierozważny i romantyczna Angelika Kucińska
- 68 → **LITERATURA** Dużo mięsa, mało lukru Hanna Rydlewska
- 69 → **PO-PATRZ** Czarny kot Kuba Dąbrowski

ROZMAITOŚCI

- 70 → **ZJAWISKO** Uwarzeni Piwną rewolucję, która opanowała Polskę, opisuje Beata Drewnowska



- 74 → **GRY** Cyberwojna wylewa się na ulice Miejskie podchody wypróbowała Marianna Saska
- 78 → **PIERWSZA PRACA** Spowiedź galernika Z Adamem Darskim „Nergalem” rozmawiają Bartosiak & Klinke
- 80 → **WINO** Ani słowa o winie Wojciech Bońkowski

FELIETONY

- 23 → **MARIUSZ ZIOMECKI** Weźmy wreszcie rozwód
- 62 → **MACIEJ NOWAK** Seweryn by Hupalo

PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI
ul. Prosta 51, 000838 Warszawa,
22 463 03 00, www.przekroj.pl,
e-mail: doredakcji@przekroj.pl

Redaktorzy naczelni:
Zuzanna Ziomecka
Marcin Prokop
Zastępcy redaktorów naczelnych:
Hanna Rydlewska
Monika Brzywczy
(redaktor działu Kultura)
Redaktor działu Grube Sprawy:
Anna Gwozdowska

Redaktor:
Grzegorz Sobaszek
Sekretarz redakcji:
Katarzyna Czamecka
Współpracownicy:
Wojciech Bońkowski,
Kuba Dąbrowski, Mateusz
Farenholz, Angelika Kucińska,
Marta Mach, Wojciech Mikołusko,
Katarzyna Nowakowska, Agata
Napińska, Cezary Polak, Marek
Raczkowski, Marianna Saska,
Karolina Sulej, Stach Szabłowski,
Mike Urbaniak, Jerzy Ziemacki

Projekt graficzny: Magdalena Piwowar
Pracownia graficzna:
Andrzej Figatowski
Fotoredakcja:
foto@przekroj.pl,
Dorota Majka-Czarnocka
Korekta: Ling Brett

Strona internetowa: KRCCMedia.pl
Wydawca: Presspublica sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 000838 Warszawa
Promocja i marketing: Cezary
Piernikowski – p.o. Dyrektora
Marketingu i Rozwoju, Paulina Berska
(p.berska@rp.pl)

Biurowa Reklamy i Ogłoszeń:
Presspublica sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 000838 Warszawa;
tel. 22 629 86 14; 22 621 48 69;
fax. 22 621 46 58; 22 625 61 57;
reklamainfo@presspublica.pl;
Dyrektor Biura Sprzedaży
Korporacyjnej Witold Trzcicki
tel. 22 463 05 53
Dyrektor Działu Agencyjnego
i Magazynów Filip Weichert
tel. 22 463 01 88



PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”

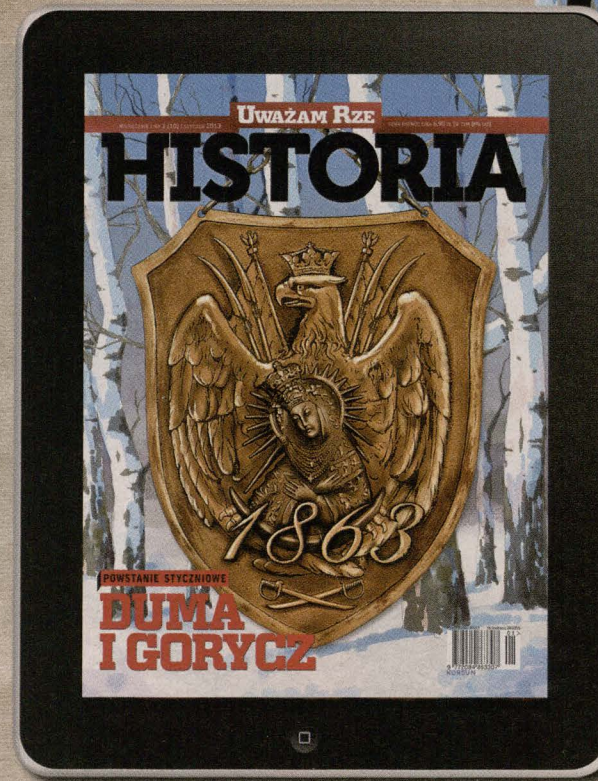
Prenumerata redakcyjna:
Cena prenumeraty 2013 r.:
Roczna: 175 zł, kwartalna: 46,80 zł
Zamówienie na prenumeratę należy
składać e-mailem:
prenumerata@przekroj.pl
Dodatkowe informacje
tel. 800 120 195; 22 463 00 87

Prenumerata kolporterska
Oddziały Ruch S.A., tel. 801 800 803
lub 22 717 59 59 – telefoniczne Biuro
Obsługi Klienta czynne w godz. 7-18,
www.prenumerata.ruch.com.pl,
urzędy pocztowe

Prenumerata na e-Wydania:
www.przekroj.pl, www.sklep.rp.pl,
www.egazety.pl, www.e-kiosk.pl
Dostęp na stronie www i wersji na iPada
Prenumerata na iPad przez App Store:
tydzień – 0,79 €, miesiąc – 1,59 €,
rok – 19,99 €

Prenumerata na Android
przez Google Play: tydzień – 3,49 zł,
miesiąc – 6,89 zł, rok – 78,99 zł
Dostęp do serwisu oraz e-wydania
przez przekroj.pl: tydzień – 2,89 zł,
miesiąc – 8,89 zł, rok – 89,00 zł
Informacje: serwis@platne@rp.pl,
tel. 22 46 30 066

Zdjęcie na okładce:
Kuba Dąbrowski



**Nowy numer w sprzedaży,
a w nim m.in.:**

- Andrzej Nieuważny / Powstanie: głupota czy wielki czyn
- Robert Service / Stryczek dla Lenina
- Zbigniew S. Siemaszko / Anders w kleszczach NKWD
- Sławomir Koper / W alkwie Kazimierza Wielkiego
- Tim Weiner / FBI przeciwko komunie



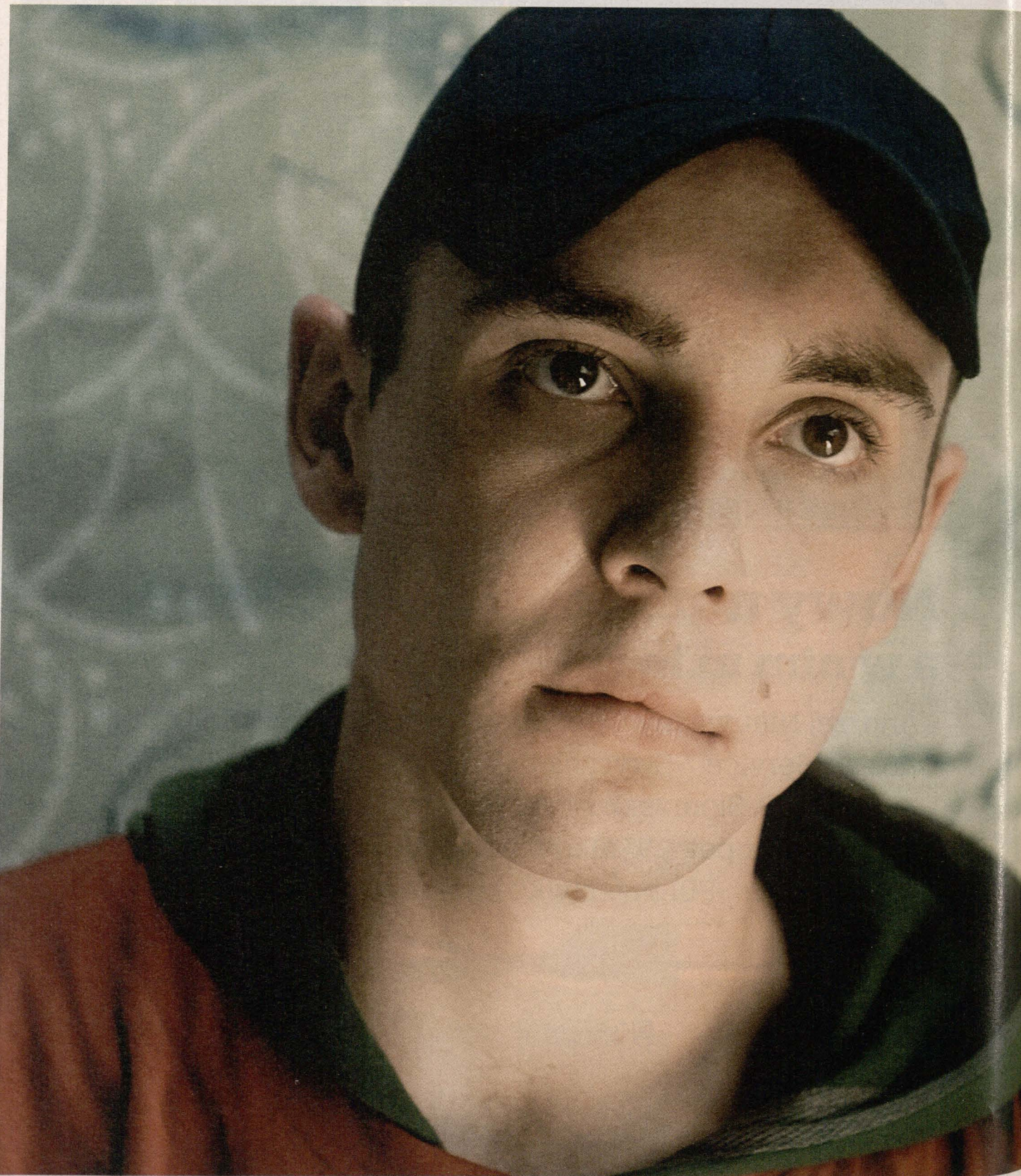
Available on the
App Store



Google play

**POBIERZ APLIKACJĘ
NA SWÓJ TABLET**

www.historia.uwazamrze.pl



ROZMAWIA MONIKA BRZYWCZY

Schizofrenia przed kamerą

O zagranie w „Jesteś Bogiem” **Marcin Kowalczyk** walczył przez prawie rok. Wygrał – bo jak twierdzi – uwierzył, że rola Magika należy do niego. Zagrał charyzmatycznie, kompulsywnie, blisko prawdziwej postaci. Nam opowiada o tym, jak to było wejść w skórę Magika i ile czasu zajęło mu wychodzenie z roli, która przyniosła mu popularność i spektakularne nagrody, m.in. Nagrodę im. Zbyszka Cybulskiego, którą właśnie odebrał, a także o swoim pojmowaniu aktorstwa i ideale współpracy z reżyserem.

Jak to jest być Magikiem?

Dziwne uczucie. Surrealistyczne. Z jednej strony wkręca, z drugiej bardzo uważałem, żeby nie zostać odebrany jako ten, który się podszywa. Bo kręciliśmy w Katowicach i na osiedlu Magika.

Ale nie w bloku Magika, bo on akurat został wyremontowany.

Tak, dokładnie, właśnie ten jeden jedyny w całej okolicy został odmalowany. Więc pokój Magika przenieśliśmy do bloku obok. Miejsca były oryginalne: osiedle, Katowice, te same ulice, te same kluby. Poruszanie się tam w stroju, w roli było dla mnie trudne, niezręczne, ale korzystałem z tego. Poza tym szybko wyczułem, że Fokus, Rahim czy rodzice Magika zaufali mi, widzieli, że nie chcę

się podszywać, tylko opowiedzieć tę historię. Z jednej strony grać Magika, z drugiej być aktorem, który go gra, to ciężkie, ale przede wszystkim fascynujące doświadczenie. Bo Magik był bardzo magnetyczną osobowością.

Castingu do roli Piotra Łuszcza podobno było mnóstwo. Przygotowywałeś się jako szczególnie? Powiedziałaś w jednym z wywiadów: „Zrobiłem wszystko, żeby dostać tę rolę”.

Wyjęte z kontekstu, to zdanie brzmi raczej okropnie. Chodziło mi o to, że się nie poddałem. Bo gdy startujesz do roli, ważne jest, żeby być przekonany, że to się uda. Ja sobie tak założyłem, że to jest moje. Celowo. Że to właśnie ja chcę tę historię opowiedzieć. I jeżeli reżyser

Marcin Kowalczyk: „Magik się bujał! Miał coś takiego, że jak tylko słyszał muzykę, to się kiwał. Stąd to moje „rozbijając Magika”. Czyli rozhulać w sobie postać na tyle, żeby nie było różnicy między tym, kiedy gram i kiedy nie gram”.



też tak uzna, to się spotkamy. Łatwo poddać się wątpliwościom. Bo jak już mówisz: „Ale może to nie ja, może ktoś to lepiej zagra”, tracisz wiarę. Dołożyłem wszelkich starań, żeby tego nie odpuścić.

Co konkretnie zrobicie?

No, upominałem się, dzwoniłem do agencji, pytając, czy są castingi, kiedy i gdzie mam się stawić. Przygotowałem się do nich. Zacząłem od przeczytania książki Maćka Pisuka, w której jest scenariusz, i od tego momentu próbowałem się dowiedzieć, czy film rzeczywiście będzie powstawał. A poza tym zarapowałem najlepiej jak umiem. Nie wycofywałem się. Dziesięć czy dwadzieścia razy przyjechałem do Warszawy. W końcu wygrałem casting aktorski, ale potem jeszcze długo Leszek (Dawid, reżyser – przyp. red.) nie był pewien, szukał naturšczyków do tej roli. To wszystko trwało długo, ponad rok. Potem zaproszono mnie na kolejny casting.

To rzeczywiście była ciężka robota, dostać tę rolę!

Ale warto było. Trzeba było stworzyć zespół, dobrać ludzi, którzy dobrze razem funkcjonują i myślę, że to się udało. Myślę, że gdyby nie Leszek, ktoś inny zagrałby tę rolę. Dał mi szansę, znalazł we mnie ten potencjał, który ja już w sobie widziałem. Znajomość z nim to dla mnie bardzo ważne spotkanie. Leszek jest bardzo uważny. Zaimponowało mi, że nie grał reżysera, tylko nim był. Otworzył się! Dla mnie to warunek podążać za reżyserem i mu po prostu ufać, otwierać się przed nim, jeśli on coś ukrywa. Jak gramy, to w otwarte karty. Na razie spotykam tylko takich, którzy chcą współtworzyć, a nie robić własny film. Są aktorzy, którzy lubią być prowadzeni, podążać za kimś. Ja tak po prostu nie potrafię. (śmiejch)

Castingi to niezwykle trudna rzecz, ale też zabijasty trening. Bo jesteś zobligowany, żeby pokazać innym to, co ci się wydaje, że masz.

Jak konkretnie wyglądał casting, jakie były zadania?

Najpierw poproszono nas, żebyśmy zarapowali. Dopiero potem były sceny.

I potrafię? Skąd?

Słuchałem Paktofoniki i Kalibra już w 1999 i 2000 r.

Byłeś hiphopowcem?

Nie. Byłem małym chłopcem. Jeździłem na desce czy na rolkach, nosiłem szerokie portki, ale na uszach miałem Toma Waitsa, Kalibra, 2Paca czy Queen (śmiejch). Polski rap, poza Kalibrem i Paktofoniką, nigdy do mnie nie trafiał, pachniał mi ściemną. A Kaliber i Paktofonika niczego nie udawali. Pojechali prawdą, i to w tak wysublimowany sposób, że, no wiesz, zachwył sięś! Więc zanim poszedłem na casting, przypominałem sobie ich kawałki i zacząłem układać własne.

Spróbujesz coś zarapować?

Jasne: Życie-faza, faza-życie, zły ma wolne, bo w złego już nie uwierzycie, nie walczycie, bo nie widać wroga, to dopiero trwoga, moda na sukces receptą na pustkę, bracie, dziś w wielkim formacie atakuje ściema, nie ma, nie ma, nie ma, nie ma komu poprzebierać w śmieciach, nie ma, nie ma... To np. powstało na planie.

Nieźle! A co poczułeś, gdy dowiedziałeś się, że jednak dostałeś tę rolę?

Ułgę. Pamiętam, że Leszek zadzwonił do mnie i powiedział, że ruszamy w tę przygodę razem, że zaprasza... No to ja, że dziękuję i się cieszę. I już. Ale to nie było zaskoczenie, tylko ulga, że w końcu. Chciałem to już wiedzieć, żeby się dobrze przygotować do roli. Żeby mieć czas, skoncentrować się. Że albo to robię, albo się przygotowuję do dyplomu w szkole. Ale stało się tak, że i film, i dyplom zrobiłem. To był bardzo intensywny rok. Ten 2011.

Zadecydowały podobno dwie rzeczy: fizyczne podobieństwo do Magika, ale i twoja wrażliwość...

Wiadomo, że wszyscy aktorzy są wrażliwi, empatyczni... Przynajmniej tak powinno być. (śmiejch)

To była twoja pierwsza duża rola filmowa, pierwszy plan. Miałeś jakieś obawy?

Plan filmowy był dla mnie miejscem tajemniczym. Marzyłem, żeby na nim być, żeby go zobaczyć od środka. Jak tylko widziałem jakiś na mieście, to się przyglądałem. Bo interesowało mnie nie tylko aktorstwo, ale film sam w sobie, praca kamery i reżyseria. Nawet myślałem przez chwilę o operatorce. I kiedy przyszedłem na plan „Jesteś Bogiem”, musiałem się zmusić, żeby skupić się wyłącznie na roli. I na przykład nie brać ze sobą aparatu fotograficznego...

A miałeś taką pokusę?

Tak, oczywiście. Chciałem to wszystko udokumentować. Początkowo podglądałem też operatora, jak pracuje, co zmienia. Zastanawiałem się, czy zrobiłbym podobnie, czy inaczej, ale szybko musiałem z tego zrezygnować i skupić się na swojej robocie. Zwłaszcza że wszystko nabierało szaleńczego tempa: zdjęcia uciekające, potem ciąg dalszy wiosną, z przerwami na spotkania z rodziną Magika i jeżdżenie z chłopakami na koncerty.

No właśnie, jak to wyszło? Jak oni, rodzina, koledzy reagowali?

Superprofesjonalnie i otwarcie. Bardzo przyjemnie się zachowywali. Nie próbowali nas odstraszyć ani weryfikować.

O czym gadaliście?

O wszystkim. Wpadaliśmy do nich na koncerty, na backstage. Dawid i Tomek (Ogrodnik i Schuchardt – przyp. red.) ich podglądali, żeby jak najwięcej z nich załapać. Wchodziliśmy w świat hiphopowców.

Podobno Rahim i Fokus uczyli was rapować?

Podczas postsynchronów Rahim dzielił się uwagami. Były ważne i pomocne.

Fajnie, że mogliście potem na spokojnie dograć dźwięk...

Ideałem byłoby zrobić gotową setkę. Ale to jest nierealne albo raczej megatrudne.



MARCIN KOWALCZYK

Urodzony w 1987 r. w Krakowie, aktor filmowy i teatralny. Absolwent Szkoły Teatralnej w Krakowie. Zagrał w spektaklu dyplomowym „Babel 2” (nagroda aktorska na XXIX Festiwalu Szkół Teatralnych w Łodzi) wyreżyserowanym przez Maję Kleczewską i „Klubie polskim” wystawionym przez Pawła Miśkiewicza w warszawskim Teatrze Dramatycznym. Za rolę w „Jesteś Bogiem” otrzymał nagrodę za debiut aktorski na festiwalu w Gdyni i nagrodę im. Cybulskiego dla młodych polskich aktorów wyróżniających się wybitną indywidualnością. W 2013 r. zobaczymy go w debiucie fabularnym Krzysztofa Skoniecznego „Hardkor Dysko”.

Jesteś perfekcjonistą?

W życiu nie, ale w pracy raczej tak. Fajnie jest mieć tyle czasu, żeby wszystko dopracować, nie wypuszczać czegoś, z czego nie jesteś do końca zadowolony.

Bardzo wzruszająca, ale i trudna była ta scena, kiedy a capella śpiewasz na klatce schodowej...

Trudna? Nieee! Fantastyczna scena. Pierwotnie to nie był „Plus i minus” tylko „Usłysz mój głos”, ale to jakoś mi nie pasowało. Zaproponowałem zmianę. Ta scena miała wielki potencjał emocjonalny. I fajnie go było nie wygrywać, nie podkreślać, tylko zrobić to naturalnie, ot tak, jakby ktoś podzielił się czymś, a potem tym zawstydził.

Która scena filmu jest dla ciebie tą najmocniejszą?

Zapamiętam na długo moment, który w ogóle nie wszedł do filmu. Kręciliśmy sceny koncertu w Spodku. Mnie już w nich nie było, z wiadomych przyczyn. Ale towarzyszyłem chłopakom i jeden kawałek zarymowaliśmy wspólnie: Fokus, Rahim oraz Dawid, Tomek i ja. To były „Chwile ulotne”. Każdy swoją zwrotkę. I to był megamocny moment.

Z Dawidem Ogrodnikiem i Tomkiem Schuchardtem znacie się od lat. Studiowaliście razem. Łatwiej się wam dzięki temu pracowało? Podobno wspólnie wkręcaliście się w temat...

No pewnie! Odcieśliśmy się od świata i staraliśmy się połączyć świat planu ze światem zespołu. I na planie na bieżąco tak się tym bawić, żeby nam to pomagało. Uwielbiam pracę z chłopakami. Już kilka razy zdarzało nam się coś razem robić. Dobrze nam to wychodzi.

W jednym z wywiadów powiedziałeś, że starałeś się „rozbujać w sobie Magika”.

Jak to się robi?

Magik się buja! Miał coś takiego, że jak tylko słyszał muzykę, to się kiwał. I napisał nawet o tym: „Bujanie konika Magika/To nie filatelistyka/Czy numizmatyka?”. To bujanie mi zostało. Bo to jest organiczne, tylko mało kto so-

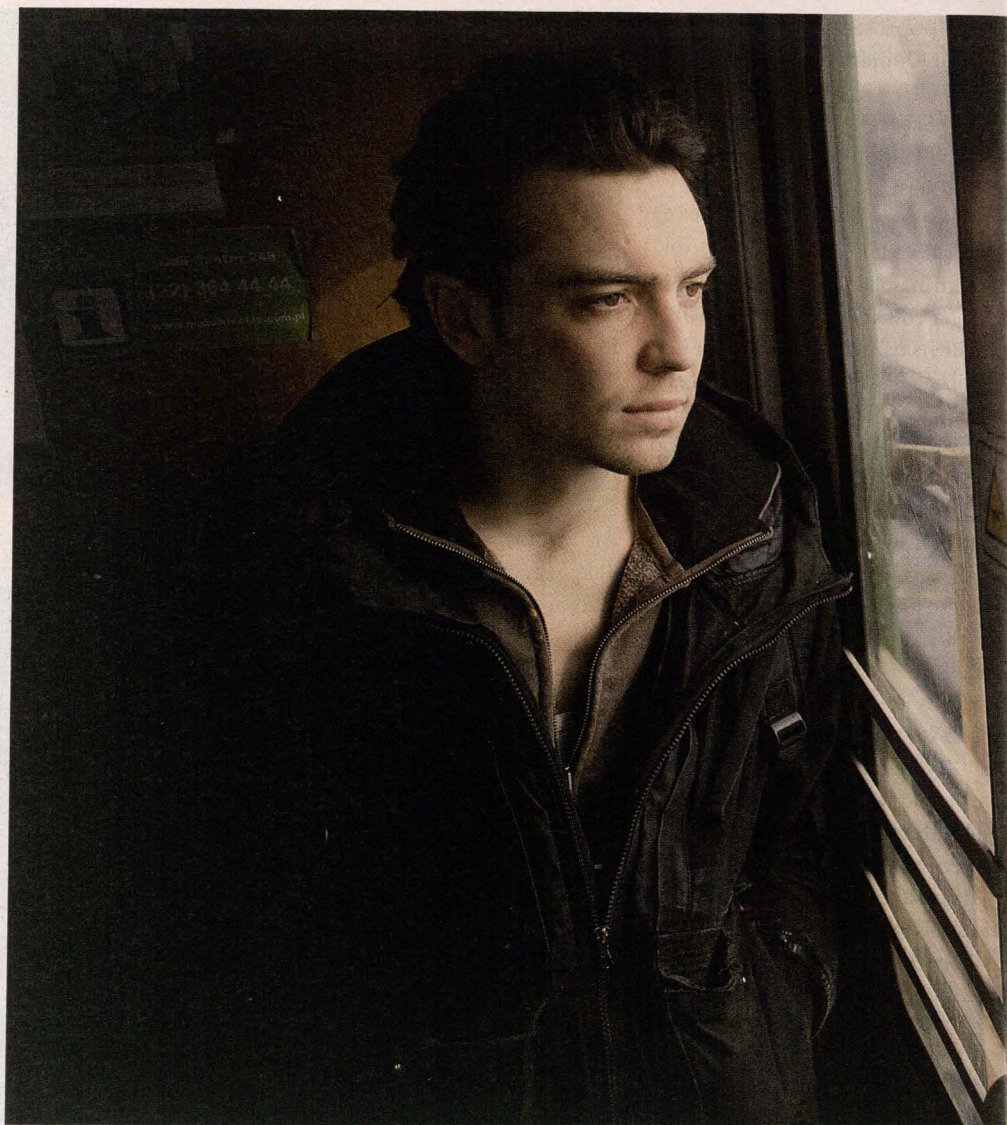
bie na to pozwala. Ale jak masz gdzieś, co ludzie pomyślą, a on miał to gdzieś, to to po prostu robisz. Muzyka cały czas w nim była. Tworzył. Słuchał. Rano wstawał, chłopaki jeszcze spali, budzili się, a on już stał na balkonie z petem, słuchawkami i się bujał. Stąd to „rozbujac Magika”. Czyli rozhulać w sobie postać na tyle, żeby nie było różnicy między tym, kiedy gram i kiedy nie gram.

Metoda Stanisławskiego jest ci bliska.

To takie marzenie o amerykańskim aktorstwie. (śmiej) Nigdy nie miałem okazji tego wypróbować, tu zaryzykowałem, bardziej intuicyjnie niż podręcznikowo. Czuję doskonale, co jest mi potrzebne do zrealizowania celu, więc staram się to sobie zapewnić. Dostać specyficznie się ze mną pracuje. Aktorstwo mi sprawia trudność, tak to pewien rodzaj... trudności. I cały czas się zmagam, żeby być autentycznym, skupionym (śmiej)... Ciężko być odpowiedzialnym za coś, na co nie masz wpływu. A chciałoby się odpowiadać za cały film, a nie tylko za rolę. Zależy mi na tym, żeby wszyscy zaangażowani strzelali do jednej bramki. Sam nieustannie staram się być autentycznym, skupionym... Więc wykreowanie tej rzeczywistości, uwierzenie w nią jest niezbędne. Jeżeli na planie jesteśmy w stanie poczuć atmosferę kręczonej sceny, a nie planu, to jest to wielki sukces. Wówczas poddajesz się emocjom, a nie je wytwarzasz. Słowem, jestem za tym, żeby kamera podglądała sytuację, które się wydarzają. Chcę opowiedzieć historię, rolę, dać się podejrzeć. Stać się przez chwilę kimś, nie będąc nim. To jest ostra schizofrenia. Ale na tym właśnie polega aktorstwo, przynajmniej dla mnie. I żeby przeprowadzić to w sposób kontrolowany, dobrze jest to sobie ułatwiać. Realizmem.

Żeby uwiarygodnić postać Magika, dokładnie zapoznałeś się ze źródłami. Co z dokumentacji okazało się szczególnie przydatne?

Prywatne wideo. Bo prawie nie ma tych rejestracji: żadnych teledysków Paktofoniki z Magikiem. Jeden koncert zo-



stał nagrany kamerą przemysłową, ale tam widać tylko sylwetki chłopaków z bardzo daleka. Ale to też mi się bardzo przydało, bo widziałem tam zamieszkość Magika na scenie. Jak się buja, jak macha ręką. Ostro! Jest w tym cały i kompletnie nie przejmuje się tym, jak wygląda. To również wykorzystałem. Na wideo domowych na przykład kręci Justynę, czyli swoją przyszłą żonę. Widać tylko ją, ale jego słychać. To też było inspiracją do scen filmu. Lubił kamerę, lubił kręcić. Czuć miłość w samym tym kręceniu. Są też filmy z synem. Bawi się z nim, je.

Takie domowe wideo odmitologizowuje postać, co też jest niezbędne. Pytałem też Rahima i Focusa o takie

momenty, które ich drażniły w Magiku, z którymi się nie zgadzali...

I co mówili?

Że był perfekcjonistą i to bywało wkurzające. Zawsze chciał postawić na swoim. Jak wszyscy wielcy twórcy. Magik właśnie tak robił, nagrywał kawałki po 600 razy. I strasznie upierał się co do tekstów... Był bezwstydnym, otwartym, większość ludzi tak go kojarzy: odciętego, ze słuchawkami na uszach, przemijającego przez osiedla. A w kontaktach z najbliższymi był strasznie ciepły, jak przytulał, to na całego, całym sobą... Jak się uśmiechał, to pełną gębą... Te dwie skrajności to jest to, na czym opiera się jego postać.

Z tego, co opowiadasz, mocno wszedłeś w tę rolę, dużo czasu zajęło ci wychodzenie z niej?

Przygotowywałem się dwa lata. Wiadomo, zostawiasz rolę, zostawiasz kostium. Ale coś tam zostaje. Nagle kończy ci się coś, czym żyłeś przez ostatnie dwa lata. I co dalej? Pół roku było ciężko, czułem się jak po powrocie z dwuletniej wycieczki do Chin. Mam wrażenie, że jest to bardzo naturalne, i liczyłem się z tym od początku.

Zagrałeś kogoś bardzo charakterystycznego, czasem po takiej roli ciężko dostać następną propozycję. Bo jesteś identyfikowany z tą bardzo charakterystyczną postacią. To tak jakbyś zagrał Kurta Cobaina czy Iana Curtisa.

Nie mam ciśnienia na granie dla samego grania. Bardzo nie chciałbym stać się niewolnikiem swojego marzenia o aktorstwie. Ale na brak propozycji nie narzekam, choć nie zawsze do mnie przemawiają. Jak nastanie cisza, to znak, że trzeba wyjść z inicjatywą.

„Jesteś Bogiem” wszedł na ekrany jesienią ubiegłego roku i błyskawicznie stał się hitem, a ty gwiazdą?

Wolałbym to nazwać rozpoznawalnością niż popularnością czy gwiazdorstwem. Staram się od tego uciekać. Nie chcę się w tym pławić. Popularni ludzie są przejebani. Kiedy jesteś zbyt popularny, postacie, które grasz, przestają być wiarygodne.

Aktorstwo mi sprawia trudność, tak to pewien rodzaj... trudności. I cały czas się zmagam, żeby być autentycznym, skupionym – opowiada Marcin Kowalczyk.

Ale zdarza się, że podchodzą ludzie, proszą o autografy...

Zdarza się. Nawet prośby o wspólne zdjęcie. Jak widzę, że komuś zależy... Podpisuję. Obserwować, jak twoja osoba wchodzi w świat wyobrażenia o twojej osobie, to interesujące zjawisko. Pojawił się nawet mój fanpage na FB. Nie ja go założyłem, ale jest. Nie znam dziewczyn, które go prowadzą. Nic tam nie wrzucam ani nie usuwam, bo nie chcę przykładać ręki do kreowania własnego wizerunku.

Podobno nie chcesz grywać w serialach?

Podobno dlatego, że wolę kino (śmiej).

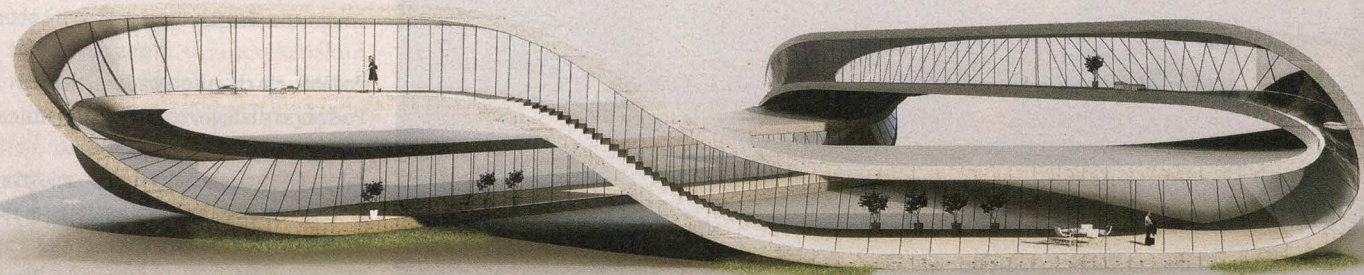
Jak wygląda twoja codzienność – mieszkasz w Krakowie, przesiadujesz tamtejszym zwyczajem w knajpkach, nie spiesząc się?

Owszem. Wolno się tam żyje. Tempo podejmowania decyzji jest zupełnie inne niż np. w Warszawie. I trochę trudno tam zrobić coś z nurtu „dzisiaj”. Na razie dojeżdżam, gdzie trzeba: na zdjęcia, na próby, do Katowic, do Warszawy. Ale genialnie się tam studiowało, szkoła dała mi możliwość spotkania wyjątkowych ludzi. Uczyłem się u Romana Gancarczyka. On jest megamistrzem, bo nie naucza. Szuka rozwiązań z tobą, nie próbując niczego narzucać. Mogłem iść z nim, a nie za nim. O tym zresztą pisałem pracę magisterską. O kształtowaniu młodego aktora: na czym to polega, na czym powinno moim zdaniem. Na obserwowaniu, co z aktora wychodzi, co się z nim dzieje. Paweł Miśkiewicz mówi, że on nie uczy, tylko ośmiela. To dobre podejście. Zauważyć, co aktor ma w sobie unikatowego, niezwykłego, próbować go otworzyć, a nie skłaniać do powielania, robienia kolejnej kopii z kopii.

Dostałeś w ciągu roku dwie ważne nagrody za debiut aktorski w Gdyni i teraz nagrodę im. Zbyszka Cybulskiego. Co dla ciebie znaczą?

Ej, była jeszcze Złota Kaczka od publiczności (śmiej). To tylko utwierdza mnie w tym, że warto, że nie tylko ja sięgam po własne marzenia o filmie, ale innym też to coś daje. 📺

KUBA DĄBROWSKI



UNIVERSE ARCHITECTURE/AFP

HOLANDIA

Dom jak wstęga Möbiusa

Matematyka może być nie tylko piękna, ale i użyteczna – przekonują holenderscy architekci. Zaprojektowali dom mieszkalny, który „zacieśnia granicę między wnętrzem i światem zewnętrznym”. Wygięte ściany, podłoga i dach tworzą jedną wstęgę. Nowatorski ma być również sposób „produkcji” tego domu. Architekt Janjaap Ruijsenaars oraz matematyk Rinus Roelofs chcą, by był on... wydrukowany. Taką możliwość dają tzw. drukarki 3D tworzące trójwymiarowe obiekty przez nakładanie tworzywa sztucznego warstwa po warstwie, tak jak drukarki atramentowe. Do wykonania tak dużej konstrukcji jak dom potrzebna jest jednak nietypowa drukarka. Holendrzy skorzystają z drukarki D-Shape pozwalającej na tworzenie kilkunastometrowych elementów. Później zostaną one sklejone cementem. Budynek ma powstać w przyszłym roku. Koszt – między 5 a 6 mln dolarów. → Piotr Kościelniak



JAROSŁAW KUBALSKI/AGENCJA GAZETA

POLSKA

Polowanie w Narodowym

W Muzeum Narodowym w Kielcach otworzyła się kontrowersyjna wystawa. Nie obraża niczyich uczuć religijnych ani nie promuje „jałowych związków”, za to prezentuje wypchane zwierzęta. Po protestach prozwierzęcej fundacji Viva wystawa nabrała rozgłosu. „Zwierzęta i kontynenty” to nowa ekspozycja stała, która powstała dzięki darowiźnie polskiego biznesmena i myśliwego, Władysława Kamusińskiego. Przekazane przez niego zwierzęta to myśliwskie trofea z Europy, Afryki i Azji. Wśród nich znajdują się rzadkie gatunki, takie jak nosorożec, bawół afrykański czy lampart. Muzeum wskazuje na edukacyjny walor wystawy, jej krytycy twierdzą zaś, że to jedynie lekcja okrucieństwa. Zgadnijcie, czy ją stronę trzymamy. → Barbara Zaborowska-Czajka

TAJWAN

Przezroczysta komórka

Tajwańska firmy Polytron Technologies stworzyła kolejny prototypowy gadżet. Tym razem jest to prawie całkowicie przezroczysty telefon komórkowy. Prawie, bo przez plastikową obudowę widać elementy elektroniczne, kartę pamięci i podzespoły kamery wideo. Serena Chen z Polytron zapewnia, że telefon trafi do sprzedaży pod koniec tego roku. Po co komu przezroczysta komórka? Na pewno odpada problem patrzenia pod nogi przy pisaniu smsów na spacerze. Z drugiej strony – jak już się gdzieś zawieruszy, to na pewno go nie znajdziemy. → peka

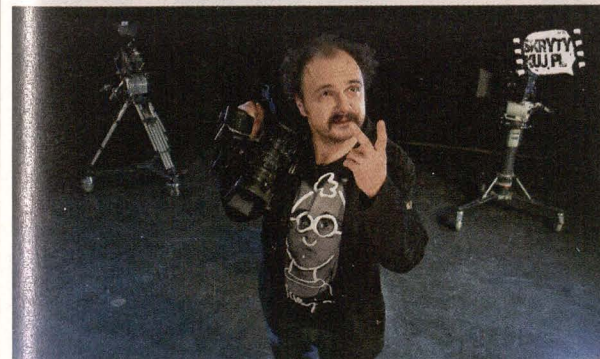


MAREK DĄBROWSKI

SIEĆ

Nowa przestrzeń do rozmów o filmie

Ruszyła nowa edukacyjna kampania Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Adresowany do młodzieży projekt „Skrzytykuj!” opiera się na platformie blogowej, służącej do wymiany opinii na temat obejrzanych filmów. PISF znany jest z nietypowych rozwiązań, dzięki którym dociera do różnych grup odbiorców: w szkołach upowszechniał klasykę kinematografii poprzez bezpłatne pakiety filmów w ramach FilMOTEKI Szkolnej, a studenci mogą Akademię Polskiego Filmu zaliczyć jako przedmiot ogólnouniwersytecki. Projekt korzysta z nowych środków przekazu: ma fanpage na Facebooku („Film się nie urwał”) i kanał „Skrzytykuj!” na YouTube. Oprócz pisania recenzji, autorzy strony zachęcają do robienia filmowych memów. Czym jest mem? Starszym może przypominać kolaż: kilka zestawionych zdjęć i komentarz w postaci doklejonych napisów. Memy można wysyłać do znajomych albo brać udział w konkursie. Jednym z nagrodzonych obrazków jest kadr z filmu z Bradem Pittem z podpisem: „Ja uwielbiam ją, ona tu jest i tańczy dla mnie”. Dlatego jeżeli masz więcej niż 18 lat, powinieneś się zastanowić, czy jest to miejsce dla ciebie. → bzc



KURT VONNEGUT SINOBRODY



SIEĆ

Oceniaj po okładce!

„Kupiłbym tę książkę, gdyby nie okładka” to strona na Facebooku, którą w siedem dni polubiło ponad 2,5 tys. osób. Choć istnieje powiedzenie „Nie oceniaj książki po okładce”, to w obliczu niektórych horrorów wydawniczych trudno jest się z nim zgodzić. Czasami książki są tak brzydkie, że ludzie oklejają je papierem pakowym, żeby nie wstydzić się publicznej lektury. W konkurencji na najgorszą okładkę wygrywa seria książek Kurta Vonneguta wydawnictwa Albatros ex aequo z wydawnictwem Rebis i jego opracowaniami dzieł Philipa Dicka. Najgorsze ilustracje prawie zawsze nie mają nic wspólnego z książką – na przykład „Śniadanie mistrzów” ilustruje zielony ufoludek jadący w czerwonym kabrioletcie. Można podejrzewać, że nie nastąpiło nagłe pogorszenie gustu wydawców, tylko zwyczajnie zaczęto obcinać budżety na dobrych grafików. → bzc

STANY ZJEDNOCZONE

Prosimy nie wyłączać telefonów

Używanie telefonu w teatrze to obciach? Nie w Providence Performing Arts Center. Władze tej szacownej instytucji wręcz do tego zachęcają. Ci, którzy usiądą w specjalnie oznaczonych fotelach, mają prawo do zabawy smartfonami do upadłego. I do tego dostaną darmowy bilet. Warunek jest jeden – muszą skorzystać z Twittera i opisać fragmenty spektaklu, muzykę, aktorów, kostiumy. Powinni się też posłużyć odpowiednimi tagami. W ten sposób teatr ma reklamę, a użytkownicy smartfonów nie muszą rozstawać się ze swoim ulubionym gadżetem nawet na sekundę. Wcześniej PPAC pozwolił na korzystanie z Twittera aktorom za kulisami. Na podobne ustępstwa wobec technologii szykuje się też podobno Huntington Theater w Bostonie. → peka

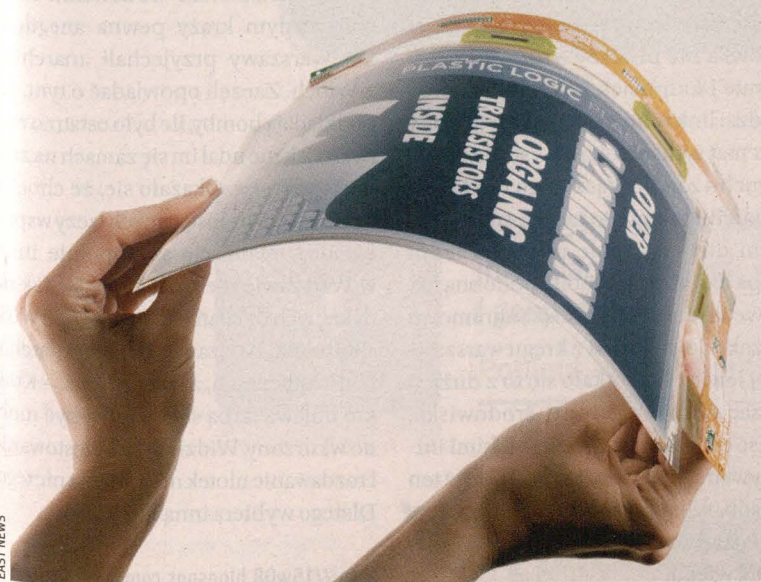


PATRICK KOVARIK/AFP

STANY ZJEDNOCZONE

Zwiń sobie tablet

To na razie tylko prototyp, ale pokazuje, jaką przyszłość mają przed sobą tablety. Plastic Logic, Queen's University i Intel zaprezentowały projekt elastycznego komputera PaperTab. Wyglądem i w dotyku przypomina papier. Ekran ma przekątną 10,7 cala, a całość działa dzięki Intelowskiemu procesorowi i5. – W ciągu 5–10 lat większość komputerów, od ultrabooków po tablety, będzie wyglądała właśnie tak jak arkusze papieru – mówi Roel Vertegaal z Human Media Lab w Queen's University. Prototyp na razie jest czarno-biały, a do działania wymaga elektrycznych taśm wpiętych do komputera. Ale Plastic Logic pracuje już nad elastycznym kolorowym ekranem. Podobne ekrany pokazywał podczas CES 2013 również koreański Samsung. Niewykluczone, że to właśnie Koreańczycy będą w tym wyścigu pierwsi. Naukowcy z tego kraju skonstruowali bowiem elastyczną baterię polimerową, która może służyć do zasilania elastycznych gadżetów. → peka



EAST NEWS

BARBARA ZABOROWSKA-CZAJKA

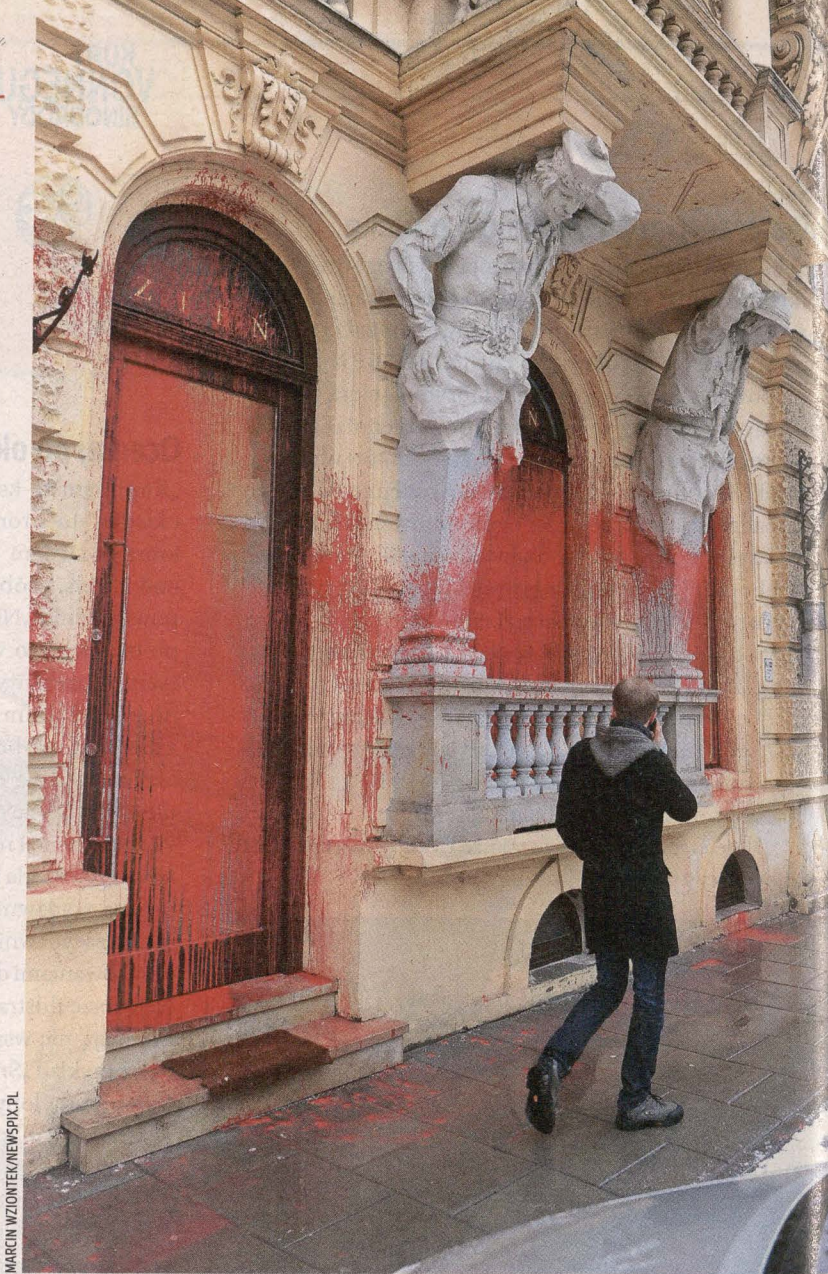
15W08

Kolejny elegancki lokal przy ulicy Mokotowskiej w Warszawie stał się obiektem ataku tajemniczej grupy. Witryny butiku projektanta mody Macieja Zienia zostały oblane czerwoną farbą. Wcześniej zniszczono siedzibę Lilou oraz Lion's House. Wygląda na to, że to nie jest czysty akt wandalizmu, ale **przemyślana polityczna akcja**.

Do przeprowadzenia akcji przynajmniej jedna grupa 15W08. Zdjęcia umieszczone w jej blogu dowodzą, że nie jest to jednorazowa inicjatywa. Zanim jej członkowie oblać farbą kilka warszawskich lokali, robili akcje adbustingu, czyli nielegalnego przerabiania reklam.

– Przypomina to działania grup związanych z ruchem culture jamming – wyjaśnia prof. Urszula Jarecka z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. – Na Zachodzie od lat 70. powstawały grupy krytykujące rosnący konsumpcjonizm. Podejmowały one nielegalne działania w miastach, ale od 15W08 różniło je to, że w swoich pracach używały żartu. Niszcząc, dawały coś w zamian, jakiś pozytywny przekaz skłaniający do refleksji. Kiedy patrzę na zdjęcia z Warszawy, widzę tylko dewastację – podsumowuje prof. Jarecka.

Kim są członkowie tej grupy? Choć pozostają anonimowi, z ich bloga wiemy, że przeciwstawiają się opresyjnej, kapitalistycznej ekonomii (piętnując luksusowe marki), seksistowskim reklamom (które w ich mniemaniu prowadzą do przemocy seksualnej) i łamaniu praw lokatorskich (za to farbą dostało się oddziałom neoBanku i agencji nieruchomości Lion's House). Język umieszczonego na stronie



MARCIN WZIOŃ/KEWSPIX.PL

manifestu sugeruje związek ze środowiskiem lewicowym: żadna prawicowa bojówka nie pisałaby o konsumpcjonizmie i kumulacji kapitału. Trop się zgadza: link w blogu odsyła do tekstów na temat sytuacjonizmu – studenckiego ruchu z lat 50., łączącego marksyzm z anarchizmem. Kto za tym stoi? – Nie wiem dokładnie, ale pół roku temu grupa dziewczyn zrobiła podobną akcję we Wrocławiu – mówi anonimowo „Przekrojowi” osoba z kręgu warszawskiej lewicy. – Spotkało się to z dużym sprzeciwem ze strony środowiska. Część osób nie zgadza się z takimi inicjatywami, bo czuje, że działając w ten sposób, tylko potwierdza się stereotypy. Poza tym to metody anarchistów z XIX wieku.

O warszawskim środowisku anarchistycznym krąży pewna anegdota. Do Warszawy przyjechali anarchiści z Włoch. Zaczęli opowiadać o tym, jak podkładają bomby, ile było ostatnio rannych i jak nie udało im się zamach na znanego polityka. Okazało się, że chociaż działacze anarchistycznych łączą wspólną ideę, realizacje są zupełnie inne: w Warszawie nie podejmuje się tak radykalnych działań. – Co sądzą o 15W08? – Karolina, związana z ruchem anarchofeministycznym, zawiesza głos. – Ktoś, kto oblewa farbą sklep, musi być mocno wkurzony. Widzi, że manifestowanie i rozdawanie ulotek nie zmienia niczego. Dlatego wybiera inną drogę.

<http://15w08.blogspot.com>

i Rzeczpospolita



Gdziekolwiek jesteś, korzystaj z najświeższych informacji o Polsce, współczesnym świecie, prawie i gospodarce.

Pobierz aplikację w App Store i Google Play już dziś.

RZECZPOSPOLITA

rp.pl/zakupy

ALEKSANDRA STANISŁAWSKA

Pierścień Google'a

Możliwe, że już wkrótce będzie można zapomnieć o niewygodnych i niebezpiecznych **hasłach logowania**. Zamiast nich ma nam wystarczyć specjalna obręczka na palcu.



niejszymi sposobami zabezpieczania naszego sieciowego stanu posiadania?

Zaczarowany pierścionek

Klucz Yubico ma oczywiście wiele wad – choćby tę, że wciąż jest dość duży, mniej więcej rozmiaru paznokcia u kciuka. Ale Google pracuje nad innymi systemami. Jeden z nich to miniaturowe układy zbliżeniowe, podobne nieco do tych, jakie znajdują się w nowoczesnych kartach płatniczych. Taki mikrochip można schować w czymś, co i tak zawsze mamy przy sobie – na przykład pierścionku czy obrączce. W tym momencie wystarczy zbliżyć ręce do klawiatury komputera czy ekranu smartfona, by automatycznie uzyskać dostęp do swoich kont.

Takie pomysły na zapewnienie bezpieczeństwa nie są nowością – już od dawna stosowane są rozmaite kombinacje haseł oraz kart dostępowych czy jednorazowych kodów. Ale wyjątkowe jest to, że za sprawą wziął się Google. Nieraz już bywało tak, że to, co wprowadził sieciowy gigant, stawało się w krótkim czasie obowiązującym standardem – wystarczy wspomnieć ogromne (jak na ówczesne czasy) skrzynki na Gmailu.

Problemem pozostaje zgodność standardów, bo przecież nie będziemy nosili oddzielnych pierścionków do Google'a, Facebooka, konta służbowego i ulubionego forum. Ale – znowu – tu pomóc może siła przebicia Google'a, który ma szansę „zarazić” swoim pomysłem pozostałych wielkich graczy.

Gdyby tak się stało, to standaryzacja mogłaby iść dużo dalej. Ten sam system dawałby nam dostęp zarówno do usług sieciowych, jak i rzeczy w realnym świecie – samochodów, domów czy biur. A może i więcej – pierścień Google'a z dodatkową autoryzacją (może być taka wysyłana SMS-em) wystarczyłby za kartę płatniczą.

A więc jeden pierścień, by wszystkim rządzić? ☞

zorni użytkownicy musieli nie tylko wpisać hasło, ale też potwierdzić je jednorazowym kodem otrzymywanym w SMS-ie. Trochę to niewygodne, ale z pewnością lepsze niż cyfrowa śmierć.

Teraz Google chce pójść jeszcze dalej i testuje rozwiązanie firmy Yubico. To małe, małe nośnik danych wkładany w port USB komputera. W momencie podłączenia takiego cyfrowego klucza do komputera użytkownik automatycznie zostaje zalogowany do wszystkich usług, jakie zapewnia Google. Ale bez klucza ani rusz. Hasło nie wystarczy? Odpowiedź jest prosta – jakoś nie szokuje nas to, że by wsiąść do samochodu i odjechać, potrzebujemy fizycznych kluczyków. Może więc internetowe zagrożenia sprawiły, że czas pogodzić się ze skutecz-

Program księgowo-kadrowy „Rzeczpospolitej”

Mała Księgowość

edycja 2013



Pobierz program

www.rp.pl/sklep

infolinia 801 15 15 15

Skorzystaj z programu Mała Księgowość, który pozwoli Ci sprawnie prowadzić księgowość Twojej firmy.

- Darmowe aktualizacje przez cały rok
- Bezpłatne wsparcie techniczne
- Fakturę VAT za zakupiony program przesyłamy pocztą

Mała księgowość – 49 zł (brutto)

- jedna firma
- jedno stanowisko pracy

Mała księgowość – 99 zł (brutto)

- jedna firma – wiele stanowisk pracy
- biura rachunkowe prowadzące małe firmy



Pobudzamy myślenie  RZECZPOSPOLITA

ZEBRAŁA ZUZANNA ZIOMECKA, WSPÓŁPRACA MONIKA BRZYWCZY

Mamo, tato, co to jest związek partnerski?

Na demonstracji przed Sejmem w obronie związków partnerskich zjawili się kilka rodzin z dziećmi. Przy okazji takich ważnych momentów w kształtowaniu się naszej polityki społecznej rodzice często podejmują próby wytłumaczenia dzieciom, na czym polega spór. Jak to robią i dlaczego?

MARCIN SZOSTAK – filmowiec, prezes Fundacji Integracji Artystycznej FIA, szef kreacji agencji Spółdzielnia Artystyczna, tata 12-letniej Ady i 3-letniej Jagienki.

Kiedy człowiek staje się obywatelem?

Wtedy, kiedy zdaje sobie sprawę z tego, że ma więcej obowiązków w stosunku do państwa niż państwo w stosunku do niego. Albo się z tym godzi, albo czuje dyskomfort do końca życia. W moim wypadku poczucie obywatelstwa przyszło dość późno, bo na pierwszym roku studiów. Zachwycony chłonałem świat kina, a w tym samym czasie przychodziły wezwania z komisji poborowej, która bardzo chciała, abym pilnie chłonał także ideały oręża. Wtedy pierwszy raz poczułem ten specyficzny dyskomfort. Większe znaczenie miało dla mnie bycie Polakiem niż obywatelem. Po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że w naszym cudownym kraju mamy więcej Polaków niż obywateli. W latach mojego dzieciństwa nikt nie chciał być obywatelem, za to wszyscy uważali się za prawdziwych Polaków. Myślę, że wiele od tamtej pory się nie zmieniło.

Czy chodzenie z dziećmi na demonstracje jest dobrym pomysłem?

Jednym z filarów kręgosłupa moralnego, jakim winno się obdarzyć swo-

je dzieci, jest przekonanie, że każdy człowiek jest ważny i ma prawo do własnych opinii. Naszym obowiązkiem jest pokazanie dziecku, że nie ma nic złego czy niestosownego w wypowiedaniu na głos swoich uczuć. To nic innego jak danie wyraźnego sygnału, że ich głos też ma znaczenie.

Co dziecko jest w stanie zrozumieć z takich pojęć jak niepodległość czy partnerstwo?

Dla dziecka znaczenie ma waga tej sytuacji, nie jej temat. W jednym miejscu zbierają się dorośli, aby do siebie mówić, a nie komunikować się tekstem e-maila czy SMS-a. Dla dziecka znalezienie się w sytuacji, w której oprócz rodziców jakaś grupa dorosłych wyraża podobne emocje, jest przeżyciem zgoła innym niż obserwowanie tych ludzi mijających się bez słowa na ulicy. Dla malucha nie jest ważne, dlaczego ci dorośli ludzie się spotykają, ważne są tylko emocje, jakie sobie przy tym przekazują. A dla rodzica uczestnictwo wraz z dzieckiem w takim akcie społecznym jest tylko i wyłącznie poparciem idei, które im przekazuje.

Czy szkoły/przedszkola/institucje religijne nie wystarczają, by nauczyć prawidłowych postaw społecznych?

Nie. Takie postawy wynosi się z domu. Dziecko postrzega świat dookoła poprzez pryzmat doświadczeń i przeżyć

w najbliższym otoczeniu. Prawda jest taka, że rodzice muszą być dziś bardzo uważni, aby nie pozwolić instytucjom zarówno państwowym, jak i religijnym zniszczyć w dzieciach poczucia wyjątkowości jednostki, tego, że są ważne dla świata. Jako rodzice mamy obowiązek pokazać dzieciom alternatywę dla tak ukochanej przez system „takosamości”. To wszystko, co możemy dla nich zrobić. Reszta należy do nich.



Dziecko to nie tarcza dla naszych poglądów

TOMASZ PANKIEWICZ – redaktor naczelny magazynu „Vario”, pasjonat parafotniarstwa, ojciec 5-letniego Kajetana i 2-letniego Juliana.

Kiedy człowiek staje się obywatelem?

Od razu mam skojarzenia z rysunkiem Mleczki: „Obywatelu, nie pieprz bez



Marcin Szostak

sensu”. Człowiek dla państwa obywatelem staje się w momencie urodzenia i nadania mu numeru PESEL. Natomiast świadome obywatelstwo może nigdy nie zaistnieć. Trzeba dorosnąć i odczuć potrzebę utożsamienia siebie z danym państwem, językiem, kulturą, tradycją oraz systemem prawnym. By być obywatelem, powinno się odczuwać, nazwijmy to, „pewność państwa”, czyli przekonanie, że mój kraj i ja reprezentujemy te same zasady, identyfikujemy się z nim w 100 proc. i przede wszystkim mamy możliwość racjonalnego dialogu oraz wpływania na jego rozwój i prawo. Bardzo często na przeszkodzie do obywatelstwa staje samo państwo i jego normy prawne. Gdy człowiek czuje się przez państwo dyskryminowany i nie ma możliwości dochodzenia własnych praw, przestanie się z nim identyfikować i staje się „obywatelem pragmatycznym”. Wówczas kraj staje się wyłącznie miejscem zamieszkania.

Czy chodzenie z dziećmi na demonstracje jest dobrym pomysłem?

Jestem przeciwny angażowaniu dzieci w demonstracje i dyskusje świata dorosłych. Po co robić z nich żywe tarcze dla własnych poglądów? Świat dzieci powinien być fizyczną i umysłową arkadią, do której będą mogły powracać z sentymentem w dorosłości, i taki powinien

pozostać. Na każde dziecko przyjdzie czas demonstracji, gdy zaczną dojrzywać. Po co im tę dorosłość przyspieszać?

Co dziecko jest w stanie zrozumieć z takich pojęć jak niepodległość czy partnerstwo?

Dziecko wiele pojęć ze świata dorosłych przyswaja intuicyjnie. Najważniejsze dla dziecka jest odczuwanie bezpieczeństwa i miłości, jego pełna akceptacja. Gdy to zostanie zaburzone w skali rodziny przez wpływ państwa na rodziców, odczuje to również dziecko. Idea niepodległości i partnerstwa to idee świata dorosłych, których echo pobrzmiwa w codzienności każdej rodziny.

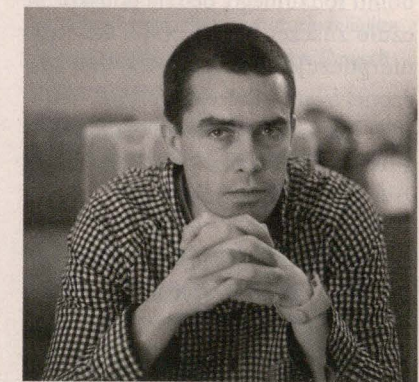
Czy szkoły/przedszkola/institucje religijne nie wystarczają, by nauczyć prawidłowych postaw społecznych?

Dla mnie prawidłowa postawa społeczna to świadoma i mądra symbioza z państwem. Mając za sobą dobre prawo, rozwijam umiejętności i postawę społeczną, czym przyczyniam się do doskonalenia i rozwoju państwa z obopólną korzyścią. I co najważniejsze – mam możliwość sprzeciwu i prowadzenia dyskusji mającej zapewnić konsensus w sprawach, które są niezgodne z konstytucją, prawami człowieka i ideą demokracji. To jest prawidłowa postawa społeczna, ale chyba nie ma na świecie państwa, dla którego byłaby wygodna. System edukacyjny jest w pewnym sensie władzą wykonawczą państwa. Ma przygotować obywateli, którzy w sposób podporządkowany wykonają w dorosłym życiu wyznaczone przez państwo obowiązki. Nie po drodze jest systemowi tworzyć jednostki stale patrzące państwu na ręce. Systemy edukacyjne są mało kreatywne i promują nijakość, marność intelektualną i brak indywidualizmu. A bez tych

Znalezienie się w sytuacji, w której grupa dorosłych wyraża podobne emocje, jest przeżyciem innym niż obserwowanie tych ludzi mijających się bez słowa na ulicy.

cech nie istnieje dla mnie prawidłowa postawa społeczna. Dlatego tak ważną są praca i wychowanie domowe. Bez tego nie ma w obecnym systemie edukacyjnym możliwości stworzenia silnej i mądrej jednostki społecznej. O instytucjach religijnych nie będę się wypowiadał, ponieważ jestem ateistą i w tym duchu wychowujemy naszych synów.

Chciałbym zaznaczyć, że dużą dyskryminacją ateistów i ludzi innych wyznań jest wprowadzenie nauczania religii do przedszkoli i szkół. To typowa forma indoktrynacji i podprogowego kodowania idei dziecku, które zostaje pozbawione możliwości wolnego i świadomego wyboru. W naszym przypadku powoduje to zburzenie autorytetu placówki edukacyjnej, której przekaz musimy negować. Nowoczesne państwo nie powinno stosować takich metod.



ARCHIWUM PRYWATNE

Uruchomić proces analityczny

JACEK LIBERAK – przedsiębiorca, współwłaściciel AdvanFile.pl, tata 10-letniego Antka i 3-letniego Feliksa

Kiedy człowiek staje się obywatelem?

Chyba w okolicach 15. roku życia. Mniej więcej wtedy zaczyna kojarzyć więzi, zależności życia społecznego, polityki. Są to oczywiście naiwne, pełne idealizmu przemyślenia, które jednak rzeźbią sylwetkę obywatela.

Czy chodzenie z dziećmi na demonstracje jest dobrym pomysłem?

To zależy. Jakoś nie bardzo widzę moich synów na manifestacji za jakąś jaskra-

wą opcją polityczną lub przeciw niej. Wolałbym im oszczędzić zbyt ekstremalnych emocji, przemówień „wodzów” i tego typu rytuałów do czasu, kiedy będzie możliwe wyjaśnienie im, o co tu w ogóle chodzi (o ile sam będę tego świadom). Rozmawiamy na takie tematy z moim starszym 10-letnim synem i on na razie głównie zadaje pytania. Czyli uruchomił proces analityczny, co mnie bardzo cieszy. Trzylatek zrozumie, a raczej wejdzie w rytuał – jakiś marsz, zbiórkę, śpiew czy tego typu narzędzia socjotechniczne stosowane choćby podczas mszy w kościele.

Co dziecko jest w stanie zrozumieć z takich pojęć jak niepodległość czy partnerstwo?

Trzeba bardzo uważać, czym skorupka nasiąka za młodu. Jeśli dziecko od najmłodszych lat będzie widziało rodziców szanujących się nawzajem, będzie czuło autonomię i bezpieczeństwo domu rodzinnego, będzie podskórnie czuło znaczenie tych pojęć. Gdy tego nie poczuje bądź odbierze to w spaczonyj formie, dziecko np. bite – wówczas nie może być mowy o niepodległości osobistej czy partnerstwie, jest za to czysta forma poniżenia.

Czy szkoły/przedszkola/institucje religijne nie wystarczają, by nauczyć prawidłowych postaw społecznych?

Zdecydowanie nie. Człowiek, zarówno dziecko, jak i dorosły, najwięcej wiedzy przyswaja przez naśladowanie. Trudno by oddelegować odpowiedzialność za wykształcenie postawy społecznej instytucjom. Często anachronicznym i bezosobowym. Bez rodziców, mentorów wykraczających poza rygor procedur, dających oparcie w odpowiednich momentach, młody człowiek zaakceptuje pierwszą lepszą opcję zapewniającą bezpieczeństwo we wspólnocie. Np. zostanie ministrantem czy pseudokibicem.

Mały patriotyzm

MAJA I MICHAŁ OLSZEWSKY – oboje pracują w „Tygodniku Powszechnym”, rodzice 7-letniego Jasia, 5-letniej Jagody i 2-letniej Maliny.



Maja i Michał Olszewscy

Kiedy człowiek staje się obywatelem?

Maja: Moment nie jest istotny: ważne, żeby przygotowywać dziecko na przyjęcie w późniejszym czasie postawy obywatelskiej lub jej odrzucenie. Żeby wiedziało, dlaczego głosuje lub przeciwko czemu się buntuje. Matka chodzi na Manife? Tata protestuje przeciwko GMO? Chodzimy wspólnie na wybory? Cokolwiek byśmy mówili, dziecko i tak nauczy się z obserwacji.

Michał: W momencie, kiedy chce odpowiadać za wspólną przestrzeń, za to, jak wygląda park, ulica, szkoła albo podwórko kamienicy.

Czy chodzenie z dziećmi na demonstracje jest dobrym pomysłem?

Maja: Waham się.

Michał: Jeśli jest ryzyko zadymy, to na pewno nie. Przyglądałem się w listopadzie uczestnikom Marszu Niepodległości – niektórzy przyszli z dziećmi, mimo że zadyma była stuprocentowo pewna. Dla mnie to skrajna nieodpowiedzialność. Ale nawet demonstracja pokojowa podkręca emocje, podobnie jak stadion. Nie chodzę z synem na stadion, bo później jest pobudzony przez długie godziny. Na demonstracje też na razie nie.

Co dziecko jest w stanie zrozumieć z takich pojęć jak niepodległość czy partnerstwo?

Maja: Dziecko wszystko rozumie. Najpierw poukłada sobie po swojemu, może odłożyć informację na bok, potem dochodzi doświadczenie i wszystko się skleja w pełny obraz świata. Poza tym dzieci uczą się z obserwacji, nie z teoretycznych przekazów. Wczoraj ułożyły z klocków domek. W kuchni postawiły figurkę faceta. To dla nich normalne,



Katia Roman-Trzaska

bo widzą swojego tatę, który jest równie odpowiedzialny za dom, co mama. Mają doświadczenie partnerstwa w domu. **Michał:** Rozumieją rzeczywiście zaskakująco wiele, szczególnie jeśli tłumaczyć niektóre pojęcia na bliskich przykładach. Niepodległość? Wyobraź sobie, że ktoś puka do twojego mieszkania i rozkazuje, co masz robić. Partnerstwo? Dobrze jest, jeśli po zabawie pokój posprzątaacie razem. Robimy placki? Tysiesz mąkę, a brat miksuje.

Czy szkoły/przedszkola/institucje religijne nie wystarczają, by nauczyć prawidłowych postaw społecznych?

Maja: W naszym przypadku przedszkole wzięło na siebie większość „dużego” wychowania patriotycznego: dzieci śpiewają hymn, wieszają flagę, obchodzą święta państwowe. My się skupiamy na małym patriotyzmie, codziennej koegzystencji z bliźnimi: staramy się nie przekraczać prędkości, zostawiać pieniądze u drobnych przedsiębiorców, mówić dzień dobry, zimą karmić ptaki.

Michał: Nie wystarczają. Przedszkole to uładzona, poustawiana rzeczywistość, a dalej zaczyna się poligon, przez który idziemy całą piątką.

Nie ma jednej prawdy

KATIA ROMAN-TRZASKA – założycielka szkoły gotowania dla dzieci Little Chef. Z wykształcenia prawnik. Mama 8-letniego Jeremiego i 6-letniego Mikołaja.

Kiedy człowiek staje się obywatelem?

Nie wiem, kiedy dokładnie... Postawę obywatelską rozumiem jako świadomość w połączeniu z wolą. Moi chłopcy nie rozumieją wielkich pojęć, jak patriotyzm, wolność, niepodległość,

ale wiedzą, że np. oddanie głosu w wyborach do Sejmu czy na prezydenta jest dla ich rodziców ważne. Tłumaczę im, że wtedy mam wpływ na to, kto będzie nami rządził. Pytają: „Co, jeżeli ten ktoś przegra?”. Wyjaśniam wtedy, że tak może być, ale ja wyraziłam własną opinię, co jest ważną częścią procesu. Tłumaczę im, dlaczego głosuję na taką, a nie inną partię. Ciekawie jest, gdy spotykamy się z przyjaciółmi o innych poglądach. Takie rozmowy są jeszcze bardziej wzbogacające dla moich dzieci.

Wychowując ich, przyjmuję zasadę mojego taty – z dziećmi należy rozmawiać. Od małego tłumaczyć im świat i dawać dobry przykład.

Czy chodzenie z dziećmi na demonstracje jest dobrym pomysłem?

Jeżeli w coś wierzę, to daję temu wyraz. Czasem na demonstracji, na które zabieram dzieci. Innym razem, chodząc w Walkathonie i zbierając pieniądze na ważny cel. Wtedy chłopcy wybierają, na co przeznaczają uzbierane chodzeniem pieniądze. Ważne jest, by rozmowy o tym, jaki jest nasz świat, wesprzeć działaniem. Żeby stał się jeszcze lepszy.

Co dziecko jest w stanie zrozumieć z takich pojęć jak niepodległość czy partnerstwo?

Myślę, że dzieci najwięcej rozumieją z przekazu nie wprost, tzn. uczą się z przykładu dorosłych. Rozmawiam z dziećmi o różnych aspektach świata, pokazuję przykłady odmiennie myślących ludzi, mówię też, dlaczego sądzę tak, a nie inaczej. Mówię im, że czasem moje poglądy się zmieniają, i podkreślam, że nie ma jedynej prawdy. Chciałabym, żeby moje dzieci zadawały wiele pytań. Wtedy, mam nadzieję, same dojdą do własnych wniosków, które później będą weryfikowały.

Czy szkoły/przedszkola/institucje religijne nie wystarczają, by nauczyć prawidłowych postaw społecznych?

To, co się wynosi z domu, jest dla mnie podstawą. Szkoła jest pomocą. Mądrego wychowawca czy duszpasterz może nam jednak bardzo pomóc. Dorastałam w Ameryce, więc patriotyzmu



Aleksandra Wasilkowska

polskiego uczyłam się w domu. Miłości do Ameryki uczyłam się w szkole, w kościele, poznając ludzi, którzy szanowali swój kraj. Trudno mi jest w Polsce, gdzie na porządku dziennym jest obrzucanie błotem inaczej myślących. W Ameryce każdy miał inną historię i tradycję, ale czuliśmy się związani. Czuliśmy się obywatelami tego samego kraju, bo tam obowiązuje większy szacunek dla inności i panuje zdecydowanie wyższa kultura dyskusji publicznej.

Nauka współpracy

Aleksandra Wasilkowska – architektka, artystka. Wiceprezeska warszawskiego SARP-u. Mama 9-letniego Lucka.

Kiedy człowiek staje się obywatelem?

Gdy uświadamia sobie, że jest częścią wspólnoty szerszej niż tylko jego najbliższa rodzina. Być obywatelem to nie tylko mieć jakiś pogląd na politykę, ale także aktywnie w niej uczestniczyć, zrobić czasem coś za friko.

Czy chodzenie z dziećmi na demonstracje jest dobrym pomysłem?

Oczywiście. Dzieci wtedy widzą, że współdziałanie ma jakiś sens, że wyrażanie poglądów może sprawiać radość.

Mój 8-letni syn brał udział w ubiegłym roku w manifestacji dziecięcej zorganizowanej przez artystę Huberta Czerepoka. Dzieci przygotowały genialne hasła i transparenty. Na przykład „Nie chcemy złych ludzi w kraju”, „Wszystko za friko” albo „Żeby wszystko było z czekolady”. Najpiękniejszy transparent to było wielkie „CHCĘ!”. Czasami sama zabieram syna na demonstracje dla dorosłych, to jest dla niego dobra, choć czasami trudna, lekcja o nas samych.

Co dziecko jest w stanie zrozumieć z takich pojęć jak niepodległość czy partnerstwo?

Być może same pojęcia nie mają w tym wieku większego znaczenia. Ale jak szliśmy razem na Kolorową Niepodległą 11 listopada obok uśmiechniętej Anny Grodzkiej, to Lucek zrozumiał, że ona jest fajniejszym człowiekiem niż stado czarnych i porykujących pseudokibiców, czyhających za rogiem. W tym wieku to wystarczy.

Czy szkoły/przedszkola/institucje religijne nie wystarczają, by nauczyć prawidłowych postaw społecznych?

Podobno ktoś zbadał, ile w polskich szkołach jest zajęć, które uczą współpracy. Polska średnia to kilkanaście minut tygodniowo, a w krajach, w których demokracja ma dłuższą tradycję, to jest kilka godzin. Dzieci powinny w szkołach uczyć się współpracować i sobie pomagać. Za moich czasów ściąganie było surowo karane. A gdyby nazwać to wspólnym tworzeniem pracy, to może rośliby nam społeczeństwo nastawione na współpracę, a nie na anachroniczny wyścig szczurów. Na szczęście mój syn ma wspaniałą wychowawczynię i przyjaciół, z którymi uratował książki ze śmietnika i założył najfajniejszą księgarnię w Polsce. I to już w wieku ośmiu lat.

☞ Dzieci przygotowały genialne hasła i transparenty. Na przykład „Nie chcemy złych ludzi w kraju”, „Wszystko za friko” albo „Żeby wszystko było z czekolady”. Najpiękniejszy to było wielkie „CHCĘ!”.



ARCHIWUM PRYWATNE

Najważniejszy jest przykład rodziców

MICHAŁ PAWLIK – założyciel i współwłaściciel studia graficznego Mamastudio oraz impresariatu sportowo-artystycznego Śnieżne Potwory. Ma 9-letnią córkę Józję i 6-letnią Hanię.

Kiedy człowiek staje się obywatelem?

Świadomym obywatelem człowiek staje się bez względu na wiek. Kiedy zda sobie sprawę, że ma pewne prawa i obowiązki, które z tego wynikają. Mam dwojkę dzieci. Starsza, Józia, już jest obywatelką, bo chodzi do szkoły, wie, skąd jest i że ma w związku z tym pewne prawa i obowiązki, co niekiedy jest łatwe do zaakceptowania. A młodsza, Hania, ma na razie w nosie, że mieszka w Polsce, jest obywatelką domu i przedszkola.

Czy chodzenie z dziećmi na demonstracje jest dobrym pomysłem?

Jak najbardziej. Pamiętam z dzieciństwa, z wyjazdu na wakacje, robotników siedzących z transparentami na dachach stocznicy i ważną rozmowę na ten temat z moją mamą. Byłem też na pogrzebie Popiełuszki na Żoliborzu. Nie zapomnę tej niesamowitej atmosfery, która tam panowała – połączenie smutku i złości. Pamiętam przypływ patriotyzmu i poczucie wspólnoty, jakich wtedy jako młody chłopak tam doznałem. Właśnie w takich sytuacjach człowiek uświadamia sobie, że jest częścią większej całości.

ści, pewnego ekosystemu. To są silne, wspaniałe przeżycia dla młodej głowy w odróżnieniu, na przykład, od lekcji PO czy PNOS. Czy samo demonstrowanie odnosi jakiś realny skutek – to już jest zupełnie inne zagadnienie...

Co dziecko jest w stanie zrozumieć z takich pojęć jak niepodległość czy partnerstwo?

Myślę, że dzieci doskonale rozumieją, co znaczy niepodległość czy partnerstwo, bo ich to jak najbardziej dotyczy. Można omawiać z nimi bardzo poważne sprawy, jeżeli posługujemy się przykładami z ich życia. Być może okupacja czy stan wojenny to dla 7-latkę abstrakcja, ale jak nie może oglądać dobranoczek, bo nie odrobił lekcji i się wścieka, to ma przedsmak gorszych czasów. Jeśli się nie wywiązał z umowy z tatą, to jest pretekst, by porozmawiać o tym, że mamy wobec siebie pewne zobowiązania i że na tym polega partnerstwo. Możemy na siebie liczyć, ale to się też wiąże z obowiązkami i wyrzeczeniami.

Czy szkoły/przedszkola/instytucje religijne nie wystarczają, by nauczyć prawidłowych postaw społecznych?

Nie mam zaufania do instytucji w kształtowaniu jakichkolwiek postaw, może dlatego, że sam nie mam najlepszych doświadczeń. Spotkało mnie sporo przykrości i w szkole, i na lekcjach religii. Chyba ważny jest ten mikś różnych doświadczeń z domu, szkoły, podwórka itp. Razem wzięte to wszystko daje pełną świadomość, że świat jest złożony i skomplikowany, trochę dobry, trochę zły. Dlatego fajnie jest pochodzić do państwowej szkoły i spędzać czas z ludźmi z różnych kręgów i środowisk, a nie z pięknego zamkniętego osiedla jechać taksówką do prywatnej szkoły. Najważniejsi są jednak rodzice i ich przekaz (plus geny). Im jestem starszy, z tym większym przerażeniem widzę, jaki podobny jestem do moich rodziców. Ważniejszy jest dobry przykład i działanie niż mentorskie kazania. Dlatego warto pójść z dziećmi na demonstrację, dać biednemu pieniążek na ulicy, sprzątnąć po psie, posegregować śmieci itd.

Praca domowa

Książki kształtujące tolerancję i budujące świadomość społeczną



„MAŁA KSIĄŻKA O DEMOKRACJI”

Sassa Buregren, tłum. Iwona Jędrzejewska, Czarna Owca, 2007

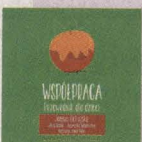
Ta książka dedykowana jest wszystkim tym, którzy chcą, aby ich głos stał się słyszalny, ale nie wiedzą, jak to zrobić. 13-letnia Jorinda jest przewodniczką dla młodych czytelników, którzy wraz z nią szukają klucza do zrozumienia demokracji.



„BIEDA. PRZEWODNIK DLA DZIECI”

Hanna Gill-Piątek, Henryka Krzywonos, ilustr. Anna Pluta, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, 2010

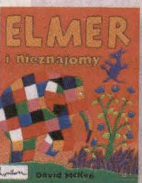
Podobnie jak partnerstwo czy demokracja, pojęcie istoty biedy jest dla dzieci trudne do zrozumienia, abstrakcyjne. Dlatego autorki książki tłumaczą, skąd bieda się bierze i co z niej wynika. Opowiadają o jej konsekwencjach w szkole i w domu oraz przedstawiają mity związane z ubóstwem i pokazują, jak można je zwalczać.



„WSPÓLPRACA. PRZEWODNIK DLA DZIECI”

Janina Ochojska, Jakub Bożek, Agnieszka Wiśniewska, ilustr. Anna Pluta, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, 2013

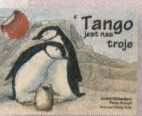
Podstawą demokracji i postawy społecznej jest zdolność do współpracy z ludźmi. Autorzy książki demonstrują skuteczność działań zbiorowych, opisując przypadki bliskie doświadczeniu i marzeniom dzieci.



„ELMER” – SERIA

David McKee, tłum. Jadwiga Jędryas, Dwie Siostry, 2007

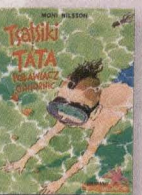
Fabularna seria dla przedszkolaków o słońcu w kratkę, czyli o tolerancji wobec inności. W kolejnych odcinkach Elmer przeżywa wykluczenie różnego rodzaju za pomocą humoru i empatii.



„Z TANGO JEST NAS TROJE”

Peter Parnell, Justin Richardson, tłum. Katarzyna Remin, Ad Publik, 2009

Opowiadanie oparte jest na prawdziwej historii Roya i Silo, dwóch pingwinów maskowych z nowojorskiego zoo, które przez sześć lat żyły w stałym, homoseksualnym związku i wspólnie wysiedziały jajo, z którego wykluwa się mała samiczka o imieniu Tango.



„TSATSIKI” – SERIA

Moni Nilsson, tłum. Barbara Gawryluk, Zakamarki, 2009

Seria fabularna dla dzieci w wieku 6+ opowiada o chłopcu wychowywanym samodzielnie przez Mamuskę będącą basistką w szwedzkim zespole rockowym. Choć dotyczy wielu aspektów życia dziecka w szkole podstawowej, w tle książek rozgrywa się ważne zmiany w konfiguracji rodziny – od obaw związanych z nowym chłopakiem Mamuski po odszukanie biologicznego ojca i skryzlowanie się rodziny w nowej, stałej formie.

Mariusz Ziomecki

Weźmy wreszcie rozwód

Przebrała się miarka, mam dosyć. A sądząc po tym, jak zaręczało na Fejsie i w komentarzach medialnych, dosyć ma też spora część elektoratu – szczególnie ta młoda, wykształcona, proeuropejska. Wiecie, o co poszło.

Po raz nie wiem który grupa narodowo-katolickich radykałów w polskim Sejmie, wspierana przez licznych oportunistów, powiedziała w cywilizacyjnej debacie: „Po naszym trupie. Veto! Nie pozwalamy!”. I nie tylko zablokowała dyskusję o arcyważnej regulacji; niektórzy z nich wkroczyli też na mównicę, by lunąć w pysk, z pogardą i intencją największego możliwego upokorzenia, mądrzejszych od siebie obywateli.

Peczulem się jak ktoś maltretowany w toksycznym związku, kto odebrał o jeden cios piąchą za wiele. Tym razem poszło o związki partnerskie i orientacje seksualne, ale przedtem było tyle innych spraw: in vitro, miejsce religii w państwie, finanse Kościoła, prawa człowieka, kobiet w szczególności. Wolność słowa. Podśluchy. Torturowanie ludzi i zwierząt. Kwestie ochrony środowiska. Prywatyzacja i miejsce dla kapitału zagranicznego. Relacje z Niemcami, z Ukraińcami i Rosją. Nicea. Granice integracji... Wniosek narzuca się sam. Starczy tej agresji i głupoty.

Skoro jesteśmy aż tak podzieleni, tak głęboko i w tak fundamentalnych kwestiach, że Polska nie może się przez to stać normalnym europejskim krajem, i skoro nie ma widoków, że ta sytuacja się zmieni w dającej się przewidzieć przyszłości, to na litość – rozdzielmy się wreszcie!

Przestańmy się dręczyć, blokować się, wisieć sobie u gardeł, zamykać sobie nawzajem drogę do szczęścia. Stwórzmy państwo federacyjne, dwie dzielnice albo dwa stany Polski, które funkcjonowałyby przynajmniej częściowo odrębnie, według własnych systemów wartości. Nawet może być dwóch prezydentów i dwa rządy. Po kilku latach zobaczymy, która część będzie się rozwijała szybciej, sensowniej i gdzie – rzecz w ostatecznym rachunku najważniejsza – obywatele okażą się szczęśliwsi.

Linia demarkacyjna jest oczywista, widać ją po każdym wyborach: południe i wschód kraju, mniej więcej wzdłuż



FRANCISZEK MAZUR

Przestańmy się dręczyć, blokować, wisieć sobie u gardeł, zamykać sobie nawzajem drogę do szczęścia. Stwórzmy państwo federacyjne, dwie dzielnice albo dwa stany Polski.

Wisły, to bastion pobożnych tradycjonalistów, głoszący w większości na PiS i podobnie ksobne ugrupowania. Resztę Polski zamieszkuje elektorat z grubsza trytyczny, który częściej reaguje na argumenty rozumowe, a swój kraj postrzega jako element złożonego, zmieniającego się, ale niekoniecznie wrogiego świata.

Wiem, że ten opis nieco upraszcza rzeczywistość. I nie zapominam, że obecny system samorządności już umożliwia obywatelom decydowanie, jaka opcja polityczna buduje wodociągi na ich terenie. Jednak potrzebujemy – i my, i oni – czegoś więcej.

Oni muszą, po prostu muszą, bo inaczej pękną, mieć Polskę, której prezydentem będzie Jarosław, a patronem śp. Lech z Wawelu. My wytrzymamy z Komorowskim. U nich na topie agendy publicznej będzie Smoleńsk, rocznice powstań i inne krzywdy Polaków, u nas – marzyłoby mi się poprawianie państwa, budowanie społeczeństwa obywatelskiego i gra o miejsce Polski w zmieniającej się Unii. U nich premierem zostanie ktoś bez właściwości (żeby nie denerwował Jarosława), u nas pewnie jakiś tłuśty kot-technokrata w rodzaju J.K. Bieleckiego. Albo wygadany klon Tuska sprzed pierwszej kadencji.

U nich kwitłaby lustracja i walka z korupcją, u nas – z fotoradarami. Szerzylibyśmy też z radością moralny relatywizm, który otwiera drogę do kariery nawet wnukom Żydów-stalinowców, pozwala zalegalizować aborcję czy – z pewnymi zastrzeżeniami – eutanazję. Nauczanie religii wróciłoby do parafii. Za to na prawo od Wisły pełna ochrona uczuć religijnych wreszcie uwolniłaby kler od irytującej presji niedowiarków. Nauczyciele historii za to pracowałyby na okrągło, zmieniono by nazwy prawie wszystkich ulic i większość obecnych pomników trafiłaby do hut.

Nie wiem jak Wam, ale mnie by pasowało. Na razie dostrzegam tylko jeden poważny minus. Jak znam kolegów z TVN 24, na okrągło będą dawali debaty profesorek Środy z Polski zachodniej z Pawłowicz z Polski wschodniej.

Ale i to mogłoby się obrócić na korzyść, bo więcej ludzi zaczęłoby się uczyć języków, by codziennie oglądać telewizję zagraniczne.

Autor jest redaktorem, dziennikarzem, publicystą, biznesmenem. U nas pisze o cywilizacji.

ROZMAWIA MIKE URBANIAK

Miłość nie jest chorobą

Polska jest w kwestii równouprawnienia mniejszości seksualnych mniej więcej tam, gdzie Szwecja była 20 lat temu – mówi „Przekroju” ikona tamtejszego ruchu LGBT prof. Barbro Westerholm.

Co to znaczy być liberałem w Szwecji?

To znaczy tworzyć społeczeństwo, w którym każdy może zdecydować sam, jak chce żyć. Dopóki oczywiście nie narusza wolności innych.

Jaka jest różnica między szwedzkimi liberałami a socjaldemokratami?

Taka, że my, liberałowie, widzimy dużą rolę prywatnej inicjatywy, która zasadniczo powinna wpływać na społeczeństwo. Socjaldemokraci uważali przez lata (ostatnio nastąpiła zmiana), że wszystko powinno iść z góry. Rząd wie najlepiej, czego trzeba ludziom. A myśmy zawsze mówili, że ludzie wiedzą lepiej, czego im trzeba, i inicjatywa powinna wychodzić od dołu.

A konserwatyści czym się od was różnią?

Są najbardziej restrykcyjni w kwestii dzielenia się publicznymi pieniędzmi. Uważają na przykład, że imigranci, którzy są w Szwecji nielegalnie, nie powinni mieć bezpłatnego dostępu do publicznej służby zdrowia. Liberałowie mają zgoła inne zdanie.

Pytam o te różnice nie dlatego, że chciałem się podszkolić z życia partyjnego Szwecji, ale dlatego, że z polskiej perspektywy między szwedzkimi partiami głównego nurtu wydaje się panować zgoda w kwestiach, w których u nas toczy się zacięta ideologiczna wojna.

Rzeczywiście, w sprawach takich jak równouprawnienie osób homoseks-

ualnych panuje u nas ponadpartyjna zgoda, choć nie zawsze tak było. Ale rozumiem, że Polakom trudno znaleźć między nami różnice.

Dlaczego Szwedzi, bez względu na poglądy polityczne, są tak postępowi w kwestiach praw człowieka?

Odpowiedzi mogą być różne, jedna ma podłoże historyczne. 80 lat temu konserwatyści byli bardzo proniemieccy, popierali politykę nazistów, imponowała im. Kiedy skończyła się II wojna światowa i ujawniono, czym naprawdę był hitlerizm, zaczęli kompensować swoje poparcie zwrotem w stronę praw człowieka, niedyskryminacji. Czas powojenny to intensywne inkorporowanie przez Szwedów idei liberalnych.

Poróżniliśmy się znowu w pierwszej połowie lat 90., kiedy zaczęliśmy pracę nad ustawą o związkach partnerskich. Liberałowie byli za, a reszta przeciw.

W końcu ta reszta zmieniła zdanie. Dlaczego?

Bo zrozumiała, że sprzeciwianie się równouprawnieniu osób homoseksualnych jest sprzeczne ze szwedzką ideą solidarności.

Jaki był pani obraz Polski, zanim przyjechała tu pani pierwszy raz?

On się oczywiście zmieniał. Kiedy byłam młodą lekarką, aborcja była

w Szwecji zakazana. Wówczas rekomendowało się kobietom chcącym przerwać ciążę wyjazd do Polski, gdzie zabieg był tani i bezpieczny, więc mój obraz waszego kraju był bardzo pozytywny. Teraz sytuacja jest zupełnie inna. Aborcja jest legalna w Szwecji, a w Polsce teoretycznie tak w określonych przypadkach, a w praktyce wiemy, jak to wygląda.

Szwedzki progres, Polski regres.

Nigdy nie mogłam tego zrozumieć. Podczas mojej lekarskiej praktyki zetknęłam się z wieloma naprawdę strasznymi przypadkami, które były rezultatem zakazu aborcji. Trafiły do mnie kobiety, które próbowały przeprowadzić zabieg usunięcia ciąży w warunkach, nazwijmy je, niewystarczających, znam przypadki samobójstw – krótko mówiąc, prawdziwe dramaty kobiet.

Co ciekawe, kiedy zalegalizowaliśmy aborcję, ich liczba spadła. Dlaczego? Bowiem równolegle wprowadziliśmy programy edukacji seksualnej i poprawiliśmy dostęp do antykoncepcji. W Szwecji właściwie nie rodzą się niechciane dzieci.

A widzi pani u nas postęp w kwestii LGBT?

Oczywiście, macie teraz w Sejmie pierwszego jawnego geja i osobę

transseksualną. To znaki wielkiego postępu w kwestii praw człowieka i równouprawnienia. Myślę, że jesteście mniej więcej tam, gdzie my byliśmy w latach 90.

Jest pani bardzo łaskawa. Myślałem, że jesteście raczej w waszych latach 70.

To byłby niesprawiedliwy osąd, nie jest tak źle. W latach 70. homoseksualizm był w Szwecji na liście chorób psychicznych.

I pani go w 1979 r. z tej listy usunęła. Proszę opowiedzieć, jak do tego doszło.

Byłam wówczas dyrektorką Narodowego Zarządu Zdrowia i Opieki Społecznej. Dosłownie kilka tygodni po objęciu przeze mnie tego stanowiska organizacje LGBT zorganizowały protest przeciwko obecności homoseksualizmu na liście chorób psychicznych. Do naszej siedziby weszło kilkadziesiąt osób i zaczęło okupować budynek. Powiedzieli, że skoro są chorzy psychicznie, to w takim razie domagają się świadczeń, które osobom chorym gwarantuje państwo, czyli zwolnień chorobowych z pracy, wypłaty rent i profesjonalnej opieki. Moi współpracownicy byli przerażeni, chcieli dzwonić na policję, żeby usunęła protestujących. Powiedziałam: „Żadnej policji. Trzeba z nimi porozmawiać, usłyszeć, co mają do powiedzenia”, i poszłam do nich.

Byli zaskoczeni?

Kompletnie. Chyba żaden urzędnik z nimi wcześniej nie rozmawiał. Oni w ogóle mi nie wierzyli. Myśleli, że moja rozmowa z nimi to jakaś gra, mydlenie oczu. Spotykaliśmy się regularnie, opowiadali mi o sytuacji gejów i lesbijek w Szwecji, o dyskryminacji, której doświadczają każdego dnia. W ogóle nie zdawałam sobie z tego sprawy. Zrozumiałam wtedy coś ważnego, że miłość dwojga ludzi nie może być chorobą. Po dwóch miesiącach homoseksualizm został wykreślony z listy chorób psychicznych, a ja od tego czasu jestem zaangażowana w sprawy LGBT.



BARBRO WESTERHOLM

Urodziła się w 1933 r. Jest profesorką medycyny, posłanką do Riksdagu (szwedzkiego parlamentu) z ramienia Partii Liberałów, członkinią szwedzkiej Rady ds. Etyki Lekarskiej, Grupy Ekspertów ds. Zdrowia Europejskiej Platformy Ludzi Starszych – AGE oraz wiceprzewodniczącą Rady Wykonawczej Światowej Organizacji Zdrowia (WHO). W 1979 r., sprawując urząd dyrektorki Narodowego Zarządu Zdrowia i Opieki Społecznej, doprowadziła do usunięcia homoseksualizmu z listy chorób psychicznych. Współtworzyła ustawy dające osobom homoseksualnym najpierw prawo do zawierania związków partnerskich, a następnie małżeństw i adopcji dzieci. W latach 1999–2006 była przewodniczącą Szwedzkiego Związku Ludzi Starszych. W pracy aktywnie przeciwdziałała dyskryminacji różnych grup społecznych. W roku 2009 za pracę na rzecz niedyskryminowania ludzi starszych otrzymała nagrodę Nordic Public Health Prize. Jest mężatką, ma czworo dzieci i dziewięcioro wnucząt.

PETER KNUTSON/AMBASADA SZWECJI

Znała pani wcześniej jakichś gejów czy lesbijki?

Nie, jedynymi gejami, o których wiedziałam, byli dwaj starsi panowie, którzy oprawiali w domu moich rodziców obrazy. Mieszkali niedaleko, wszędzie chodzili razem. Mój ojciec powiedział mi tylko: „Ci panowie bardzo się lubią”. Potem w szkole mieliśmy nauczycielki lesbijki. Wszyscy wiedzieli, że są razem, i nie był to żaden problem. W naszym najbliższym prywatnym otoczeniu nie znaleźmy z mężem żadnej osoby homoseksualnej.

Czy był jakiś opór wśród lekarzy wobec pani działań?

Psychiatrzy byli zgodni, że homoseksualizm trzeba wykreślić, bo nie jest żadną chorobą.

Atak polityków?

Nie, przecież to nie była decyzja polityczna. Podjęłam ją jako lekarka i urzędniczka. Dopiero potem stałam się osobą polityczną, dołączyłam do Partii Liberalów i jestem aktywna politycznie do dzisiaj.

A jak na wykreślenie homoseksualizmu z listy chorób zareagowało społeczeństwo?

Bardzo pozytywnie. Jedyne ataki przeprowadzono na mnie w połowie lat 80., kiedy wybuchła pandemia HIV/AIDS. Religijni konserwatyści mówili, że to moja wina, bo wykreśliłam homoseksualizm.

Szwecja uchodzi za gejowski raj. Są w nim jakieś ciemne strony?

Oczywiście, bo choć mamy właściwie całą potrzebną legislację w kwestii równouprawnienia osób LGBT – w tym małżeństwa z adopcją dzieci łącznie – które popiera trzy czwarte Szwedów, to nadal pozostają gdzieś przesady, nieważność. Walka z nimi to nieustanna praca do wykonania.

Czyli to jeszcze nie jest koniec historii?

Myślę, że niestety nie dożyję takich czasów, gdzie wszystko w tej kwestii będzie jak należy. Walka ze stereotypami, przesadami, dyskryminacją

chyba nigdy się nie skończy. To jest nieustająca praca, która obecnie powinna się skupić na szkołach, edukacji dzieci i młodzieży. Bardzo ważne jest też dawanie publicznie swojej twarzy, coming outy osób znanych oraz obecność gejów, lesbijek, osób bi- i transpłciowych w polityce. W szwedzkim parlamencie mamy jawnych gejów i lesbijki, to jest ważne z punktu widzenia wrażliwości stanowionej prawa.

W Polsce debatujemy o związkach partnerskich. Sejm odrzucił właśnie trzy różne projekty ustaw regulujących te kwestie. Konserwatyści twierdzą, że wszystkie są zagrożeniem dla polskiej rodziny. Co by im pani odpowiedziała?

Ale jakim zagrożeniem? Nie bardzo rozumiem. Osoby homoseksualne tworzą rodziny, wychowują dzieci – to jest fakt. Chodzi o to, żeby ich status był uregulowany i żeby nie były dyskryminowane.

Ale dzieci potrzebują mamy i taty – mówią przeciwnicy homoadopcji.

Dzieci potrzebują miłości, opieki i bezpieczeństwa, które – jak pokazują badania – zapewniają im w nie mniejszym stopniu tężowe rodziny. Badania prowadzone głównie w USA i Wielkiej Brytanii pokazują, że homoseksualni rodzice wychowują zdrowe, najnormalniejsze w świecie dzieci. Mało tego, ponieważ parom homo tak trudno je mieć, są bardziej wychuchane niż dzieci w rodzinach hetero. W gejowskich rodzinach nie ma też dzieci niechcianych, bo przecież nie urodzą się przez przypadek. Ponadto geje i lesbijki starają się dwa razy bardziej, żeby być świetnymi rodzicami, bo wiedzą, że są pod nieustanną obserwacją społeczeństwa, działa tu mechanizm wzorowego rodzica.

To rodzice, a dzieci?

Jak pokazują badania – bo wolałabym opierać się na badaniach, a nie na przesądach – dzieci wychowywane przez gejów czy lesbijki są często o wiele bardziej empatyczne w stosunku do in-

nych ludzi, szczególnie tych wykluczonych, dyskryminowanych. Mają ponadprzeciętną świadomość i wiedzę na temat praw człowieka, rzadziej atakują innych. O jakich więc zagrożeniach mówimy?

Że, trzymając się argumentacji konserwatywistów, dzieci rodziców homoseksualnych będą wytykane palcami w szkole.

Przecież po to jest edukacja, żeby to zmieniać. Trzeba uczyć i dzieci, i nauczycieli. Dzieci w okularach, z nadwagą, o innym kolorze skóry też są często wytykane palcami. I co? Mają nie chodzić do szkoły? Nie, tłumaczymy innym, że tak nie wolno.

Kiedy w 1994 r. pracowaliśmy w Szwecji nad ustawą o związkach partnerskich, nie było mowy o małżeństwach czy adopcji dzieci. Dzisiaj mamy i to, i to. Zmiany społeczne zachodzą wolno, ale zachodzą.

Polscy politycy mówią, że to właśnie jest homoseksualna strategia salami. Damy im prawo do związków partnerskich, zażądają małżeństw. Dostaną małżeństwa, zażądają prawa do adopcji.

Ale to nie jest żadna tajna strategia, tylko naturalna zmiana. Przecież legislacja powinna odpowiadać miejscu, w którym aktualnie społeczeństwo się znajduje. Dzisiaj Polacy popierają związki, za 10 lat będą popierać małżeństwa. To się nie nazywa salami, tylko postęp. U nas chrześcijańscy demokraci też byli kiedyś przeciwni małżeństwom gejów i lesbijek, a potem?

Potem ustawa o małżeństwach i adopcji przeszła 244 głosami za, tylko 22 były przeciw.

Otóż to. Poglądy społeczeństw i polityków ewoluują, zmieniają się. Bardzo nam tu pomógł Kościół luterański. Duchowni bardzo zaangażowali się w tłumaczenie ludziom, że wszyscy powinni mieć te same prawa: ludzie hetero- i homo-, bi- i transseksualni.

À propos transseksualizmu. U nas temat pojawił się w publicznym obiegu dwa lata temu, kiedy Anna Grodzka została wybra-

na na posłankę. Zgotowano jej wówczas prawdziwy festiwal pogardy. Robili to i robią do dzisiaj głównie politycy, którzy deklarują się jako bardzo wierzący katolicy. Skąd ta zgola nieewangeliczna pogarda z ich strony?

Ze strachu przed nieznanym. To jest najkrótsza odpowiedź. Jakiś czas temu szwedzka fotografka Elisabeth Ohlson zrobiła projekt artystyczny pod tytułem „Ecce Homo”. Na jednej z fotografii był Jezus, który ostatnią wieczerzę spożywał otoczony osobami transseksualnymi. To był bardzo głośny projekt, który część oburzył, ale większość Szwedów zaczęła się wówczas zastanawiać: „Co by zrobił Jezus?”. Przecież był tym, który chronił słabszych, wykluczonych, potępionych. Powtarzam więc: „Co by zrobił Jezus?”.

Co odpowiedzieli Szwedzi?

Myślę, że większość – co widać w badaniach opinii publicznej – odpowiedziała, że wyciągnąłby pomocną dłoń. Fo ludziom trzeba pomagać. Nam się udało w tym roku tak zmienić prawo,

żeby osoby chcące zmienić płeć nie musiały być obowiązkowo sterylizowane, czego wymagało nasze poprzednie ustawodawstwo. To ważna zmiana. Nie mówiąc już o tym, że operacja nie jest też wymagana. Zmuszanie ludzi do operacji jest wbrew prawu człowieka do decydowania o sobie.

Mniejszości seksualne to niejedyna grupa, którą się pani zajmuje. Od lat walczy pani z dyskryminacją ludzi starszych. To duży problem?

Dopóki nie zostałam przewodniczącą Szwedzkiej Rady Ludzi Starszych, nie zdawałam sobie sprawy jak bardzo. To znaczy, wiedziałam, że dyskryminacja jest, bo sama jestem osobą starszą, ale żeby aż tak?

Jakieś przykłady?

Proszę bardzo. 70-latek, który nie może dostać karty kredytowej i słyszy, że w jego wieku pozostaje płacenie gotówką. Starsze małżeństwo, które nie mogło dostać kredytu w banku, mimo że mieli nieruchomości pod zastaw.

Seniorzy są dyskryminowani nie tylko na rynku dóbr i usług, lecz także w służbie zdrowia. Kiedy moja wnuczka złamała rękę, trzeba ją było operować. Lekarz powiedział jej, że teraz to zoperują, ale jakby była stara, to by zostawili tak, jak jest. Wnuczka wróciła do domu, opowiada mi to i pyta: „Babciu, czy twoja ręka jest ci mniej potrzebna niż moja mnie?”.

Kolejny problem to politycy, którzy – wiadomo – wiedzą lepiej, czego potrzebują starsi ludzie. A jak już wiliśmy, to ludzie wiedzą lepiej, czego chcą, dlatego staramy się zmuszać polityków do konsultacji i wdrażania takich rozwiązań, których rzeczywiście potrzebują ludzie starsi.

A kiedy człowiek staje się stary? Gdzie jest granica?

Jestem przeciwna wyznaczaniu arbitralnie jakiejś granicy wieku. Człowiek jest stary wtedy, kiedy przestaje się przejmować tym, co będzie jutro.

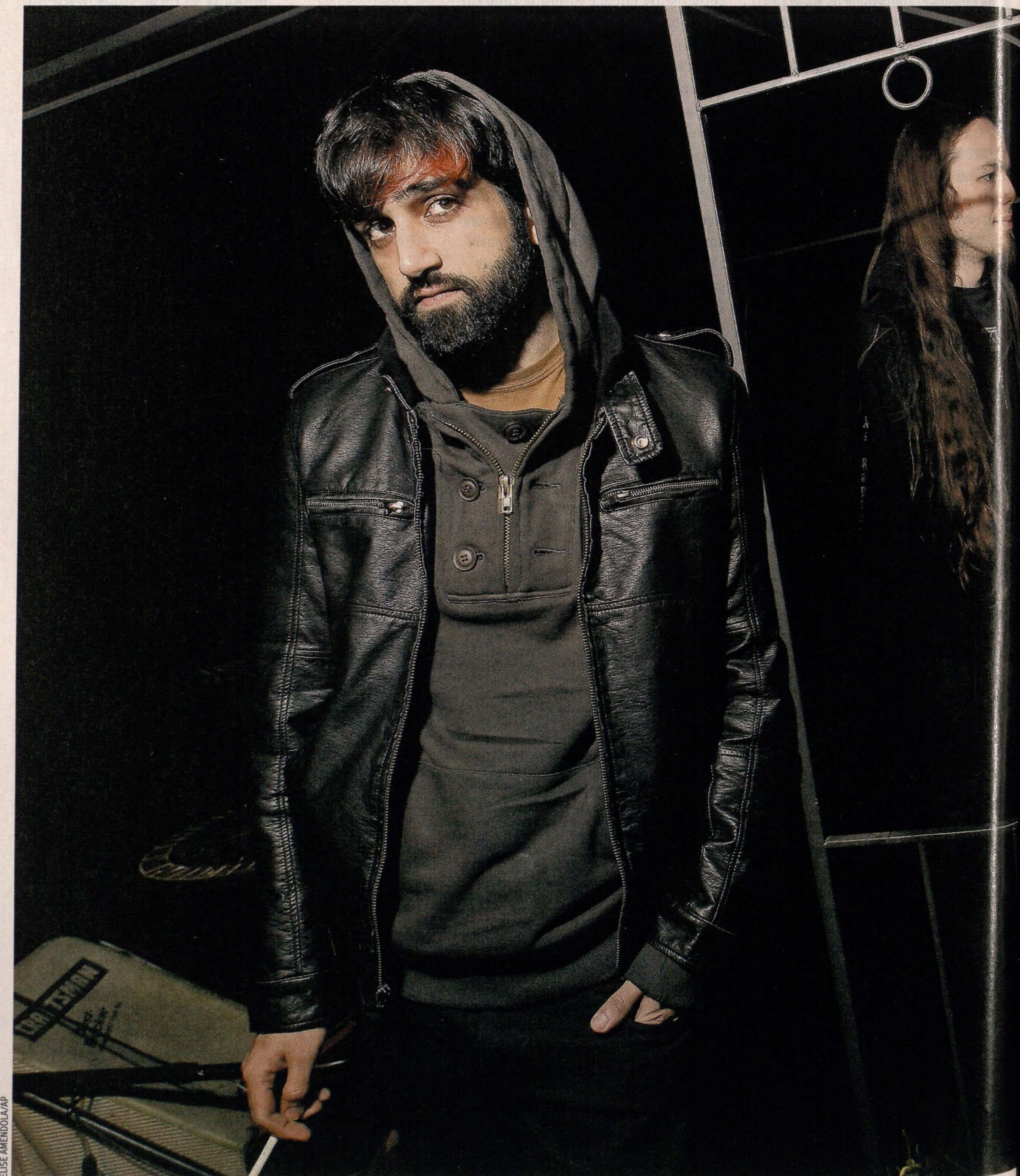
Pani się przejmuje?

Nawet pan nie wie, jak bardzo. ☹



Seniorzy są w Szwecji dyskryminowani nie tylko na rynku dóbr i usług, lecz także w służbie zdrowia.

DANIEL EBERTOWSKI



EWA KALETA

Islamski punk rock

Taqwacore – to hasło, na dźwięk którego muzułmańska młodzież w Europie staje gotowa do rewolucji. Taqwa po arabsku znaczy „świadomy istnienia Boga”, „core” to człon terminu hardcore, odmiany punk rocka.

Zespół The Kominas debiutował singlem „Rumi was a homo, Wahaj is a fag”.

Swoją popularność Taqwacore zawdzięcza amerykańskiemu konwertycie Michaelowi Mahommedowi Knightowi, który wskazał młodym muzułmanom z USA drogę i objawił nowy dogmat – islam to bunt przeciwko ujednoczonej kulturze, kliszom tradycjonalizmu. A doszedł do tego po studiowaniu Koranu w Pakistanie, gdzie próbował dostosować się do konserwatywnego islamu. Nie udało mu się. Wrócił i napisał „Taqwacore”, powieść, która stała się manifestem postislamu. Taqwa po arabsku znaczy „świadomy istnienia Boga”, core to człon terminu „hardcore”, odmiany punk rocka. Taki właśnie może być współczesny islam: religijny i buntowniczy.

Sufi był gejem

Taqwacore to ruch społeczny i muzyczny. Jego korzenie sięgają lat 70., kiedy to The Alien Culture, grupa pakistańskich emigrantów w wielkiej Brytanii, zaśpiewała po raz pierwszy „Culture Crossover”. Nazwa zespołu to komentarz do publicznej wypowiedzi ówczesnej premier Margaret Thatcher o zalewających Wyspy obcych kulturach. Niedługo później w USA, w Teksasie, powstał zespół Fearless Iranians From Hell. Oba zespoły to undergroundowe ikony, które nigdy nie trafiły do mainstreamu. Pierwszym zespołem skierowanym

do szerokiej publiczności był amerykański The Kominas, który debiutował singlem „Rumi was a homo, Wahaj is a fag”. To pastisz na Siraja Wahaja, jednego z najpopularniejszych imamów w USA, znanego z publicznych wypowiedzi o homofobicznym charakterze. Tekst singla wprowadza jednocześnie kontrowersyjną interpretację poezji Rumiego – islamskiego myśliciela i filozofa, sugerując, że sławny sufi był gejem. Świat islamski zadrżałby w posadach, gdyby oprócz salafizmu i szyizmu uznał Taqwacore i muzułmańskie LGBT za nowe rozwojowe nurty i religijny lifting. Bo czy istnieje równie przekonujący argument na korzyść Allaha jak ten, że jego przekaz jest ponadczasowy, a współczesność go nie psuje?

Taqwacore wzięło pod skrzydła wszelkie mniejszości. Od homoseksualistów przez transwestytów po palących marihuanę islamskich punków z Malezji, dla których maryśka jest tym, czym manna spadająca z nieba była dla ludu Abrahama. W podobnym tonie prezentuje się progressive islam – ruch działający na rzecz liberalnego rozwoju zrzeszający młodych muzułmanów, którzy twierdzą, że „homosexuality is halal”, co w wolnym tłumaczeniu oznacza: homoseksualizm jest dobry, słuszny, pochwalany przez Allaha. W najprostszym tłumaczeniu halal jest tym, co dozwolone, haram – tym, co zakazane. Progressive islam opowiada się za równością kobiet, sprzeciwia się aranżowanym małżeństwom nieletnich, chce delegalizować kary cielesne (na przykład kamienowanie) nakładane pod szyldem szariatu – muzułmańskiego prawa religijnego regulującego wszystkie sfery życia, zarówno osobistego, jak i publicznego.

Patchwork idei

Naczelne hasło ruchu to wolność wyboru. Opiera się ona na prawach obywatelskich i prawach człowieka, które mają swoje podstawy w Koranie, pełniącym między innymi funkcję ko-

deksu moralno-obyczajowego. Bez trudu można odnaleźć w nim zasady odnoszące się między innymi do sprawiedliwości płciowej. Progressive zachowuje powściągliwość w kwestii zakrywania włosów i ciała przez kobiety oraz kontaktów przedmażeńskich pomiędzy młodymi. Jeśli chodzi o regulacje w kwestii miłosnej, zdy-



MATERIAŁY PRASOWE

stansowany kontakt pomiędzy kobietą a mężczyzną, który z europejskiego punktu widzenia przypomina niekończący się, dręczący flirt zakończony małżeństwem, jest według założeń progressive sferą intymną i prywatną zainteresowanych. A to jest w świecie islamu podejście wyrotowe – nieregulowany prawnie kontakt damsko-męski jest dla młodego pokolenia jednym z ważniejszych praw osobistych. Chodzi o wybór: jeśli nie chcesz kontynuować tradycji skrajnego celibatu,

obejmującego nawet spojrzenie, nie musisz. Możesz natomiast ze swojej wiary zrobić patchwork idei, zwyczajów i poglądów.

A zakrycie ciała nie jest już tylko symbolem zniewolenia kobiet przez mężczyzn, ale również alternatywną drogą dla młodych buntowniczek, które nie chcą pokazywać twarzy. Jak

Al-Thawra w pełnym składzie. Nazwa pochodzącego z Chicago zespołu po arabsku oznacza: rewolucja.

niesie wieść propagandowa, my w Europie winniśmy arabskie kobiety ratować przed burką. Ale co jeśli staje się ona narzędziem buntu wymierzonym w konsumpcjonizm, modę i seksizm? Burka prowokuje do myślenia. Bohaterka powieści „Taqwacore” Michaela Knighta nosi burkę z wyszytymi rewolucyjnymi hasłami. Broni prawa do całkowitego zakrycia, wcale nie z powodu muzułmańskiej pokory i nieśmiałości. We współczesnym świecie zakrycie staje się niezrozumia-

łą perwersją, przekraczającą granice logiki, bo przecież zachodni świat jest odkryty, widoczny, przez co przewidywalny. Odkrywając się, mówimy tym samym – nie mamy nic do ukrycia. Dlatego burka staje się symbolem buntu.

Religia jest wodą

Bohaterowie książki Knighta żyją na squacie, imprezują, palą, piją i... odprawiają dżummę – piątkową modlitwę, składając pokłony twarzą do Mekki, nie na kolorowych folklorystycznych dywanikach, ale na swetrach i tekturowych pudłach. Obalają tasfir, czyli tradycyjne interpretacje Koranu. To właśnie w nich znajdziemy wszelkie nakazy i zakazy dotyczące obyczajowości. W zrozumieniu i przestrzeganiu ich treści pomagają lub przeszkadzają imamowie, islamscy uczeni w Piśmie. Również przeciwko nim obracają się wyzwoleni muzułmanie. Jak mówi bohater dokumentu Omara Majeeda (relacjonującego trasę Michaela Knighta z The Kominas i The Secret Trial Life szkolnym busem po USA): „Nie ma żadnego imama, nie ma nikogo pomiędzy Tobą a Allahem”. Oskarżani o herezję, okła-

Żyją na squacie, imprezują, palą, piją i... odprawiają dżummę – piątkową modlitwę, składając pokłony twarzą do Mekki.

dani fatwami, buntują się. Twierdzą, że są mieszkanką dwóch kultur, a ich muzyka to głos frustracji. „Drugie pokolenie”, czyli dzieci emigrantów urodzone lub wychowane na Zachodzie, łączy to, co niemożliwe. Kulturę Zachodu z jedną z najbardziej radykalnych religii na świecie. Na styku tych płaszczyzn iskrzy.

Dwie sprzeczne siły są gwarancją spięcia, ale dwa języki możliwością dialogu – tak przynajmniej twierdzi Knight, który porównuje wiarę

do znajomości języka. Wie coś o tym, sam jest katolickim emigrantem. Mówi w dialekcie chrześcijaństwa, w którym wychowywał się do 15. roku życia, i językiem islamu. Nie uznaje słowa „religia”, ponieważ oznacza ono jedynie historię i kulturę danego kraju, a wiara jest poza ich granicami i podlega nieustającemu współtworzeniu, a co za tym idzie, ciągłym przemianom. „Religia nie jest kamieniem, jest wodą” – twierdzi. Wszystko jest kwestią interpretacji, choćby prowadzenie modlitw w meczecie przez kobiety – zabrania tego prawo religijne, ale sam islam według Knighta nie zawiera w sobie żadnych jednoznacznych wskazówek na ten temat. „Możesz być muzułmaninem i katolikiem, a do tego marksistą, feministą i anarchistą. Nie wierz w zasadę: wszystko albo nic” – przekonuje Knight w jednym z wywiadów.

Jest on również autorem artykułów „Jak nie brzmieć jak kretyn, kiedy mówisz o islamie”, „Paris Hilton w Mekce” lub „Jak być muzułmaninem w trakcie świąt Bożego Narodzenia”, w których interpretuje zdarzenia społeczne z punktu widzenia muzułmanina i konwertyty. Właśnie z tego powodu

wysunął się na prowadzenie, zostawiając w tyle wielu imamów. Powiedział młodym muzułmanom, jak rozumieć naszą współczesną rzeczywistość, która jeśli Allah istnieje, jest jego największym performance'em.

Islam znaczy postęp

Islamskie ruchy anarchistyczne podważające autorytety pojawiały się już w XIV wieku w Turcji. Wtedy to sufi Sheikh Bedrettin w swoich pismach zawarł idee socjalistyczne i demokra-



MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Taqwacores”. Ekranizacja bestsellerowej powieści Michaela Muhammada Knighta rozstrawiła islamski punk.

tyczne, nawołując do ponadreligijnej solidarności, za co – jak nietrudno się domyślić – został potępiony przez osmańskich religijnych uczonych. Wyznawcą podobnych wartości był Abdul Ghaffar Khan, hinduski polityk i duchowy lider pacyfistycznej grupy sprzeciwiającej się brytyjskiej kolonizacji Indii, potępiający przemoc, bliski przyjaciel Ghandiego. Cały ruch sufi to nic innego jak teologiczny ruch oparty na pacyfizmie. Wyznawcy to medytujący uczeni, poeci i mistycy. Najbardziej popularny z nich jest Rumi, znany między innymi z dwuznacznych nawiązań miłosnych i erotycznych w swoich poematach.

W konsekwencji amerykańskiej propagandy islam wydaje się być religijną skamieliną widniejącą na tle afgańskich gór. Niebezpieczną, niereformowalną kulturą i religią sprzeczną z postępem. Tymczasem zupełnie niezależnie od trwającej nagonki medialnej na naszych oczach powstają muzułmańskie ruchy biorące na sztandary najbardziej aktualne lewicowe postulaty, zaczynając od weganizmu, kończąc na antyglobalizmie. Spójrzmy wstecz – tłumy na placu Tahrir, kilkutyśne manifestacje na ulicach Libii, obalenie arabskich dyktatorów, pierwsze demokratyczne wybory w Tunezji, a to wszystko w rękach tłumy. Czysty punk rock, którego muzułmańskim kolegom mogłoby pozazdrościć przejedzeni nudziarze z Zachodu. ☞

JULIA WIZOWSKA

Wietnamczyk śni o Ba Lan

Jadą do Polski kilka miesięcy, czasem rok. Za dotarcie do kraju marzeń Wietnamczycy płacą nawet kilka tysięcy dolarów. W Polsce czekają ich najczęściej praca na czarno i bezowocne starania o status uchodźcy. 10 lutego będą obchodzić **wietnamski Nowy Rok**. Jakie mają postanowienia?

Różne źródła podają, że w Polsce, po wietnamsku Ba Lan, przebywa od 80 do 300 tys. nielegalnych imigrantów. Dokładna liczba jest trudna do określenia, ponieważ przyjezdni starają się być niewidoczną. Aby pozwolić im wyjść z ukrycia, państwo co parę lat wprowadza abolicję. W 2012 r. do urzędów wojewódzkich w całej Polsce z zamiarem zalegalizowania swojego pobytu zwróciło się ponad 9,5 tys. osób. Najwięcej, bo 2189 wniosków pochodziło od obywateli Wietnamu. To najliczniejsza grupa obcokrajowców zainteresowana pozostaniem w Polsce.

Skazani na Wólkę

Gdy Nam przyjechał do Polski, miał 21 lat, paszport z czeską wizą, bo tę łatwiej jest w Wietnamie dostać niż polską, i przekonanie, że ma wyjątkowe szczęście. Zaczął pracować na istniejącym wówczas Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie, pomagając współziomkowi w sprzedaży towaru ze straganu. Od tego, czy się porozumie z klientami, zależał dzienny utarg na straganie. A od utargu – dniówka. Dlatego też podczas przesłuchania abolicyjnego w urzędzie wojewódzkim potrafił nazwać po polsku części garderoby. Jak dobrze szło, Nam dostawał na stadionie 50 zł dziennie. A że pracował świątek piątek, co miesiąc udawało mu się dobić do minimalnej krajowej pensji.

Wietnamczycy to najliczniejsza grupa obcokrajowców, która chce żyć i pracować w Polsce.

Minus opłaty za mieszkanie i w kieszeni zostawało ok. 1000 zł. W myślach dziękował więc kolegom, którzy zachwalali Polskę jako kraj, w którym przy oszczędnym życiu i stałej pracy uda się przeżyć.

Ale o pracę w Polsce trzeba się postarać. Gdy istniał jeszcze targ na koronie dawnego Stadionu Dziesięciolecia w Warszawie, był on miejscem zatrudnienia największej liczby wietnamskich imigrantów. Obecnie pałeczkę pracodawcy przejęły hale handlowe w Wólce Kosowskiej. Jest ona jedną z najbogatszych miejscowości w regionie. – Wólka podzielona jest na sektory, którymi władają głównie komuniści wietnamscy. Od nich imigrant może wynająć kiosk. Tylko że kwota wynajmu podobna jest do wartości

dzierżawy butiku w centrum Warszawy. Ale nie da się otworzyć butiku, będąc nielegalnym imigrantem – wyjaśnia Robert Krzysztoń ze Stowarzyszenia Wolnego Słowa, działacz podziemnej „Solidarności”, którego żona pochodzi z Wietnamu i jest również zaangażowana w działalność na rzecz imigrantów. Nielegalni imigranci pracują więc na czarno jako pomoc fizyczna: tragarze, magazynierzy. – Jest ich w Wólce ok. 10 tys. Są skazani na tę pracę, bo raz w miesiącu muszą opłacić ratę kredytu za przyjazd do Polski – dodaje Krzysztoń.

Droga do kraju marzeń

Pracownicy organizacji pozarządowych, zajmujących się uchodźcami



i imigrantami szacują, że co miesiąc polską granicę przekraczają trzy-cztery transporty z Wietnamczykami. W każdym z nich może być do stu osób. W większości są to imigranci ekonomiczni, choć zdarzają się też polityczni. Ich podróż do Polski trwa nawet rok.

Najpierw, z wizą turystyczną w paszporcie, grupa Wietnamczyków wraz z przewodnikiem dociera do Moskwy. Tam, mamieni obietnicą otrzymania polskich papierów, imigranci raz na zawsze rozstają się z dokumentami tożsamości. Rozpoczynają życie „na nielegalu”. Trafiają do specjalnie wynajętych lokali, gdzie czekają na dalszą drogę. Miesiąc, dwa, czasem więcej. Jak Dong, 27-letni Wietnamczyk, który z Moskwy wyruszył dopiero po 9 miesiącach. Przez ten czas mieszkał w pomieszczeniu gospodarczym nad targiem. Jego znajomy, Cong, miał więcej szczęścia: w Rosji spędził półtora miesiąca, chowając się w jakimś baraku w środku ogrodu. Ale za to drogę z Ukrainy do Polski musiał przebyć na piechotę.

– To, że Wietnamczycy przyjeżdżają do Polski, nie jest przypadkiem – mówi Robert Krzyszoń. – Polska jest dla nich symbolem walki o wolność. Mitem „Solidarności” i ojczyzną papieża. To budzi zaufanie u mieszkańców totalitarnego Wietnamu.

Za możliwość dotarcia do Polski każdy z wietnamskich imigrantów płaci. Dong musiał oddać pośrednikowi 9 tys. dol. Cong o 2 tys. mniej. Ale dla zarabiających średnio 30 dol. na miesiąc Wietnamczyków każda suma liczona w obcej walucie wydaje się kosmiczna. Aby więc wysłać jedną osobę za granicę, rodziny zastawiają niejedną dom. Dong zebrał aż 11 aktów własności. Śmieje się, że ma dużą rodzinę. Zostanie ona jednak wyrzucona na bruk, jeżeli Dong nie odpracuje długu.

Z deszczu pod rynną

Gdy Wietnamczycy przyjeżdżają do Polski, są przez przewodnika informowani o tym, że licząc na otrzymanie statusu uchodźcy, zawiodą się. A bycie nielegalnym oznacza deportację do Wietnamu bez możliwości anulowania długu. A zatem, jeśli wpadną w ręce policji podczas kontroli, będą mogli liczyć tylko na siebie.

W czasie kontroli pod hale targowe podjeżdżają busy. Teren otacza się ze wszystkich stron, do środka zgania się ludzi i pakuje ich do autobusów. Zatrzymanym natychmiast odbierane są telefony komórkowe, by nie mogli poinformować o kontroli współziomków.

Większość zatrzymań Wietnamczyków kończy się puszczaniem wolno. Często za łapówkę – jak twierdzą pracownicy organizacji pozarządowych, zajmujących się nielegalnymi imigrantami: – Jeśli nie masz dokumentów, dajesz pięćset złotych. Jak nie masz gotówki, to płacisz zegarkiem, obrączką, medalikiem – wszystkim, co ma jakąś wartość. To w najlepszym przypadku. W gorszym łapanka kończy się zatrzymaniem. Cudzoziemców transportuje się do oddziału Straży Granicznej, gdzie

W czasie łapanek nielegalnych imigrantów młodym Wietnamkom kazano się rozbierać. Pozarządowcom znane są też przypadki gwałtów, o których dziewczyny bały się powiadamiać policję.

godzinami trwa sprawdzanie dokumentów. Nierzadko zatrzymanych spotyka przemoc: fizyczna lub psychiczna. Opowiada o niej Robert Krzyszoń: – Raz przyjeżdżam do Straży Granicznej na wezwanie Wietnamczyka, którego żonę zatrzymano, i widzę: imigranci stoją na podwórku, ze wszystkich stron otoczeni strażnikami w czarnych strojach i w kominiarkach na twarzach. Strażnicy przy okazji świetnie się bawili: mierzyli z broni do ludzi i przeprowadzali małe grupki z jednej strony na drugą, mówiąc do nich po niemiecku: „Schnell! Hände hoch!”.

Kiedy pod Pałacem Kultury w Warszawie stały jeszcze blaszane hale Kupieckich Domów Towarowych, pomieszczenia dla ochrony podczas łapanek służyły za sale dla zatrzymanych. Zaprowadzonym tam młodym Wietnamkom kazano się rozbierać. Tak dla zabawy. Pozarządowcom znane też są przypadki gwałtów na imigrantkach.

Te jednak bały się gdziekolwiek skarżyć, bo są w Polsce nielegalnie.

Jak za Hitlera

Dla Donga – tego, który wcześniej przesiedział w Moskwie dziewięć miesięcy w oczekiwaniu na dalszą drogę do kraju marzeń – to był zwykły dzień w pracy. Dorabiał jako tragarz w Wólce Kosowskiej, ciągnął więc, swoim zwyczajem, wózek z jednej hali targowej do drugiej. Nie spodziewał się kontroli – te większe odbywają się zazwyczaj rano. Ale miał nieszczęście trafić na mniejszą. Szybka kontrola dokumentów pokazała, że mężczyzna przebywa w kraju nielegalnie. Dong trafił do aresztu.

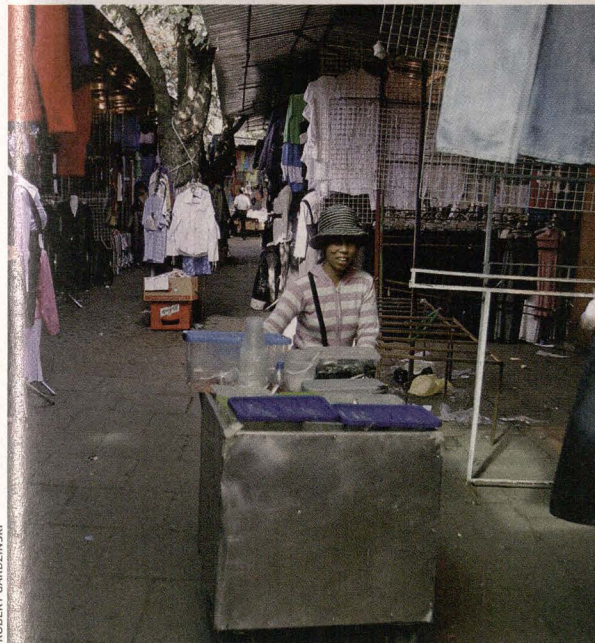
– Zatrzymani imigranci przewożeni są do sądu rejonowego, gdzie odbywa się rozprawa, podczas której sądzony nie ma prawa zabrać głosu we własnej sprawie. Nie ma miejsca dla adwokata. Jest tylko sędzia i strona skarżąca, czyli Straż Graniczna – opowiada Robert Krzyszoń. – Protokoły z rozprawy przypominają okupację: dokładnie co kwadrans zapada wyrok. Dziewięćdziesiąt dni aresztu w obozie dla cudzoziemców.

Okres pobytu cudzoziemca w areszcie w celu wydalenia z kraju nie może być dłuższy niż rok. Dong spędził w nim sześć miesięcy. Wszystkie przebyte za kratami dni zlały się w jego umyśle w jeden. Bo każdy kolejny wyglądał jak poprzedzający: pobudka, śniadanie, czas wolny, obiad, czas wolny, kolacja. I godzina dziennie spaceru na świeżym powietrzu. Pamięta, że niczego nie chciał bardziej, niż opuścić ścian aresztu. To było wspólne marzenie wszystkich przebywających razem z Dongiem cudzoziemców – w większości Pakistańczyków i Czeczeńców. Dong miał szczęście: w czasie, gdy siedział w areszcie, weszła kolejna ustawa pozwalająca nielegalnym imigrantom wyjść z ukrycia. Mężczyzna mógł więc wyjść, żeby złożyć dokumenty i czekać na wyniki abolicji.

Jednak nie każdy Wietnamczyk ma tyle szczęścia. W czasie, kiedy oskarżony o nielegalny pobyt w Polsce siedzi w areszcie, polska strona zwraca się do Ambasady Wietnamu z pytaniem, czy potwierdza tożsamość jegomościa. Jeżeli



PRZEMEK WIERZCHOWSKI



ROBERT KRZYSZOŃ

potwierdzi – cudzoziemca się deportuje. A to oznacza, że pozbawia się go możliwości odpracowania długu, który zaciągnął, by dotrzeć do Polski. Może go czekać smutny los. – Wiemy o sześciu osobach, które po deportacji do Wietnamu zostały rozstrzelane. A cała masa trafiła do obozów – komentuje Robert Krzyszoń.

Żeby dotrzeć do Polski, Wietnamczycy zaciągają w rodzinach długi, których w razie deportacji nie mogą spłacić. W Wietnamie czeka ich czasem nawet śmierć.

Wszelkimi sposobami

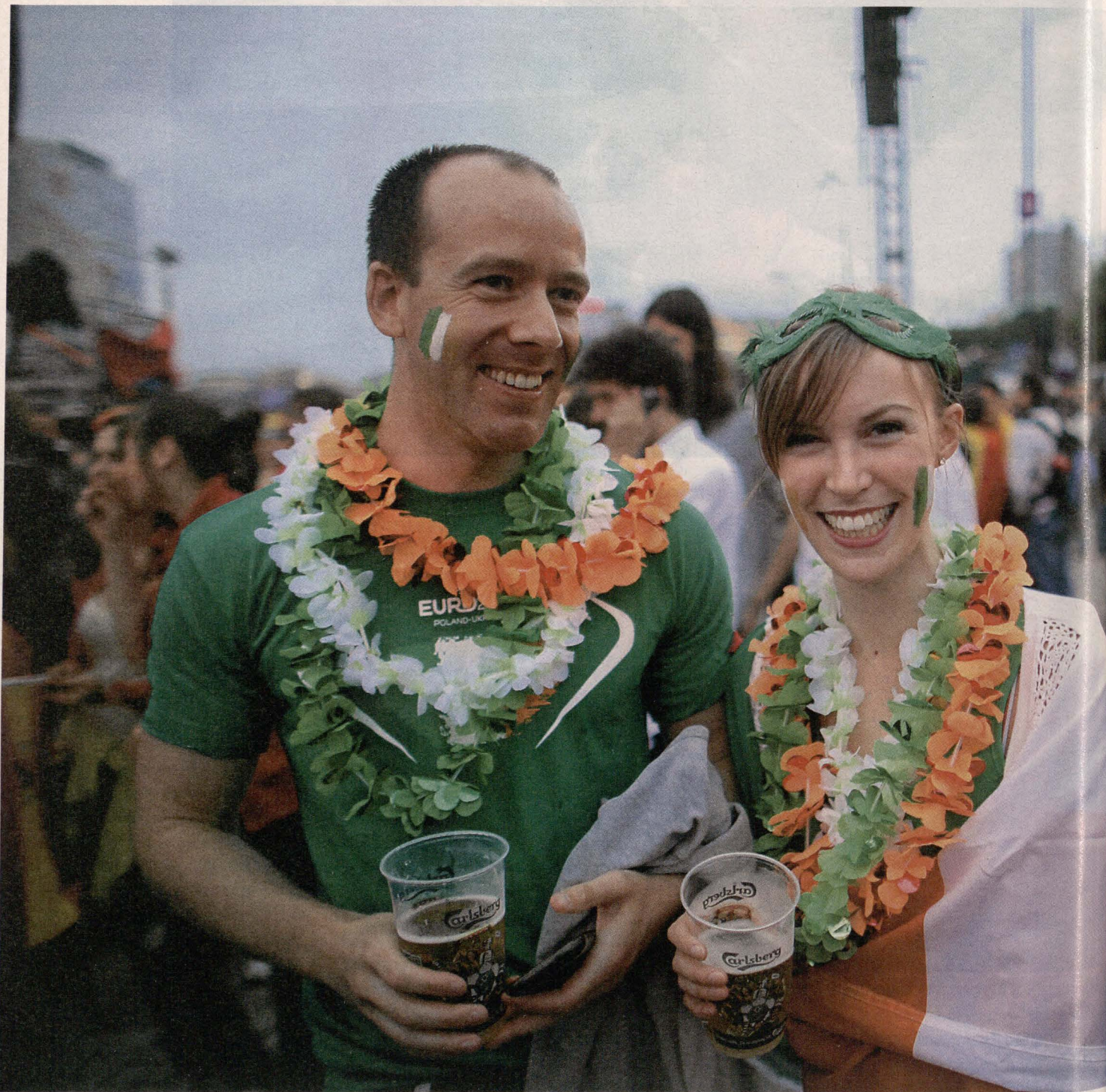
Dlatego Wietnamczycy za wszelką cenę próbują zostać w Polsce i zalega-

lizować swój pobyt. Nie zwracają uwagi na upokorzenia, które ich tu spotykają. „Czy posługiwał się pan kiedyś fałszywymi dokumentami?” – pyta Nama, tego, który do Polski wjechał z czeską wizą, urzędniczka państwa podczas przesłuchania abolicyjnego. Nam odpowiada twierdząco. Chciał przecież zalegalizować pobyt w Polsce, dlatego w 2010 r. zwrócił się do pośrednika w Wólce Kosowskiej z pytaniem, co ma zrobić. Gdyby był młodszy, usłyszał w odpowiedzi, załatwiliby mu dokumenty. „Odmłodził się” więc o kilka lat. Jako nieletni miał większe szanse na otrzymanie pozwolenia na pobyt. Pośrednik dostarczył Namowi paszport wydany przez wietnamską ambasadę: autentyczny, tyle że ze zmienioną datą urodzenia. A za „przysługę” pośrednik otrzymał 2500 dol. Gdyby dzięki fałszywym dokumentom udało się wówczas Namowi otrzymać pobyt, musiałby dopłacić pośrednikowi 7500 dol. Ale się nie udało. Dlatego wyrzucił fałszywy paszport i postanowił legalizować swój pobyt zgodnie z literą prawa. Poniósł jednak kolejną porażkę. Ostatnio otrzymał decyzję abolicyjną – odmowę. Możliwe, że Nam będzie się odwoływał od decyzji. Jak pokazuje praktyka, odwołania są skuteczne.

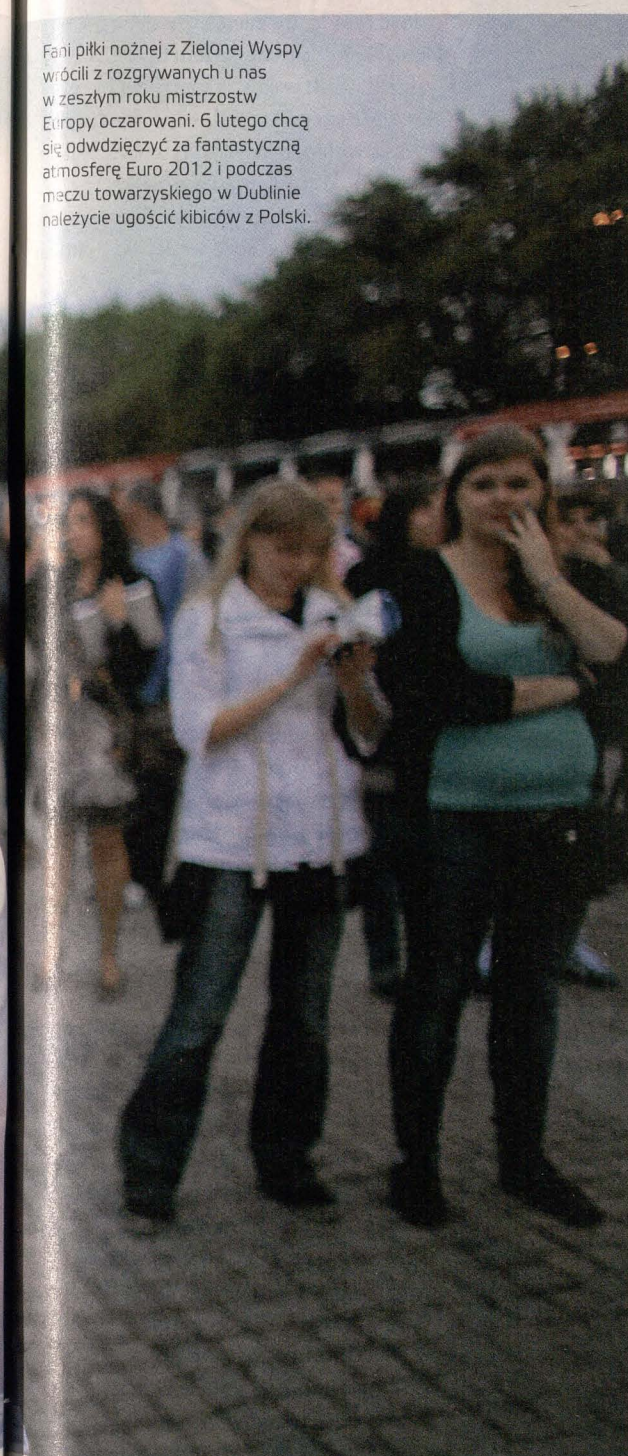
Skorzystać z prawa abolicyjnego i zalegalizować pobyt może każdy, kto od pięciu lat nieprzerwanie przebywa w Polsce, a także ten, któremu dwa lata temu odmówiono nadania statusu uchodźcy. Wystarczy wypełnić wniosek, wnieść opłatę skarbową i czekać na rozpatrzenie. A w międzyczasie odbyć rozmowę z pracownikiem urzędu wojewódzkiego, który ma za zadanie sprawdzić, czy cudzoziemiec podał we wniosku abolicyjnym prawdziwe dane. Od decyzji urzędu wojewódzkiego – pierwszej instancji – można się odwoływać. Tak zrobił np. Dong. Zaproponował, by urzędnicy przesłuchali świadków jego pobytu na terenie Polski i w rezultacie osiągnął cel. Dostał zgodę na pobyt w Polsce.

Odmowę w pierwszej instancji otrzymał także jego znajomy, Cong. Ten sam, który drogę z Ukrainy do Polski przebył na piechotę. Cong nie odwoływał się od decyzji urzędników, tylko złożył jeszcze raz ten sam wniosek. A na wszelki wypadek przygotował bajkę dla rodziny, która ciągle pyta, dlaczego innym Wietnamczykom Polacy pozwalają na pobyt, a jemu nie. Powiedział, że jemu też pozwolą. Trzeba tylko cierpliwie poczekać. Mija właśnie kolejny wietnamski rok. 10 lutego rozpocznie się nowy. Może uda się w przyszłym roku? ☞

Nielegalni imigranci z Wietnamu pracują na czarno jako pomoc fizyczna: tragarze, magazynierzy. Jest ich w podwarszawskiej Wólce Kosowskiej ok. 10 tys.



Fani piłki nożnej z Zielonej Wyspy wrócili z rozgrywanych u nas w zeszłym roku mistrzostw Europy oczarowani. 6 lutego chcą się odwdziżyć za fantastyczną atmosferę Euro 2012 i podczas meczu towarzyskiego w Dublinie należycie ugościć kibiców z Polski.



To jest miłość, nagle, niespodziewana, taka od pierwszego wejrzenia. Od czerwca ubiegłego roku na tysiące Polaków pracujących w Dublinie, Cork czy Limericku miejscowi patrzają inaczej. Żal o podkradanie pracy zastąpiła sympatia. Piłka nożna przeniosła się na cywilny grunt, ułatwiła życie. Irlandzcy kibice wrócili do kraju dużo później niż ich drużyna, bo zasiedzieli się w polskich barach i roztańczyli na ulicach. Polacy znaleźli w nich bratnie dusze, ugościli w swoich domach. „Czas im podziękować” – Dublin czeka na mecz z naszą reprezentacją i szykuje się na wielką imprezę.

Irish party z Polish hot dogs

Boys in Green – słynna na cały świat, największa zrzeszona grupa irlandzkich fanów od kilku tygodni – prowadzi akcję na swojej stronie internetowej. Zbierają pomysły, co zrobić, by Polacy zapamiętali mecz z Irlandią, tak jak oni pamiętają wizytę w Polsce. Kibice zorganizowali już oficjalny mecz na pełnowymiarowym boisku, a że podziały nie są mile widziane, to w tym samym czasie odbędzie się turniej zespołów pięcioosobowych, konieczne w mieszanym, polsko-irlandzkim składzie. Ma być głośna muzyka, dużo piwa i tańca, no i „Polish hot dogs”, chociaż w tym przypadku akurat nie do końca wiadomo, na czym polega wyjątkowa receptura. Może chodzi o zapiekanki?

Strona Boys in Green jest jak prozac dla tych, którzy źle czują się w Polsce. Wystarczy na pół godziny zajrzeć na forum i w zakładce „Thank You Poland” dowiedzieć się, w jak pięknym miejscu na ziemi żyjemy. Irlandczykom na Euro podobało się wszystko. Pociągi były czyste i rzadko się spóźniały, ludzie otwarci, piwo smaczne, pogoda doskonała, a kobiety najładniejsze na świecie. „Polska przerosła moje wyobrażenia. To była podróż mojego życia”, „Sopot to raj na ziemi, na pewno tam wrócę, a tym ludziom nie wiem, jak dziękować”, „nigdy nie spotkaliśmy przyjaźniejszego narodu na świecie” – irlandzcy kibice piszą setki wspomnień z Euro

i właściwie nie ma żadnego, które stałoby nas w złym świetle.

Zaraz po zakończeniu turnieju kilku kibiców w Polsce otworzyło na Facebooku profil promujący jak najszybsze zorganizowanie meczu towarzyskiego między Polską i Irlandią w Poznaniu. Dzisiaj projekt ma ponad 20 tys. fanów i chociaż najbliższy mecz odbędzie się w Dublinie, niewykluczone, że to dopiero początek współpracy pomiędzy obiema piłkarskimi federacjami. Taka przyjaźń jest ewenementem na skalę europejską, chcieliby na tym skorzystać Irlandczycy, chciałby i PZPN.

Kibic jak marzenie

W styczniu na konferencji prasowej w Warszawie przedstawiono założenia nowego programu. – Byliśmy wzruszeni wspaniałym przyjęciem naszych kibiców w Polsce. Chcielibyśmy za to wszystko podziękować i wyjść z inicjatywą, która podtrzyma te więzi. Z tego powodu pragniemy zaprosić polskich kibiców do Dublina na mecz. Gwarantuję, że postaramy się dorównać wam gościnnością – powiedział John Delaney, dyrektor wykonawczy FAI (Irlandzka Federacja Piłkarska).

Kibice w Dublinie będą podzieleni na sektory tylko teoretycznie. W Irlandii żyje obecnie około 125 tys. Polaków, którym nikt nie zamierza robić problemów z zakupem biletów na sektory fanów gospodarzy, niektórzy już dostali je zresztą w prezencie od swoich znajomych i pracodawców. Zajęta będzie tylko część trybun, na której kibice deklarują aktywny udział w dopingiu. A jak potrafią dopingować Irlandczycy, cała Europa przekonała się na Euro.

Była 87. minuta drugiego meczu w grupie, Irlandia grała z Hiszpanią i właśnie zegnała się z turniejem. Trybuny w Gdańsku nadal były pełne i głośne jak nigdy dotąd. Irlandczycy przegrywali 0:4, na boisku nie mieli nic do powiedzenia, ale nawet hiszpańscy komentatorzy telewizyjni postanowili przez kilka minut milczeć, by widzowie mogli posłuchać kibiców z Wyspy. Wykonanie „The Fields of Athenry”

Irlandzcy kibice chcą podziękować Polsce za gościnę na Euro 2012. Już 6 lutego na stadionie w Dublinie wystartuje wielki eksperyment...

MICHAŁ KOŁODZIEJCZYK

Futbol miłości

na kilkadziesiąt tysięcy głosów poruszyło Europę, piłkarze długo nie schodzili do szatni, tępo patrząc w trybunę. Później szef UEFA Michel Platini dał irlandzkim kibicom specjalną nagrodę.

„The Fields of Athenry” opowiada historię Irlandczyka, który podczas wielkiego głodu w XIX w. zostaje karnie zesłany do Australii za kradzież jedzenia dla swojej rodziny. Wielki głód uznaje się za czas narodzin silnego ruchu niepodległościowego w Irlandii, wtedy właśnie wybuchło szybko stłumione powstanie przeciwko Anglikom. Pieśń brzmi patetycznie, ale w Irlandii wykonuje się ją także w barach, jak nasze „Hej, sokoły”. Niekoniecznie na smutno.

W Gdańsku, Poznaniu czy Toruniu, gdzie wielu Irlandczyków mieszkało w trakcie turnieju, niektórzy Polacy zdążyli nauczyć się tekstu. Goście nie chcieli być gorsi i w trakcie meczów swojej drużyny przez kilka minut śpiewali „Polska, biało-czerwoni”. Rozkochali Polaków nie tylko tym, że byli kolorowi, głośni i roztańczeni. Każdy problem rozwiązywali w pokojowy

Strona Boys in Green jest jak prozac dla tych, którzy źle się czują w Polsce. Wystarczy na pół godziny zajrzeć na forum i w zakładce „Thank You Poland” dowiedzieć się, w jak pięknym miejscu na ziemi żyjemy.

sposób, w Internecie rekordy bił film, na którym grupa pijanych Irlandczyków przez dwie minuty śpiewa polskiej policjantce piosenkę „We Love You”. Natalia Rogodzińska razem ze swoim patrolem pilnowała spokoju na jednej z poznańskich ulic, pieśni kibiców wysłuchała z uśmiechem, nie uciekła, nie zawstydziła się. Później występowała w telewizjach śniadaniowych, twierdząc, że dzięki irlandzkim kibicom „jej służba upłynęła bardzo miło”.

Podczas Euro 2012 Irlandczycy udowodnili, że są kibicami idealnymi: potrafili się bawić, a porażki przyjmują z godnością.

Bez genu nienawiści

Ambasador Irlandii w Polsce Eugene Hutchinson stwierdził niedawno, że Polacy i Irlandczycy mają wspólne cechy i wartości. – Nasze więzi są mocne, ale

dość młode, bo zacieśniły się, od kiedy Polska stała się członkiem Unii Europejskiej i wielu waszych rodaków przybyło do naszego kraju, by żyć i pracować. Wasz wkład w nasze życie codzienne bardzo cenimy, dlatego cieszę się, że piłka nożna i współpraca obu federacji pomoże nam jeszcze lepiej się poznać – mówił.

Irlandczycy na Euro w Polsce pokazali dystans, nie tylko kibicując swojej reprezentacji w meczu, w którym się skompromitowała. Wywoływali uśmiech kolorowymi przebraniami, ustępowaniem miejsca kobietom w tramwajach, napisami na transparentach. Hasła typu: „Szukasz męża, pogadaj z nami” czy „Angela Merkel myśli, że jesteśmy w pracy” na trybunach można było zobaczyć równie często jak flagi wspierające w walce piłkarzy. Cieszyli się, że mogą być z reprezentacją na tak wielkim turnieju, mimo kryzysu przyłeciało ich ponad 30 tys.

Uczyli Polaków przyjmowania porażek z pokorą. Trafili do grupy z Hiszpanią, Włochami i Chorwacją, dwie pierwsze drużyny po trzech tygodniach spotkały się drugi raz w finale. Irlandczycy nie mieli wątpliwości, że nawet jeden punkt w tej fazie rozgrywek będzie dla nich sukcesem, Polacy – nadęci i ze swoim Wembley sprzed 40 lat w pamięci – liczyli, że drużyna Franciszka Smudy poradzi sobie z każdym i zawojuje Europę. Obie drużyny skończyły jednak udział w turnieju na tym samym etapie. – Mamy wrażenie, że potrafiliśmy się cieszyć z naszego osiągnięcia bardziej niż Hiszpanie, którzy zdobyli złote medale – mówili Irlandczycy.

Nie łamali prawa, łamali stereotypy. Pokazali, że są kibice piłkarscy pozbawieni genu nienawiści. Polacy, którym się wydawało, że potrafili się bawić, patrzyli na gości z zazdrością. Ale zdołali przełamać swoje opory. Kiedy zobaczyli grupę kilkudziesięciu pomalowanych boso na rynku w Poznaniu, śpiewających „Shoes Off for the Boys in Green”, z obserwatorów przemienili się w uczestników. Polacy lubią zieleń.



MARKUSZ MICHALAK/EAST NEWS

Świetną atmosferę niekończącej się imprezy przerwało zaginięcie w Bydgoszczy 21-letniego kibica Jamesa Nolana. Do poszukiwań chłopaka włączyło się całe miasto, ludzie rozwieszali plakaty na murach i przystankach. Władze rozdały zdjęcia Nolana taksówkarzom, motorniczym i kierowcom autobusów, na Facebooku ruszyła wielka akcja, Polacy organizowali się w kilka osób i przeszukiwali rejon, w którym zaginiony widziany był po raz ostatni. W fanzonie, gdzie kilkanaście tysięcy ludzi oglądało wspólnie mecze, fotografia zaginionego pojawiła się na wielkim telebimie. Niestety, ciało Nolana w Brdzie znaleźli płetwonurkowie, młody Irlandczyk pijany wpadł do rzeki po imprezie w klubie PRL. Policja wykluczyła udział osób trzecich.

W miejscu tragedii pojawiły się dziesiątki zniczy, ludzie wrzucali kwiaty do wody. Irlandzka flaga z żałobnym kirem zawisła na ratuszu i w kilku innych miejscach miasta. Kiedy w Bydgoszczy pojawiła się rodzina zmarłego, by zidentyfikować zwłoki, odczytany został list, w którym bliscy Nolana dziękowali Polakom za zaangażowanie.

– To miała być dla Jamesa wyprawa życia, a okazała się jego końcem. Jesteśmy bardzo wzruszeni i zaskoczeni wsparciem, jakie otrzymaliśmy od was w tak trudnych chwilach. Działania policji i straży pożarnej były bardzo profesjonalne, prezydent Bydgoszczy zapewnił nam transport, hotel, tłumacza... Dziękujemy – mówił na konferencji Patrick Nolan, wuj zmarłego. Rodzina Nolana uczestniczyła kilka miesięcy później w uroczystości, na której Platini wręczał irlandzkim kibicom nagrodę za ich doping na turnieju w Polsce.

Zielono-biało-czerwoni

W Toruniu, Poznaniu czy Gdańsku zadziałał efekt barceloński. W 1992 r. na igrzyskach w Katalonii pojawili się ludzie, którzy kilka miesięcy później wrócili ze znajomymi, by pokazać im, jak piękne miejsca odkryli. Irlandczycy wracają na imprezy w weekendy, są tanie loty i stare przyjaźnie.

6 lutego w Dublinie gospodarze mają kibicować obu reprezentacjom. No, przynajmniej – skupić się na swojej, ale goście wspomóc gestem i miłym słowem po porażce. Podczas wizyty w Polsce dy-

Przyjaźń między fanami drużyn Polski i Irlandii to fenomen na skalę europejską. Założenie wspólnego klubu kibica byłoby wydarzeniem bez precedensu.

rektor wykonawczy FAI John Delaney zapowiedział, że współpraca obu federacji będzie dużo szersza niż zorganizowanie jednego meczu. – Chcielibyśmy stworzyć polsko-irlandzkie stowarzyszenie kibiców. Tak by Zieloni Chłopcy stali się drugą drużyną, której kibicujecie zaraz po Polsce – tłumaczył.

To byłoby wydarzenie na wielką skalę. Są reprezentacje, których fani darzą się sympatią, ale nikt nie zakłada wspólnych klubów kibica. Polska, gdzie piłka nożna kojarzy się z bandytami w kominiarkach na trybunach, stałaby się uczestnikiem eksperymentu, „futbolu miłości”. Irlandczycy pokazali nam, jak kłęką na boisku przekuć we własne zwycięstwo, jak dziękować piłkarzom za wysokie porażki, jak cieszyć się samą możliwością uczestniczenia w wydarzeniu, jakim jest mecz, jak kibic może wzbudzać sympatię.

Kiedy po losowaniu eliminacji mundialu w Brazylii okazało się, że Irlandczycy trafili do grupy z Niemcami i Szwecją, gospodarze mistrzostw świata zaprosili na turniej kibiców z Wyspy, nawet gdyby ich reprezentacji nie udało się przebrnąć przez kwalifikacje. A gdyby kiedyś ktoś tak zaprosił Polaków? ☺



SEBASTIAN CZOPIK/REPORTER

DOMINIKA KAŻMIERCZYK

Biblioteki przyszłości

W Stanach Zjednoczonych powstaje pierwszy publicznie dostępny księgozbiór złożony wyłącznie z e-booków. Jego polski odpowiednik zostanie otwarty już jesienią we Wrocławiu. Będzie nie tylko składnicą elektronicznych książek, lecz także supernowoczesnym laboratorium edukacji cyfrowej. XIX-wieczne pachnące kurzem biblioteki odchodzą do lamusa.



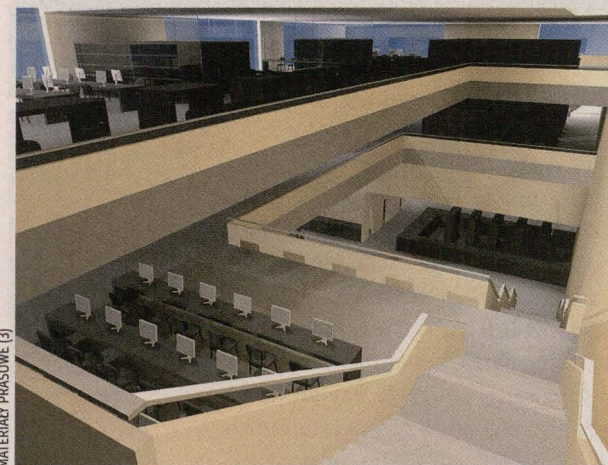
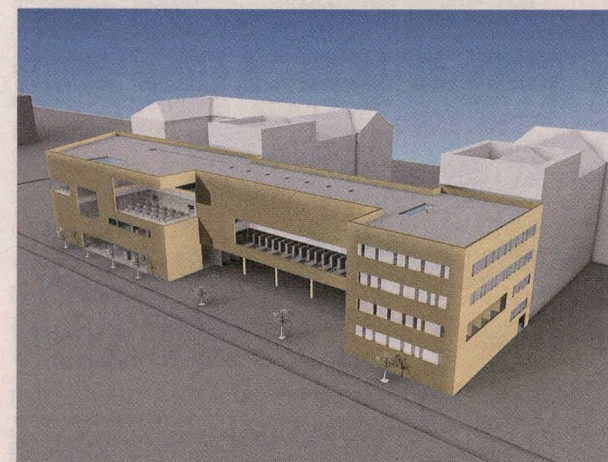
Tekszański sędzia Nelson Wolff myślał o założeniu biblioteki cyfrowej już siedem lat temu, ale jego marzenie ziści się dopiero w tym roku. BiblioTech w San Antonio będzie kosztować 3 mln dol., ale pieniądze pójdą głównie na e-booki, bo siedziba biblioteki mogłaby właściwie nie istnieć. Wystarczyłby Internet. Hrabstwo Bexar, na którego terenie leży San Antonio, wypożyczy mieszkańcom 100 e-czytników, a pozostali będą mogli ściągać teksty książek z archiwum w sieci. – Zdecydowaliśmy, że biblioteka bez papieru to najlepsze, co możemy teraz stworzyć w naszym mieście, żeby nadrobić zapóźnienie cywilizacyjne mieszkańców – mówi „Przekrojowi” Laura Cole, która zajmuje się projektem BiblioTechu. – Chcemy bowiem przede wszystkim zaktywizować osoby, które nie korzystają z Internetu i nie czytają cyfrowych książek. Nasza biblioteka będzie centrum informatycznym dla całej okolicy. Planujemy także uczyć mieszkańców korzystania z zasobów internetowych, które są dostępne dla wszystkich, nie tylko dla użytkowników naszej biblioteki. Wyzwolimy w nich inteligencję czytelniczą, pomożemy łatwiej się komunikować. Zamierzamy też uczyć ich programowania. Na miejscu będą mieli do dyspozycji 50 komputerów i 20 laptopów.

Ultranowoczesna amerykańska instytucja, która zostanie otwarta jesienią, jest tylko jednym z wielu takich miejsc na świecie. Coraz więcej zbiorów przenosi się na nośniki cyfrowe, książki i prace naukowe czytamy w Internecie, więc bibliotekę, którą znamy: z regałami zapełnionymi starymi książkami, do których dostęp ma tylko pani bibliotekarka, drewniane książkowe katalogi i mnóstwo kurzu, zastępują powoli mediateki, w których można wypożyczać audiobooki, filmy, płyty CD czy winyle (znów popularne ze względu na jakość dźwięku), gry komputerowe i komiksy. Miejsca, które istnieją już od 5 tys. lat, zaczynają zmieniać funkcje.

Pokrzyć w bibliotece

Polskie biblioteki również zmieniają swoją funkcję i z dawnych wypożyczalni przekształcają się w miks gwarne go domu kultury z centrum nauki. W pomieszczeniach, w których do niedawna musiała panować cisza, a po książkę nie można było sięgnąć samemu, rozbrzmiewają dziś śmiech i głośne rozmowy. – Naszą ofertę kierujemy przede wszystkim do dzieci i seniorów – przyznaje Natalia Derkacz z warszawskiej Mediateki Start-Meta. – Dzieciaki biorą np. udział w zajęciach tzw. podwórkowej

Otwarte trzy miesiące temu w Katowicach Centrum Informacji i Biblioteka Akademska (zdjęcie po lewej) łączy tradycyjne zbiory z ultranowoczesną mediateką.



MATERIAŁY PRASOWE (3)

Polski BiblioTech otwiera się na Politechnice Wrocławskiej. Publikacje z nauk ścisłych powstają dziś często tylko w wersji elektronicznej.

biblioteki zachęcających do sięgnięcia po książkę, uczą się też grafiki na nowoczesnych komputerach, tworzą muzykę i programują różne urządzenia w multacentrum naukowym, a w przerwach mogą pójść pokrzyć do Wykrzyknika. Przy okazji sprawdzają siłę natężenia dźwięku, który wydobywają. Z kolei

najstarsi mieszkańcy Warszawy uczą się korzystania z komputera, z Internetu, oglądają też przedstawienia i wystawy przygotowane w specjalnej sali.

Seniorom będzie służył również tekszański BiblioTech. – Dzieciaki i tak świetnie sobie radzą z nowymi technologiami. Dla nich Internet jest oczywistością. Mamy za to problem z tym, jak cyfrowo zaktywizować starszych. W BiblioTech chcemy im pokazać, że czytanie i wypożyczanie e-booków może być proste. A ponieważ w bliskiej odległości działa 50 różnych tradycyjnych bibliotek, nie odcinamy mieszkańców od tradycyjnych, drukowanych książek. Dajemy im wybór – przekonuje Cole. – A dzieci przez działanie na ich terenie, czyli w świecie nowych technologii, możemy przekonać o tym, że czytanie jest fajne.

Taki cel postawili sobie również pomysłodawcy warszawskiej Start-Mety. Atrakcjami takimi jak gry komputerowe, xboxy przyciągają dzieci i młodzież na spotkania z książkami, które są ustawione w tzw. wolnym dostępie – można je samemu wybrać i zanieść do bibliotekarza. Kiedy odwiedzam mediatekę w sobotnie popołudnie, spotykam dzieci siedzące głównie w kafejce internetowej i w sali zabaw, gdzie można zbudować prototyp maszyn z silnikami na baterie słoneczne lub zanurkować w materiałowym tunelu. – Czytać spokojnie się tu nie da – rozkłada ręce Natalia Derkacz. – Bo w przeciwieństwie do tradycyjnych bibliotek cisza u nas nie obowiązuje – dodaje ze śmiechem. Można za to wciąż zabrać papierową książkę do domu i poczytać, zanim stanie się antycznym przeżytkiem.

Wojna o e-booki

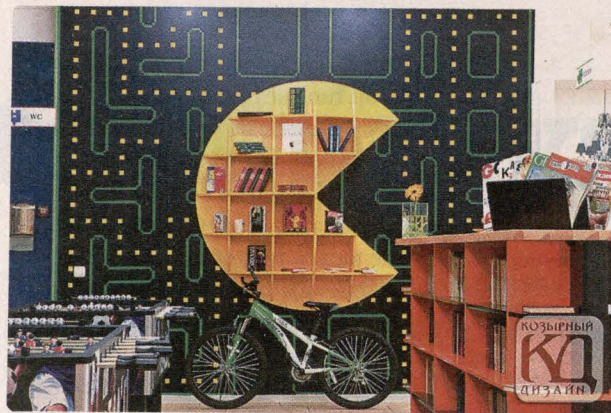
– Łatwe w publikacji i odczucie, ekonomiczne i ekologiczne – podkreśla zalecany e-książek Mirosław Ziółek, dyrektor obecnej Biblioteki Głównej i OINT, a w przyszłości szef polskiego BiblioTechu, który tak jak amerykański otwiera się jesienią. Nazwa ta sama, ale pisownia nieco inna, za to zasada działania również podobna: zero książek druko-

wanych. Polski Bibliotech powstaje jednak na Politechnice Wrocławskiej, dlatego cyfryzacja zbiorów ma inne przychyny – publikacje naukowe, zwłaszcza z dziedziny nauk ścisłych, powstają dziś coraz częściej tylko w wersji elektronicznej, bo ważna jest szybkość dostarczenia do czytelnika, a postęp wiedzy lawinowy.

– Zdajemy sobie sprawę, że przejście na e-booki może powodować pewne problemy. Niektórzy nie chcą w ten sposób udostępniać prac, bo boją się naruszenia praw autorskich. Będziemy ich oczywiście do tego przekonywać – zapewnia Ziółek i dodaje: – Na razie mamy zbiór liczący 30 tys. e-książek, które są już dostępne w naszej internetowej bazie, obok cyfrowych czasopism. Oferujemy też dostęp do Dolnośląskiej Biblioteki Cyfrowej, w której konsorcjum bibliotek z regionu umieściło własne zbiory. Chcemy też zakupić 400 portali, dzięki którym będzie można korzystać z bazy na miejscu, a także tablety dla tych, którzy wolą się rozsiąść w wygodnych fotelach lub na podłodze.

Podobne bezksiążkowe wypożyczalnie publikacji naukowych działają też na innych uczelniach, np. w USA (Uniwersytet Stanforda). Również wiele szkół podstawowych i średnich drastycznie ogranicza księgozbiory na rzecz e-booków – motywują to ciągle zmieniającymi się podręcznikami i wygodą uczniów. Warszawska mediateka Start-Meta e-booków jednak nie posiada, a tamtejsi bibliotekarze argumentują, że nie może być inaczej z powodu wysokich cen książek elektronicznych w Polsce. W Stanach Zjednoczonych niewymagający drukowania e-book kosztuje często o połowę mniej niż książka tradycyjna, tymczasem w Polsce oba nośniki są w tej samej cenie.

Nie różnimy się za to pod względem dostępności do e-booka. Wszędzie na świecie to wciąż poważny problem ze względu na opór autorów książek. – Za każdym razem musimy negocjować z wydawnictwami sposób udostępniania, cenę całego pakietu, który od nich bierzemy – mówi Cole



KOZYRNYI DESIGN/UK-DESIGN.COM.UA [2]

z teksańskiego BiblioTech i przekonuje: – Dopiero teraz wydawcy zaczęli poważnie traktować biblioteki jako partnerów na rynku e-książek, natomiast e-czytniki stały się na tyle popularne, tanie i wygodne, że ludzie faktycznie zaczęli z nich masowo korzystać.

Zasady udostępniania e-booków wciąż nie są jednak uregulowane. Czasem trzeba to robić na własną rękę. Ziółek, szef wrocławskiego projektu przyszłości, zwraca się do wydawców lub bezpośrednio do autorów i ustala, ilu użytkowników może w tym samym czasie czytać jedną książkę, czy tylko na miejscu w czytelnicy, czy także w domu, po wypożyczeniu przez Internet.

Za darmo można pozyskiwać e-booki, które należą do domeny publicznej, a więc te, którym wygasły prawa autorskie. To, co najnowsze, podlega jednak twardym negocjacji, bo wydawcy i autorzy boją się, że ich teksty przenikną do sieci. Co w praktyce tak się dzieje. Książki, podręczni-

ki i skrypty są nagminnie skanowane, a młodzi ludzie często wolą ściągnąć potrzebny im tom z popularnego „chomiczka”, portalu, na którym prywatni użytkownicy udostępniają swoje biblioteczne zbiory. Wciąż trwa więc spór o to, czy wobec wysokich cen książek najważniejszy jest dostęp do dóbr kultury czy też przestrzeganie prawa autorskiego.

Elektroniczny bibliotekarz

Tymczasem biblioteki nieustannie się modernizują i nie czekają na zmiany legislacyjne. Otwarta trzy miesiące temu połączona placówka Uniwersytetu Śląskiego i Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach, znana jako Centrum Informacji i Biblioteka Akademicka, w skrócie CINIiBA, a dla mediów i studentów po prostu „Rudzielec” – nazywany tak od koloru elewacji nowego budynku – przyciąga mieszkańców Katowic, a nawet całego regionu.

– W krótkim czasie dorobiliśmy się w tym tygodniu już 100-tys. użytkowników – cieszy się prof. Dariusz Pawelec, dyrektor biblioteki i polonista. Oprócz przestronnych sal konferencyjnych, czytelnicy, zbiorów tradycyjnych i multimedialnych śląska biblioteka oferuje niezwykle łatwy sposób wypożyczania i zwrotu książek. Żeby oddać wypożyczony tom, nie trzeba nawet wchodzić do środka, wystarczy włożyć ją do całodobowej wrzutni, rodzaju wpłatomatu na książki. W ten sposób unikamy żmudnego oczekiwania w kolejce, a bibliotekarzom oszczędza to pracy. Żeby z kolei książkę wypożyczyć, wystarczy ją przyłożyć do tzw. self-checkera (nazwy polskiej jeszcze brak), a informacje o książce: streszczenie, recenzję i bio autora otrzymamy po przeegzaminowaniu jej przez bookviewera.

– Gmach i elektroniczne udogodnienia projektowała specjalna ekipa z połączonych bibliotek, a samo oznaczanie, czipowanie, opisywanie woluminów i programowanie zajęło 100 osobom trzy lata. Oczywiście bibliotekarze robili to po godzinach. Jeździliśmy po całej Europie i przyglądaliśmy się najno-

wocześniejszym rozwiązaniom – opowiada Pawelec. – Berlin i Maastricht zainteresowały nas najbardziej, choć katowicka CINIiBA to nasz autorski projekt, którym z kolei obecnie inspiruje się biblioteka w Pradze. W dziedzinie technologii z każdym rokiem, a nawet miesiącem obserwujemy ogromny postęp. Kiedy powstawał warszawski BUW, absolutnym novum był wolny dostęp do księgozbioru, możliwość sięgnięcia po książki prosto z regałów, ale coś zaprojektowane dziesięć lat temu dziś wydaje się już przestarzałe. Dlatego jeżdżę na konferencje „Library Architecture Group”, które odbywają się co dwa lata, i śledzę nowinki.

Nowoczesne udogodnienia się sprawdziły. Katowiczankom nie grożą na przykład kilometrowe kolejki do wypożyczalni w czasie sesji, które są codziennością warszawskich studentów. – Wszyscy bardzo szybko przyzwyczaili się do nowych rozwiązań – mówi Pawelec. – Tak jakby pewne ułatwienia były po prostu normalnością, oczekiwaną w XXI w. A opanowanie technologii, o dziwo, nie zależy od wieku wypożyczających. Jak na razie studenci zwrócili nam jedynie uwagę, że brakuje kontaktów, do których mogliby przyłączać własne laptopy. Oczywiście liczbę przyłączy szybko uzupełniliśmy.

W „Rudzielcu”, podobnie jak w mediatece Start-Meta, trudno o biblioteczną ciszę, a jej administratorzy wcale o nią panicznie nie zabiegają. Dla tych, którzy potrzebują jej do pracy, przygotowano specjalne wyciszane kabiny, a pozostali mogą dyskutować przy stołach do woli, o ile nie zaczną śpiewać czy naprawdę głośno wyluszczać swoich racji.

– CINIiBA ma służyć nie tylko studentom, lecz także mieszkańcom Katowic i regionu, i nie tylko nauce, ale także integracji i kulturze – podkreśla Pawelec. – I taka formuła świetnie się sprawdziła na przykład podczas amerykańskiego wieczoru wyborczego, który urządziliśmy w naszej bibliotece. Były koncerty, ale także poważne debaty polityczne, można było wrzucić własne

głosy do urn. Odwiedziły nas wtedy tłumy licealistów. Co ciekawe, wynik głosowania był co do procenta identyczny z tym oficjalnym.

Powrót do Aleksandrii

Biblioteka przyszłości może być nie tylko centrum kultury i edukacji najmłodszych. Wrocławski Bibliotech, na który studenci i naukowcy czekali 60 lat, postawił sobie ambitny cel stworzenia laboratorium digitalizacji, edukacji internetowej, a także przygotowania rozwiązań dla osób słabowidzących i niedoświadczonych. Kilkudziesięcioosobowy zespół zatrudniony w dziesięciu laboratoriach będzie opracowywał innowacyjne na skalę światową technologie. Projekt kosztuje 100 mln zł. Mógł być zrealizowany dzięki dofinansowaniu z unijnego programu „Innowacyjna gospodarka”. – Teraz stoi przed nami wyzwanie, by utrzymać gmach, ludzi i urządzenia, chcemy więc współpracować z biznesem – deklaruje Ziółek.

Niestety, Polska przegrywa w europejskich rankingach innowacyjności,

a naszą główną słabością jest właśnie brak współpracy z przemysłem. Wrocławska biblioteka ma być więc oknem na świat, a właściwie na Polskę, dla macierzystej politechniki.

– Paradoksalnie mamy we Wrocławiu bardzo dobre kontakty z uczelniami zagranicznymi, wspólnie realizujemy projekty naukowe, ale byłoby dobrze te pomysły i technologie skomercjalizować w polskich firmach. Dlatego będziemy dla nich urządzać konferencje, spotkania i inspirować do inwestowania w innowacje – zapewnia Ziółek.

Jego biblioteka zakupiła też najnowocześniejsze urządzenia do cyfryzacji i chce w tym zakresie prowadzić usługi dla prywatnych firm.

– Biblioteki powracają po prostu do idei z czasów starożytnych, bo czym była słynna biblioteka w Aleksandrii? Właśnie miejscem spotkań, wymiany myśli, nauki, współpracy, a nie poważnym, cichym XIX-wiecznym gmachem. Budujemy nowe biblioteki aleksandryjskie – emocjonuje się Pawelec z katowickiego CINIiBA. ☞

W Katowicach książki wypożycza się i zwraca za pomocą wrzutni i tzw. self-checkerów. Podobna placówka powstaje w czeskiej Pradze.



MATERIAŁY PRACOWE



KAROLINA SULEJ

Detropia

Najniebezpieczniejsze miasto w Stanach. Symbol upadku kapitalizmu. Metropolia ruin. Motown, które straciło swój silnik. Ale także Renaissance City, gdzie zawsze czeka obietnica odrodzenia. **Miasto muzyki – jazzu, bluesa, soulu, a potem techno, hip-hopu i rock'n'rolla.** Dziś, w epoce postindustrialnej, znów ma szansę stać się miastem kultury i sztuki, oddolnych inicjatyw. I zjednoczyć się wokół wspólnej sprawy – walki o nowe życie.

Detroit, założone przez francuskich kolonizatorów, stało się metropolią u progu XX w., kiedy Henry Ford postanowił zmodernizować prosperujący w mieście biznes transportowy, wygodnie usytuowany nad brzegiem rzeki. Jego automobil okazał się wynalazkiem, który odmienił nie tylko historię miasta, lecz także całego zachodniego kapitalizmu. Wraz z konstruowaniem samochodów na pierwszych na świecie taśmach produkcyjnych Detroit budowało własną potęgę. Rosło wszcz i wzdłuż, ale przede wszystkim – w górę. Wtedy powstały budynki do dziś uznawane za najbardziej rozpoznawalne wizytówki miasta, a Detroit zyskało przydomek Paryża Środkowego Zachodu. Wiele budynków zaprojektował Albert Kahn, nazywany „człowiekiem, który zbudował Detroit”. Zaczęło się od nakreślenia fabryki Forda w Highland Park – znanej jako Placard Plant, a potem ogromnej fabryki River Rouge w Dearborn. Rouge stało się największym fabrycznym kompleksem w Stanach, zatrudniającym ponad 120 tys. robotników. Jego

Fisher Building to jeden z najbardziej rozpoznawalnych wieżowców art déco. Wizytówką Detroit jest też dworzec kolejowy Michigan Central Station jego projektu, który przypomina nieco inny projekt Kahna – nowojorską Grand Central Station, a także nasz polski Pałac Kultury. Wygląda, jakby ocalał z Gotham City. Pod koniec lat 80. XX w. jego znaczenie komunikacyjne uległo marginalizacji. W latach 90. został zdewastowany. Ruderę kupił ze względów sentymentalnych prywatny przedsiębiorca. Koszt renowacji przedsięwzięcia oszacowano na 80 mln dol., jednakże większym problemem niż finansowanie okazało się znalezienie celu, któremu budynek miałby służyć. Zaproponowano kilka możliwych rozwiązań, m.in. przekształcenie stacji w główną siedzibę policji, ale żadne nie okazało się zadowalające. Budynek ogrodzony siatką i drutem kolczastym stanowi więc raczej wizytówkę Detroit jako miasta ruin, w którym wiele podobnie wartościowych historycznie posesji zostało pozostawionych samym sobie. Wejście do budynku jest nielegalne,

jednak zarówno turyści, jak i miejscowi często wyprawiają się na jego zwiedzanie. Popularne jest też organizowanie posiadań na placu przed terenem dworca, palenie ognisk, smażenie marshmallows i rozmawianie o stanie miasta. Pojawiają się pomysły na zagospodarowanie terenu wokół dworca, który mógłby się stać wypielęgowanym Hyde Parkiem, mógłby tam się pojawić plac zabaw, skate park – koszty nie były tak wielkie, a okolica obłaskawiona. Czy rzeczywiście „We Kahn do it” – jak zachęca jeden ze współczesnych murali?

Piosenki z taśmy produkcyjnej

W czasach Alberta Kahna kryzys wydawał się w Detroit jedynie mglistym pojęciem. Nowe miejsca pracy ściągały robotników z całych Stanów, a szczególnie z Południa. Wielu Afroamerykanów porzucało rolnictwo i jechało do miasta w poszukiwaniu bezpieczeństwa i lepszego zarobku. Ford był zaś ślepy na rasę – robotnikom płacił jednakowo. Nie wszystkim to jednak odpowiadało – w środku wojny, kiedy Detroit niezmordowanie wspomagało przemysł wojenny – na jego ulicach wybuchły pierwsze poważne rasowe zamieszki. Afroamerykanie mogli dostawać godziwą płacę za pracę, ale musieli pożegnać się ze złudzeniami, że uprzedzenia ra-

Po prosperity lat 50. i 60., kiedy każdego robotnika stać było na własny samochód, amerykański sen zamienił się w koszmar.

sowe zostawili na głębokim Południu. Biali nie tylko nie chcieli pracować z nimi na sąsiadujących stanowiskach („Wolałbym zobaczyć, jak wygrywa Hitler czy Hirohito, niż pracować obok Murzyna”), ale też nie chcieli mieszkać w ich sąsiedztwie. Afroamerykanie zostali więc stłoczeni na osiedlu Brewster Housing Project – pierwszej amerykańskiej mieszkaniowce dla kolorowych. To tutaj urodzili się Diana Ross, Mary Wilson czy Smokey Robinson. Dochodząca do bloków Hastings Street stała się mekką czarnej kultury od lat 20. do 50. – śpiewał o niej John Lee Hooker w „Boogie Chillen”. Tuż obok, w dzielnicy Paradise Valley, powstawały kluby jazzowe i bluesowe, w których występowali Ella Fitzgerald, Count Basie, Duke Ellington. Kiedy jej sława minęła, w mieście rozbrzmiały dźwięki Motown – „piosenki z linii produkcyjnej”. Sześć wytwórni Berry Gordy stał się muzycznym Henrym Fordem – niezmordowanie wypuszczał hit za hitem, idola za idolem: The Supremes, Marvin



Ella Fitzgerald występowała w klubach w sławnej dzielnicy Paradise Valley. Poniżej: zdewastowany gmach Michigan Central Station, dworca kolejowego, który kiedyś był wizytówką Detroit. Wejście do budynku jest nielegalne.

Gaye, Stevie Wonder, The Marvellettes. Dziewczyny z Martha and the Vandellas pierwszy teledysk nakreśliły właśnie w fabryce. Śpiewają, siedząc na masce samochodu, który budują robotnicy – bardzo zresztą zdenerwowani ich obecnością. Dziś Martha aktywnie działa we władzach miasta.

Panic in Detroit

W 1967 r. miały miejsce jedne z najbardziej krwawych zamieszek na tle rasowym w Stanach. Bilans to 43 zabitych, 467 rannych, ponad 7200 aresztowań i ponad 2000 spalonych budynków. Miasto było pełne gniewu. Jego wyrazem stało się powstanie bezkompromisowej rockowej sceny, której głównymi przedstawicielami byli MC5 i Iggy and the Stooges. To była surowa, szorstka, agresywna muzyka. Wściekła, zdeterminowana, zaangażowana. To na niej wzrósł potem amerykański punk i hard rock. Z jej energią, miksując ją z bluesem, czerpią do dziś rockowe zespoły w Detroit, razem z Jackiem White'em – jego współczesnym wirtuozem.

Po prosperity lat 50. i 60., kiedy każdego robotnika stać było na własny samochód, amerykański sen zamienił się w koszmar. Lata 80. to najgorszy czas dla miasta. Po kolejnym kryzysie na rynku pracy jest coraz mniej, a wszyscy, którzy zdążyli się dorobić, uciekli na przedmieścia. W centrum zostali tylko ludzie bez szans na marzenia. Zamykają się szkoły, plajtują fabryki, pustoszą domy i ulice. Kolejne dzielnice zostają opanowane przez gangi i handlarzy narkotyków. W opuszczonych przestrzeniach fabryk urządzane są walki psów. Trudno spotkać kogoś, kto nie nosi broni. Regularnie słychać strzały.

Nocami płoną pustostany, opuszczone domy i fabryki. Straży pożarnej często nawet nie opłaca się przyjeżdżać. Szczególnie wiele podpażeń zdarza się w noc przed Halloween, w tak zwaną Devil's Night, kiedy to na sucho mają uchodzić wszystkie „psikusy”. W połowie lat 90. w odpowiedzi na „psikusy”, jakie dotknęły miasto tej nocy, organizuje się Angel's Night – kilka nocy





FABRIZIO COSTANTINI/GETTY IMAGES/AFP

loseum. Jim Griffioen, autor bloga opowiadającego o wychowywaniu dziecka w Detroit, pisze, że jego miasto pełne jest „feral houses” – od feralis, czyli „należące do umarłych”. Do umarłych należy więc 40 proc. miasta.

Są jednak tacy, którzy nie boją się duchów. Od ponad 20 lat w mieście działa grupa The Blight Busters Johna George'a, która zajmuje się burzeniem pustostanów i ruder, budowaniem nowych domów, renowacją podupadających i zapewnianiem nowych lokali dla mieszkańców. Wszyscy działają wolontaryjnie, często wspomagani przez resocjalizowanych więźniów z lokalnych zakładów penitencjarnych. W ciągu dwóch dekad udało się im odmalować 684 domy, wyburzyć 379 nieużytków, poddać renowacji 176 i zbudować 114 nowych dla 1160 tysięcy ludzi.

Inwazja hipsterów

Detroit zainteresowali się także artyści. Kryzys ekonomiczny wygonił ich z Nowego Jorku i San Francisco. Szukają nowych wrażeń i tanich lokum. Steve i Dorota Coy, jedni z bohaterów dokumentu „Detropia”, opowiadającego o zmianach zachodzących w Detroit, przyznają, że nie spodziewali się, że znajdą miejsce, w którym będą mogli za loft zapłacić niecałe 25 tys. dolarów i utrzymać się ze sztuki. Detropia, utopia kapitalizmu, staje się powoli oto-

☞ Każdy opuszczony dom, każdy mur stanowi okazję do artystycznej wypowiedzi, a przy okazji do upiększenia miasta.

pią alternatywnego stylu życia, utopią Ery Wodnika dla tych, którzy stanowią 99 proc. i nie chcą należeć do 1 proc. – nie zależy im na pieniądzu, lecz na artystycznej wolności. Ruch Occupy był w Detroit tak samo aktywny jak manifestacje w Zugotti Park w Nowym Jorku. Zamiast upajać się oglądaniem ruin, artyści zajęli je i zmienili w pracownię, manufaktury odzieżowe, nocne kluby i tanie przestrzenie mieszkalne. Konsekwentnie też, traktując miasto jak płótno, uprawiają sztukę uliczną. Każdy opuszczony dom, każdy mur stanowi okazję do artystycznej wypowiedzi, a przy okazji do upiększenia miasta. Katie Craig z North End Studios wykonała ogromny mural na dziewięciu pięter przez wylanie w dół kolorowych farb, co sprawiło, że budynek wygląda jak wielki lód Zapp. Żeby dzieci nie mazały po pracach artystów, ci robią dla nich specjalne ścianki do sprejowania i wciągają je do swoich projektów. Dzieciaki potrzebują tego jak żadne inne – prawie połowa żyje w skrajnej biedzie i nigdy nie nauczy się czytać ani pisać.

Fama o ich poczynaniach dotarła do Polski. Michał Gruda działa w łódzkim stowarzyszeniu Topografie, które zajmuje się organizowaniem oddzielnej działalności na rzecz rewitalizacji Łodzi. Pewnego dnia Michał zobaczył, jak Johny Knoxville odwiedza Detroit. Zobaczył młodych ludzi, którzy starają się przywrócić je do życia. Pomyślał, że to tak samo jak w Łodzi. Znalazł stowarzyszenie Detroit Lives, które wydało się amerykańskim odpowiednikiem jego własnego. Odpowiedział mu Philip Lauri – nie tylko podekscytował się pomysłem, lecz także niemalże od razu przyjechał do Polski. Powstało „After the Factory”, film o Detroit i Łodzi, dwóch pozornie odmiennych miastach, które zostały tak samo spisane na straty i podobnie właśnie teraz odkrywają siebie na nowo. Kilka miesięcy później do Łodzi przyjechała Dorota Coy z chłopakiem. Zostawili w mieście murale z gołębiami – swój znak firmowy. Michał wciąż nie pojechał do Detroit – w Łodzi mają jeszcze mniej kasy niż ci w Detroit.

Kup sobie cal miasta

Niektórzy mieszkańcy obawiają się, że moda na Detroit potrwa tylko chwilę i miasto znów zostanie opuszczone. Artyści miewają kapryśne charaktery – dzisiaj Nowy Jork, potem Boston, Detroit, a potem gdzieś indziej. Wraz z mieszkańcami przybywającymi z innych metropolii czynsze będą rosnąć, a kafejki będą coraz droższe. Przepaść między hipsterami a najuboższymi powiększy się bezpowrotnie. Liliana martwi się, że bez większych rządowych pieniędzy miasto może nie przetrwać. Żeby tak się nie stało, artyści muszą tu zostać i poważnie zaplanować życie w mieście, nie tylko kilka lat artystycznych eksperymentów.

Można ich do tego przekonać nawet w bardzo symboliczny sposób, jak twórcy projektu Loveland www.make-loveland.com, na czele z Jerryem Paffendorfem. Kilka lat temu Paffendorf rzucił dobrze płatną pracę w Silicon Valley i przeprowadził się do Detroit, bo „tak mu podpowiadała intuicja”. Te-

raz używa technologii wirtualnej, żeby rozwiązywać realne problemy z detroickimi nieruchomościami. Uduje mu się skutecznie interweniować w tkankę miasta – ostatnio otworzył stronę, na której znajduje się ponad 13 tys. profili działek na sprzedaż, niektóre już za 500 dol. Jeśli kogoś nie stać lub woli związać się z miastem jedynie symbolicznie, może kupić cal kwadratowy ziemi za dolara. Swoje kawałki można odwiedzać wirtualnie i tworzyć społeczność, którą Jerry nazywa „mikrosiedztwem”. W ten sposób udało mu się zebrać ponad 40 tys. dol., które przeznaczył na remontowanie zagrożonych rozbiórką budynków.

Zmień tryb działania

Z kolei dla towarzystwa skupionego wokół We Are Mode Shift (www.wearomodeshift.com) najważniejsze są kwestie miejskiego transportu. Jego członkowie przekonują, że ogromne znaczenie ma sposób myślenia o komunikacji: czy używamy roweru, deski, autobusu czy samochodu. Chcą stworzyć środowisko, w którym większą wartość mają zdrowe nogi niż spasiony brzuch, a zielone parki są więcej warte niż szare parkingi.

Kwestie komunikacyjne mają znaczenie także dla Jaya Rayforda, który kupił kilka autobusów i założył firmę przewozową. Jego autobusy kursują po najmodniejszych klubach od wieczora do nocy. Na pokład można wnieść własny alkohol. To niejedyny projekt Jaya, który założył też grupę zajmującą się pomaganiem biznesom dotkniętym cięciem kosztów. Zainspirował także ruch, który nazwał Social Sushi – to tuba dla osób zajmujących się poprawą warunków życia w Detroit. Teraz Jay pracuje nad Community Loyalty Card – kartą zniżkową, z której mieszkańcy mogliby korzystać przy zakupach w prywatnych sklepach, nie w wielkich supermarketach, które kuszą promocyjnymi kuponami. Każdy, kto tak jak Jay ma pomysł na polepszenie sytuacji w mieście i na rozkręcenie własnego biznesu, może się nim popisać na spotkaniach Soup Detroit. To publiczne obiady za 5 dol., ale także okazja, żeby

opowiedzieć zgromadzonym o własnym projekcie. Najlepszy dostanie pieniądze zebrane z opłat za posiłek.

Steki i start-upy

W Stanach twierdzi się, że ci z Detroit są wiecznie głodni. Jedzą zwykle tłusto i tanio – smażony kurczak albo hot dogi zwane coney. Amerykanie spoza Detroit twierdzą też, że w mieście nie ma gdzie robić zakupów, bo nie znajdują się tam sklepy większych sieci handlowych i jest tylko jeden Starbucks. Mieszkańcy muszą więc kupować niezbyt zdrowe jedzenie w sklepach monopolowych. To na szczęście stereotyp – co sobotę na Eastern Market wystawia się 250 niezależnych sprzedawców, u których kupuje 40 tys. ludzi. Pojawiają się jednak także zupełnie nowe pomysły na kuchnię – jednym z nich jest restauracja pop-up Chartreuse, która zajmuje się serwowaniem wegańskich,

Miastem zainteresowali się artyści. Kryzys ekonomiczny wygonił ich z Nowego Jorku i San Francisco. Zamiast upajać się oglądaniem ruin, artyści zajęli je i zmienili w pracownię, nocne kluby, przestrzenie mieszkalne.



KIMBERLY P. MITCHELL/DETROIT FREE PRESS/FORUM

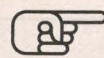


CARLOS OSORIO/AP/EAST NEWS

surowych potraw w najpiękniejszych lokalizacjach w mieście. Supino Pizza, niewielka restauracja założona przez dwóch hipsterów, została uznana za jedną z najlepszych pizzerii w Stanach. W zapomnianej dzielnicy Cork Town były model Louisa Vuittona otworzył popularną restaurację Slows Bq Detroit. Za zarobione pieniądze właściciel restauracji stworzył organizację pozarządową pomagającą w rozwoju nowych inicjatyw biznesowych.

Syf, kiła i nadzieja

Łukasz Witkowski mieszkał w Detroit 11 lat. Wrócił do Polski kilka miesięcy temu. Od siedmiu lat nagrywa nagrodzaną audycję-podcast Polskie Detroit (www.polskiedetroit.com), w której opowiada o historii i współczesności miasta. – Postanowiłem zacząć nagrywać, kiedy zorientowałem się, jak mało Polacy wiedzą i chcą wiedzieć o Detroit. Postanowiłem ich przekonać, że to miasto to znacznie więcej niż Dzikie Zachód z „murzynami”. Chciałem, żeby przejechali się do downtown, zadarli głowy, popatrzeli na te piękne budynki. Tu jest syf, kiła i mogiła, karetka przyjeżdża po dwóch godzinach, nie zatankujesz nigdzie, bo mogą cię zastrzelić, trupy leżą na ulicach, straszą popalone domy, ale w żadnym innym mieście 20-latk nie mają takiego wpływu na politykę, nie mogą tak łatwo kupić posesji. To ziemia obiecana dla wszystkich, którzy nie tylko marzą, ale chcą coś robić. ☞



MIKE URBANIAK

Wizjoner teatru

Jest jedną z najbardziej fascynujących postaci polskiego teatru. Zbudował dwie największe sceny Warszawy. Wyśniony przez niego, obchodzący właśnie stulecie Teatr Polski otrzymał jego imię. Imię wielkiego **Arnolda Szyfmana**.



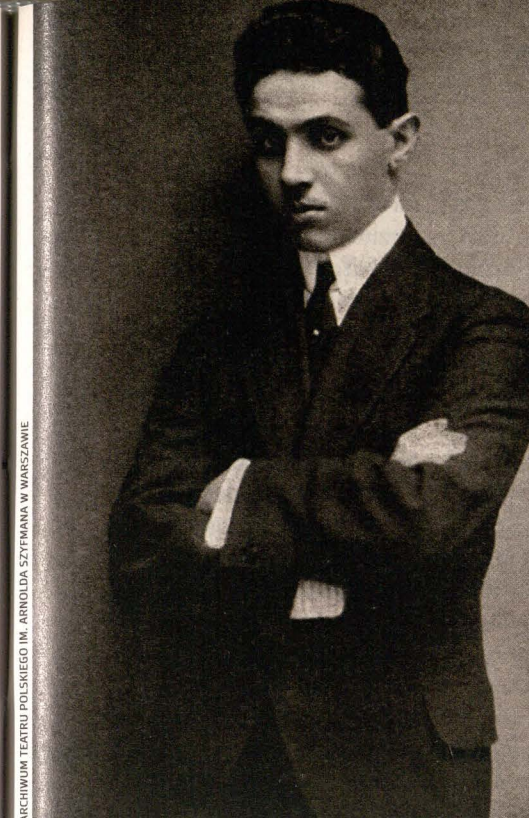
Dom stał na skraju miasteczka. Drewniany i skromny, za to z wielkim ogrodem. Okolica sielska, zielona, malownicza – szczególnie u ujścia Tanwi do Sanu. Typowe galicyjskie widoki Cesarstwa Austro-Węgierskiego. Ulin założył w 1616 r. podczaszy ziemi przemyskiej Stanisław Uliński. Nazwa przekształciła się z czasem w Ulanów, a jego rozwój wiązał się z „palem”, jak nazywano rzeczny port. To z niego spławiał drewno szanowany w całym Ulanowie prawnik-samouk i członek Rady Powiatowej pan Schiffman, właściciel domu na skraju, który prowadziła wzorowo pani Schiffmanowa, znakomita gospodyni, mistrzyni słynnych w okolicy wypieków.

23 listopada 1882 r. w domu Schiffmanów wybuchła wielka radość. Na świat przyszedł długo wyczekiwany syn. Otrzymuje imiona Arnold Zygmunt Stanisław. Nie zostanie flisakiem jak ojciec.

Odkrycie teatru

Mały Arnold był dzieckiem niesfornym, nie mógł usiedzieć chwili w jednym miejscu. A to wpadł do piwnicy i ranił się w głowę, a to rąbnął sobie toporem w nogę i rozciął kolano. Towarzyszem w rozrabianiu był mały Marian Dąbrowski, syn sąsiadów, który w przyszłości założy, istniejący do dzisiaj, teatr Bagatela w Krakowie.

Szkołę powszechną Arnold kończy ze stopniami przeciętnymi, rodzice postanawiają wysłać go do krakowskiego gimnazjum. Wyprawa to była wielka – najpierw cały dzień zaprzęgiem konnym do Rzeszowa, a potem całą noc pociągiem do Krakowa. Arnold rozpoczyna edukację w Cesarzowsko-Królewskim Gimnazjum Świętego Jacka, ale nauka średnio go pochłania. Ciągnie go za to, nie wiedzieć czemu, do teatru, który mieści się przy placu Szczepańskim. Kiedy miał 12 lat, zobaczył afisz zapowiadający występ wielkiej Heleny Modrzejewskiej.



ARCHIWUM TEATRU POLSKIEGO IM. ARNOLDA SZYFMANA W WARSZAWIE

Pobiegł więc do teatru i za pieniądze przeznaczone na przyjazd do domu kupił bilet. Rodzice nie byli zadowoleni, Arnold wręcz przeciwnie.

Jego radość odkrycia teatru zakłóciła jednak szybko własna niefrasobliwość. Za wyrzycie szczyrzykiem swojego imienia na ławce został wyrzucony z gimnazjum i dostał roczny zakaz szkolny. Po repetowaniu u prywatnego nauczyciela w Jarosławiu, nieopodal rodzinnego Ulanowa, wrócił do Krakowa, do rodziców, którzy niesfornego syna chcieli mieć na oku. Ojciec znalazł pracę w Towarzystwie Asekuracyjnym, a matka prowadziła dom. Arnold chodzi do szkoły, uczy się coraz lepiej i w każdej wolnej chwili biegnie do teatru, do którego wkroczył właśnie bożyszcze młodych Stanisław Wyspiański.

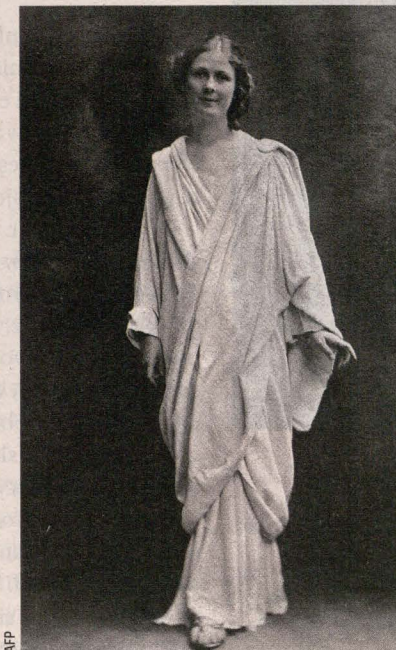
Szyfman (zapis jego nazwiska ewoluował: od Schiffman przez Schifman i Szifman do Szyfman) dosłownie pochłania wszystko, co dotyczy teatru: pisma literackie, recenzje, sztuki. Kiedy tuż przed maturą w 1901 r. ogląda premierę „Wesela”, które Wyspiański napisał po weselu przyjaciela, poety i dramaturga Lucjana Rydla, niemal traci przytomność z zachwytu. Ale oglądanie spektakli przestaje mu wystarczać, on chce robić teatr.

Mam talent!

Po zdanej dobrze maturze rozpoczyna studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wybiera zajęcia z filozofii, historii sztuki i polonistyki, choć ojciec nalegał na prawo. Szyfman zaczyna pisać sztuki i wysyła je dyrektorom teatrów, a nawet samej Modrzejewskiej, która mu odpisała: „Autor posiada talent i należy dalej pracować w tej dziedzinie”. Jego sztukę „Fifi” wystawił nawet Ludwik Solski.

Kraków go jednak dusi, więc na trzecim roku wyjeżdża na roczne stypendium do Berlina – mekki teatralnej. Poznaje tam między innymi wielką reformatorkę tańca Isadorę Duncan i młodego utalentowanego pianistę Artura Rubinsteina, z którym przyjaźnić się będzie całe życie.

Po powrocie do Krakowa zaczyna intensywnie wchodzić w środowisko artystyczne. Poznaje Mehoffera, Malczewskiego, Kossaka, Stanisławskiego, Fałata, Axentowicza, Wyczółkowskiego, no i Wyspiańskiego, a także Stefana Jaracza i Juliusza Osterwę. Już tylko mały krok dzielił go od Jamy Michalikowej, gdzie działał słynny kabaret Zielony Balonik. Zachwycony nim Szyfman już wie, że – owszem – napisze doktorat z filozofii, ale na uniwersytecie nie zostanie. W wieku 24 lat, 14 maja 1906 r., kończy Uniwersytet Jagielloński z tytułem dok-



AFP

Młody, przystojny i wygadany Szyfman szybko podbił serca śmietanki towarzyskiej Warszawy.

Podczas swojego stypendialnego pobytu w Berlinie Szyfman poznał reformatorkę tańca Isadorę Duncan (na zdjęciu po prawej).

tora filozofii. I już wie, że chce założyć własny teatr.

Figliki i Momus

Zabiera się szybko, przy wsparciu kolegów z Zielonego Balonika, do roboty. Wynajmuje za pieniądze od ojca salę balową w Hotelu Saskim. Nadzoruje przebudowę sceny, urządzenie widowni, montowanie oświetlenia i kurtyny. Interesuje go wszystko: szatnia, toalety, przejścia. Widz ma być zadowolony nie tylko z tego, co widzi na scenie, ale także z warunków oglądania. Ta zasada będzie mu przyświecała do końca życia. Układa repertuar i angażuje aktorów, trzon zespołu stanowią będą Maria Przybyłko-Potocka (świetna aktorka, z którą zaczyna romansować), Adolf Nowaczyński i młody Lulek, czyli Leon Schiller.

W grudniu 1905 r. działalność inaugurują Figliki, bo taką nazwę dostał pierwszy teatr Szyfmana. Przetrwiał miesiąc i dwa dni i stał się tym samym chyba najkrócej działającą sceną w historii Polski. Ale ruchliwy i pomysłowy Szyfman się tym nie zraża i bogatszy o krakowskie doświadczenia wyjeżdża do Warszawy. Robi w niej to, co w każdym mieście, do którego trafia – wędruje po teatrach. Ogląda nowo zbudowaną Filharmonię, Teatr Wielki i Teatr Rozmaitości, który uchodzi za najlepszą scenę Warszawy. Rozmaitości miały świetny zespół (znalazła się w nim, co nie bez znaczenia, Maria Przybyłko-Potocka), ale repertuar był wątpliwy.

Szyfmana interesują nie tylko spektakle, ale także budynki, wyposażenie, warunki techniczne. Zasyssa wszelkie informacje o teatrze jak odkurzacz. Ta wiedza będzie mu już niedługo bardzo potrzebna, bo ma zamiar – i to szybko – założyć swój teatr w Warszawie.

Jak z nieba spada mu Jakub Jasiński, właściciel restauracji Oaza mieszczącej się tuż przy placu Teatralnym. Panowie szybko się dogadują i rozpoczynają przygotowania do uruchomienia tam teatru, warszawskiego Zielonego Balo-



nika, który otrzymuje nazwę Momus i z miejsca staje się wielkim sukcesem. Błyskawicznie zaczął słynąć z ciętej satyry, najprzedniejszego humoru. Teksty pisał między innymi Tadeusz Boy-Żeleński, a gwiazdą na scenie był Leon Schiller. Każdego wieczoru przy stolikach zasiadało ponad 150 osób, śmie-tanka towarzyska miasta.

Po roku, mimo wielkich sukcesów, Arnold Szyfman zostawia Momusa, bo w jego głowie narodził się już pomysł iście szaleńczy. Chce zbudować w Warszawie wielki, nowoczesny teatr, który przyćmi wszystkie inne.

Szalony wizjoner

Momus dał Szyfmanowi coś absolutnie bezcennego – popularność. W jego teatrze bywali wszyscy: arystokracja, ziemiaństwo, przemysłowcy, bankierzy, artyści i dziennikarze. 28-letni Arnold znał wszystkich, wszyscy znali Arnolda. Miał wielki urok i był wygadany. To wystarczyło, żeby zacząć przekonywać moźnych do tego, że Warszawie potrzeba nowoczesnego teatru – Teatru Polskiego.

W 1909 r. Szyfman się ochrzczył i przystąpił do intensywnego lobbingu. Zaczął od Maurycego Spokornego, który szefował spółce eksploatującej tramwaje, potem był Czesław Przybylski (architekt, w przyszłości autor projektu budynku Teatru Polskiego) i dalej Stanisław Lubomirski – prezes Banku Krajowego, Juliusz Herman – prezes Zachęty, Maurycy Zamoyski. Poszło! Każdemu „szalony wizjoner” przedstawiał profesjonalny memoriał, który dziś nazwalibyśmy biznesplanem.

Chłopiec z małej galicyjskiej wsi szybko stał się jednym z najbardziej znanych i słynących z elegancji ludzi polskiej kultury.

Były w nim szacunki dotyczące kosztów zaprojektowania teatru, jego budo- wy, wyposażenia i eksploatacji, liczby premier, wpływów z biletów, kosztów wynagrodzenia zespołu. Krótko mówiąc, pełen profesjonalizm.

W lipcu 1910 r. Maurycy Zamoyski zorganizował w swojej rezydencji, w pałacu Błękitnym przy ulicy Senatorskiej, zebranie, na które zaprosił bogatych i wpływowych oraz Arnol- da Szyfmana. Ten wygłosił płomienną mowę o potrzebie budowy w War- szawie Teatru Polskiego i zaapelował o wpłaty na specjalnie utworzone w tym celu konto w Banku Krajo- wym. „Potrzeba nam 600 tysięcy rubli” – zakomunikował. Wszyscy spojrzeli po sobie i zaczęła się zbiórka.

U Lourse'a, jednej z najpopular- niejszych knajp, natychmiast gruch- nęła wieść o zrzutce. Wymyślano niebotyczne kwoty, które „gówniarz z Krakowa” miał wyłudzać na teatr, który przecież nigdy nie powstanie. Szyfmana atakuje też część prasy, nikt nie wierzy, że to się może udać. Wpła- ty idą wolniej, niż planowano, i może pomysł ległby w gruzach, gdyby nie Tomasz Potocki, arystokrata, intelek- tualista, autentyczny wielbiciel sztuki. Jest oczarowany Szyfmanem i jego idea. Natychmiast zaczyna agitować

na rzecz przyszłego teatru. I to sku- tecznie. Wpłata dokonują Leopold Kro- nenberg, Władysław Potocki, Maciej Radziwiłł. Na koncie jest 100 tys. rubli.

Szyfman zaczyna rozglądać się za działką pod teatr. Znajduje ją na tyłach pałacu Karasia, rzut beretem od Kra- kowskiego Przedmieścia. Właścicielem terenu jest bankier Bronisław Goldfe- der, jak się okazało teatroman. Sprzeda- je działkę Szyfmanowi za 170 tys. rubli rozłożonych na trzy roczne raty. Zaku- pu dokonano w maju 1911 r., w lutym 1912 r. zabrano się za budowę. Kamień węgielny pod Nowy Teatr Polski (bo taką nazwę nosił w dokumentach) wmurowano 10 kwietnia.

Równocześnie ze zbieraniem środ- ków finansowych i prowadzeniem inwe- stycji Szyfman zaczyna planować reper- tuar i skład zespołu artystycznego. Wie, że chce grać klasykę w nowoczesnej formie i sztuki współczesne. Po długich rozważaniach na premierowy spektakl wybiera „Irydion” Zygmunta Krasin- skiego, bo ma pomysł na obsadę, reżyse- rię i wie, że zgodzi się na niego cenzura. Do pierwszego zespołu angażuje blisko 50 aktorów i aktorek, w tym Aleksandra Zelwerowicza i Józefa Sosnowskiego, Stanisławę Wysocką i oczywiście Marię Przybyłko-Potocką, z którą jest w niefor- malnym związku.



DANIEL WINTER/REPORTER

W morderczym tempie kończy się budowa, która wraz z wyposażaniem i zakupem działki kosztowała 753 ty- sięcy rubli.

29 stycznia 1913 r. premierą „Iry- dion” w reżyserii Arnolda Szyfmana otwarto teatr zbudowany przez Arnol- da Szyfmana, którego dyrektorem został Arnold Szyfman. W pamiętniku noto- wał: „To jest najważniejsza data w mojej działalności teatralnej”. Miał wówczas zaledwie 30 lat.

Teatr Polski (już bez Nowy) był naj- większym i najnowocześniejszym te- atrem w Warszawie i w tej części Europy. Wielka scena (pierwsza scena obrotowa w kraju!) była wyposażona w najnowo- cześniejszy sprzęt sprowadzany z Nie- miec, a publiczność zasiadała na wy- godnej 1000-osobowej widowni. Wnę- trza były stylowe, eleganckie, bez zbęd- nej ostentacji. Wszystko robiło wielkie wrażenie. Radość nie trwała jednak dłu- go. Wybuchła bowiem wojna, pierwsza z dwóch.

Rozstania i powroty

Światowy konflikt, w którego centrum znalazła się Polska, spowodował spa- dek frekwencji w teatrze o połowę, za- częło brakować pieniędzy. Dodatkowo część aktorów rozpierchła się poza Warszawę, a sam Szyfman, jako cudzo- ziemiec, obywatel wrogiego Cesarstwa Austro-Węgierskiego, został kilkakrot- nie aresztowany przez władze carskie, a w końcu wywieziony na Syberię. Na szczęście miał mnóstwo wysoko postawionych znajomych, dzięki cze- mu szybko go zwolniono. Mógł wró- cić do Warszawy, gdzie... ponownie go aresztowano. W tej sytuacji postanowił wyjechać na wschód. Trafił do Mos- kwy, gdzie w 1916 r. Komitet Polski zaproponował mu stworzenie polskiej sceny w Teatrze Kameralnym. Szyf- man, wieczny organizator, natychmiast przystał na tę propozycję, i przystąpił do konstruowania repertuaru i zespo- łu, ściągając do Moskwy m.in. Jaracza i Osterwę. Zaczął „Zemstą” Fredry.

W czerwcu 1918 r., po trzech latach w Rosji, Szyfman wraca do Warszawy. Jego mieszkanie jest splądrowane, więc

Był bez wątpienia snobem, cieszyła go jego pozycja i apanaże: dobrze płatne stanowisko dyrektorskie, wygodne mieszkanie, samochód z szoferem.

mieszka w Bristolu. Natychmiast chce zobaczyć swoje dwa najdroższe skarby: Marię Przybyłko-Potocką i Teatr Polski. Oba przeżyły wojnę w stanie dobrym.

Mimo zakusów stołecznego ratusza, który chce przejąć scenę, Szyfmanowi udaje się przekonać Towarzystwo Ak- cyjne Teatru Polskiego do podpisania z nim umowy. Wspierają go Lechoń, Tuwim, Horzyca i Schiller, który zosta- je kierownikiem literackim teatru i ser- decznym kolegą Szyfmana (a w przy- szłości rywalem). Umowa została podpi- sana, można budować repertuar Teatru Polskiego w stolicy niepodległej Polski.

Wracają oczywiście Szyfmanowskie gwiazdy: Osterwa, Jaracz, Zelwerowicz, Przybyłko-Potocka, dołącza Aleksander Węgierko (wielka miłość późniejszej gwiazdy Polskiego Niny Andrycz). Sce- na powoli rusza, z frekwencją jest coraz lepiej. Wówczas Kazimierz Zalewski proponuje Szyfmanowi przejęcie kie- rowanego przez siebie Teatru Małego, który grał w Filharmonii. Panowie się dogadują i podpisują umowę. Nastę- pnego dnia Zalewski umiera.

Teatr Mały pod kierownictwem Szyf- mana działał z powodzeniem przez 21 lat, do września 1939 r., kiedy spłonął po niemieckim bombardowaniu. Teatr Polski gra przez pierwsze trzy dni wrze- śnia, czwartego przestaje, bo nie ma wi- downi, a część zespołu została zmobili-



ARCHIWUM TEATRU POLSKIEGO IM. ARNOLDA SZYFMANA W WARSZAWIE

zowana. Warszawiacy zaczynają uciekać z miasta. Szyfman zostaje i pilnuje teatru. Na jego oczach płonie magazyn dekora- cji i wypadają wszystkie szyby z okien. Na budynku teatru już nie polskiego, ale der Stadt Warschau, zawisną wkrótce hitlerowskie flagi, a sam Szyfman – Żyd przeznaczony do eksterminacji – musi ratować siebie. Ukrywa się pod przy- branym imieniem i nazwiskiem Adam Sławiński, najpierw w Warszawie, potem pod Warszawą, a od 1942 r. do końca woj- ny u swoich przyjaciół Ludwika i Neli Morstinów w ich majątku w Pławowic- ach. W powstaniu warszawskim ginie jego ukochana Maria Przybyłko-Potocka.

Nowe życie

Nastala nowa, komunistyczna rzeczy- wistość. W lipcu 1945 r. władze powo- łały Arnolda Szyfmana na stanowisko szefa odbudowy Teatru Polskiego, który ucierpiał podczas drugiej wojny. Teatr został odbudowany i Szyfman wrócił na fotel dyrektora. Nie na długo. Po czterech latach otrzymuje propozycję wstą- pienia do partii. Grzecznie odmawia, bo polityką rzeczywiście nigdy nie był zainteresowany. Właściwie nie interesowa- ło go nic poza teatrem. Ale przeczu- wa, że coś niedobrego się dzieje, słyszy tu i ówdzie plotki o swojej rychłej dy- misji, więc pisze list do ministra kultury Włodzimierza Sokorskiego. Na nic się to zdaje, kłamka zapadła.

W 1949 r. Arnold Szyfman został usunięty ze stanowiska dyrektora Te- atru Polskiego. Następcą został jego ry- wal Leon Schiller, co go jeszcze dobiło. We wzruszającym piśmie pożegnalnym do pracowników Szyfman napisał: „Te- atr Polski był celem i zadaniem mojego życia”. Nie ma w tym nawet odrobiny przesady.

Odstawiony na boczny tor zabiera się za porządkowanie swojego boga- tego archiwum, kiedy nagle, w 1950 r., dostaje propozycję pokierowania bu- dową, o jakiej nie śnił. Władze podjęły bowiem decyzję o odbudowie zniszczonego podczas wojny Teatru Wielkie- go. Szyfman oczywiście się zgadza i zo- staje pełnomocnikiem ministra kultury do spraw odbudowy.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej Arnold Szyfman szybko wraca do Warszawy i zostaje pełnomocnikiem władz ds. odbudowy Teatru Polskiego.

Projekt był gigantyczny i kosztochłonny. Prasa szybko ochrzciła teatr „gmaszyskiem” i nieustannie pisała o gigantomanii, topieniu niebotycznych kwot w tę budowę, marnowanych miliardach. Doprowadzało to do szafu Szyfmana, który do budowy Teatru Wielkiego podszedł z takim zapalem jak niegdyś do budowy Teatru Polskiego. Praca pochłaniała go kompletnie.

Żona modna

18 lipca 1953 r. Maria Broniewska miała urodziny, które spędzała w Juracie, w rodzinnym domu letniskowym. Pochodziła z zamożnej i szlacheckiej rodziny Broniewskich herbu Tarnawa. Jej dziadek Bohdan Broniewski był przedwojennym ministrem przemysłu i handlu w rządzie Jana Kantego Steczkowskiego, a ojciec Mieczysław wiceprezesem Związku Cukrownictwa Polskiego i współwłaścicielem wielu cukrowni. Gdy wybuchła druga wojna, uciekli z Polski i znaleźli schronienie we Francji. Po wojnie postanowili wrócić do kraju, w którym zastali rozgrabiony i znacjonalizowany majątek oraz doświadczali szykan ze strony komunistów. Zeby dorobić, pani Zofia, matka Marii, wynajmowała pokoje w ich domku letniskowym w Juracie. Jednym z gości był legendarny dyrektor warszawskiego Teatru Polskiego Arnold Szyfman, który wypoczywał niemal zawsze ze swoimi przyjaciółmi Morstinami.

Szyfman, wówczas 70-letni pan, zakochał się z miejsca w 22-letniej Marii. Zrobił na niej wielkie wrażenie: bystry, dowcipny, towarzyski. Właśnie wrócił z zagranicznych wojaży z architektem Bohdanem Pniewskim (autorem projektu odbudowy Teatru Wielkiego), podczas których oglądali teatry operowe w Wiedniu, Mediolanie i Paryżu.

Po tygodniu Szyfman oświadcza się Marii. Od początku obie strony wiedziały, że chodzi o wspólne towarzystwo, a nie wielką miłość. Szyfman chciał mieć młodą, piękną, reprezentacyjną gospodynię przyjęć w jego domu przy Prezydenckiej na Starej Ochocie. Maria chciała wyrwać się z szarości i biedy PRL i zacząć żyć na poziomie

Wszyscy ważni goście odwiedzający Warszawę, jak brytyjska primabalerina Margot Fonteyn, chcą zobaczyć gmach Teatru Wielkiego. Oprawdzał ich zawsze sam Szyfman.

choć zbliżonym do tego sprzed wojny. „Po moim trupie!” – odpowiedział ojciec Marii. Pan młody był przecież starszy od niego o 10 lat. Szybko jednak, jak niemal wszyscy, poddał się urokowi Szyfmana i zdanie zmienił.

Ślub biorą w grudniu 1953 r., czym wzbudzają nie lada sensację. Wszyscy przyjaciele, współpracownicy i czytelnicy gazet byli w szoku. Powszechnie uważano, że Szyfman zwariował na stare lata, a o żadnej utracie zmysłów nie było tu mowy. Państwo Szyfmanowie okazali się niezwykle udanym małżeństwem. Maria, która mówiła płynnie po angielsku i francusku, miała nienaganne maniery i urok, była wymarzoną towarzyszką i gospodynią przyjęć, na których bywali wszyscy: Nina Andrycz, Zofia Węgierkowa, Seweryna Broniszówna, Aleksander Zelwerowicz, Mieczysława Ćwiklińska, Czesław Wołłejko, Jarosław Iwaszkiewicz, Jan Parandowski, Jan Brzechwa, Leon Kruczkowski, Aleksander Bardini, prof. Stanisław Lorenz, Maria Kuncewiczowa, Artur Rubinstein z żoną Nelą... Lista nie miała końca.

Ostatni powrót

Tymczasem w Teatrze Polskim zapanowała kompletna degrengolada. Zauważył to nawet minister kultury. W 1955 r. pisze do premiera Józefa Cyrankiewicza, że Szyfman został zdjęty sześć lat temu na prośbę kierownika Wydziału Kultury Jerzego Borejszy, żeby zrobić miejsce dla Schillera, ale trzeba go przywrócić, bo teatr się rozpada.

Szyfman w wieku 73 lat triumfalnie powraca. W teatrze panuje euforia. Ale

to już nie jest dawny Arnold Szyfman, raczej jego cień. Jest przewrażliwiony na swoim punkcie, niepewny, chce wszystko kontrolować, jest mu coraz trudniej. Dostaje coraz częściej wytyczne, ile ma grać sztuk radzieckich, cały czas ktoś się wtrąca do kierowania teatrem. W końcu w 1957 r. podaje się do dymisji. Miasto gada, że nie poddał. On, wielki Arnold?

Należał z pewnością, choć komunistyczne władze obeszły się z nim nieraz chłodno, do elity kulturalnej kraju. Był bez wątpienia snobem, cieszyła go jego pozycja i apanaże z niej wynikające: dobrze płatne i prestiżowe stanowisko dyrektorskie, wygodne mieszkanie, za które rachunki opłacał teatr, samochód z szoferem, dostęp do rządowej służby zdrowia, mógł także kupować dewizy i – co było najwyższym dowodem zaufania władz – wyjeżdżać za granicę razem z żoną. Bardzo bał się utraty tego wszystkiego.

Dlatego też nie zrezygnował z kierowania odbudową Teatru Wielkiego, choć był już zmęczony. Chciał doprowadzić do końca ostatnie dzieło życia i przejść na emeryturę.

Teatr Wielki został otwarty z pompą 19 listopada 1965 r. Jego wielki budowniczy Arnold Szyfman został podczas uroczystości odsunięty na bok i upokorzony. Nie dano mu przemówić, nie posadzono go w łóżko honorowej. Obok nie było zawsze wspierającej go żony, która wyjechała na stypendium do USA i postanowiła tam zostać. Rozwiedli się w tajemnicy kilka miesięcy wcześniej, ale pozostali w szczerzej przyjaźni. Otwarcie teatru było jego kolejnym wielkim triumfem, ale przez łyzy.

Szyfman przeszedł wkrótce na emeryturę, zdążył napisać pierwszy z planowanych trzech tomów wspomnień, ale szybko zaczął chorować. Najpierw zapalenie płuc, potem niewydolność nerek, szybko postępująca demencja. Tak jakby rozpadł się po wykonaniu wielkich dzieł. Zmarł 11 stycznia 1967 r., w wieku 85 lat. „Mały Żydek z miasteczka Ulanowa” – jak pisał o nim Jerzy Waldorff – odszedł jako wielki Polak. 🇵🇱

MAGAZYN SUKCES

NOWY NUMER
W SPRZEDAŻY

PRZECZYTAJ M.IN.:

- Magda Gessler – tańczy, maluje, a jak gotuje! Z biznesu uczyniła sztukę!
- Jaśnie wielmożna... marka. SISLEY. Kremy z herbem w tle.
- Crossfit – nieważne, jak wyglądasz. Ważne, ile z siebie dajesz!



POBIERZ APLIKACJĘ NA SWÓJ TABLET



POBIERZ APLIKACJĘ
NA SWÓJ TABLET

www.sukcesmagazyn.pl



PATRYK CHILEWICZ, ILUSTRACJE DAWID RYSKI

Happy hardcore

Screamo, k-pop, anime music, obscuro. Lista współczesnych gatunków muzycznych jest długa i zawiła, a przeciętnego odbiorcę, wychowanego na klasycznych podziałach na pop, rock czy jazz, może wprowadzić w onieśmienie. **Czy podział na gatunki jest dzisiaj muzyce potrzebny?** Komu bardziej – tym, którzy jej słuchają, czy tym, którzy produkują ją na potęgę?

W latach 90. płyty kupowało się w sklepach lub na bazarach, gdzie za grosze można było znaleźć zwykle niezłej jakości podróbkę. Współczesność nie jest dla muzyki tak łaskawa. Rozwój Internetu, dostępność plików w sieci i otwarcie wcześniej hermetycznego świata na wszelkich pretendentów do miana muzyków sprawiły, że album może nagrać każdy, a wszystko da się znaleźć w sieci – dosłownie za darmo.

– Truizmem byłoby mówić, że globalny miks gatunków rozwinął się wraz z ekspansją Internetu, ale... tak się faktycznie stało. Większa dostępność płyt rozwinęła horyzonty słuchaczy i – co za tym idzie – samych twórców, którzy zrozumieli, że jedynym sposobem na dotarcie do mas jest odważny międzygatunkowy melanz. Dawno minęły cza sy, gdy fani rocka zamykali się w gitarowym getcie. Spójrzmy na Korn i Skrillexa – trudno wyobrazić sobie taką kolaborację 10 lat temu! – zauważa Jacek Sobczyński, dziennikarz muzyczny i redaktor miesięcznika „Film”.

To właśnie konkurencja na rynku sprawiła, że artyści, ich menedżerowie oraz wytwórnie zaczęły szukać rozwiązań na utrzymanie sprzedaży. Coraz bardziej liczy się wizerunek i związane z tym kontrowersje. Na zwiększenie sprzedaży i zainteresowania świetnie wpływają również duety, najlepiej z wykonawcami innego rodzaju muzyki. Artyści zaczynają lawirować pomiędzy kiedyś zamkniętymi gatunkami, dlatego ich muzyka, niegdyś łatwo definiowalna, staje się dziś naprawdę trudna do sklasyfikowania. Dziennikarze

dwoją się i troją, wymyślając kolejne mutacje gatunków, łącząc nazwy, style i brzmienia. Przeciętni słuchacze gubią się w mnogości definicji. Komu tak naprawdę służy kategoryzowanie muzyki?

Madonna ucieka z szuflady

– Wystarczy posłuchać Beach Boys czy Beatlesów, żeby zobaczyć, że ich wartość to umiejętne poruszanie się w bardzo różnych stylistykach. Nie jest więc tak, że to się stało nagle. Jest taka teoria, która mówi, że gatunki zostały stworzone przez sklepy płytowe, żeby było wiadomo, na której półce ustawić album – komentuje dziennikarka muzyczna Małgorzata Halber.

Świetnym przykładem braku sensu w kategoryzacji muzyki jest Madonna

📖 Liczba gatunków muzycznych powiększa się w zawrotnym tempie. Polska Wikipedia podaje ich 102, podczas gdy portal Music Genre List wskazuje już ponad 230 podgatunków.

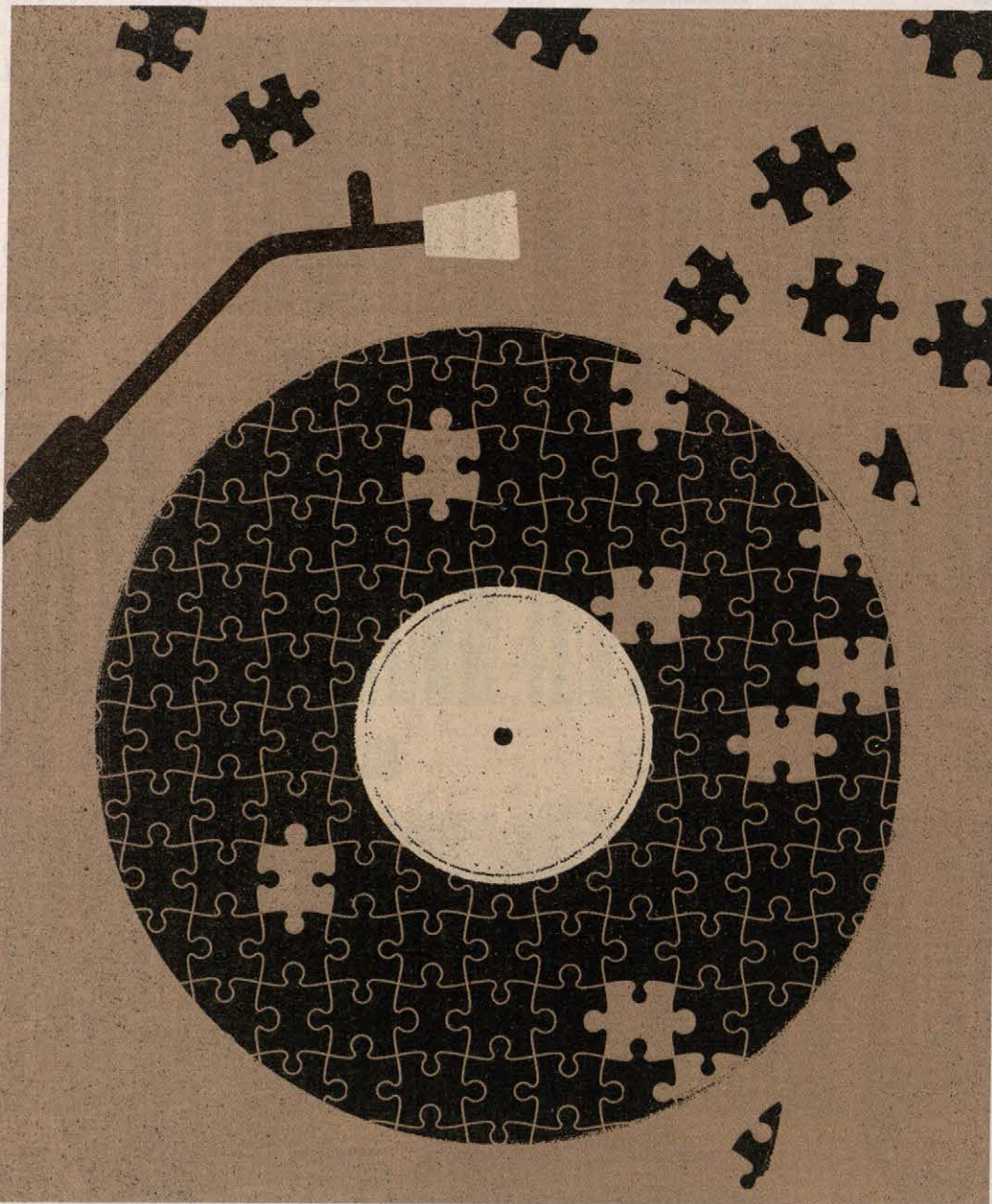
– ikona popu, która nie gra jedynie muzyki pop. Ta towarzyszy jej od początku kariery, lecz już w latach 90. królowa pokazała, że nie jest łatwo zamknąć ją w jednym gatunku – chociażby albumami „Bedtime Stories” czy „Ray of Light”. Nowy wiek to kolejna zmiana artystki. Madonna zaczęła dostrzegać depreczację jej po piętach konkurencję, więc zainwestowała w duety

z młodymi i zdolnymi – Justinem Timberlake'em, Kanye Westem czy Nicki Minaj. Albumem „Confessions on a Dance Floor” zapoczątkowała powrót disco, by kolejnym albumem zwrócić się ku muzyce dance. Weteranka dobrze wie, że zaszkladkowanie jest dla gwiazdy wyrokiem śmierci, więc usilnie stara się uciekać przed jakąkolwiek kategoryzacją.

Jej rywalka Lady Gaga, pretendująca do objęcia tronu królowej popkultury, również stara się nie być łączona z konkretnym stylem muzycznym. Duety z diwą R'n'B Beyonce czy jednym z pierwszych światowych boysbandów New Kids On The Block pozwalają jej trafić do szerszej rzeszy fanów. Artystka podkreśla, że jej muzyka jest sztuką, i stara się nie używać jakichkolwiek kategorii. Własną twórczość traktuje jako bezpośredni kontakt ze słuchaczami, co pozwala jej nie wpadać do wielkiej puli popowych gwiazd.

– Nigdy nie lubiłam szufladkowania muzyki i dzielenia jej na pop, rock czy rap. Dla mnie od zawsze istnieją dwa gatunki muzyki – dobra i zła. Rozumiem jednak, że ze względów marketingowych jest to konieczne – mówi piosenkarka Magda Steczkowska. I dodaje: – Przenikanie się gatunków obserwujemy od zawsze. Na początku rock'n'roll czerpał przecież z bluesa, jazzu czy nawet muzyki poważnej. W miarę powstawania nowych brzmień przenikają się one wzajemnie. Muzyka wiele na tym zyskuje, a my jesteśmy świadkami powstawania nowych gatunków i czasami niewiarygodnych muzycznych spotkań – dodaje.





Magia duetów

Niektórzy na różnorodnych gatunkowo duetach muzycznych wręcz zbudowali swoją popularność – tak właśnie wypłynął do szerszej rzeszy Timbaland, David Guetta zyskał rozgłos nie tylko wśród fanów muzyki klubowej, a Santana drugą młodość, wchodząc w kolaborację z początkującymi artystami. Całej trójce wymykanie się kategoryzacji wyszło na dobre.

– Od momentu, kiedy zaczęłam słuchać muzyki, a potem ją robić, w ogóle od kiedy zaczęłam o muzyce myśleć,

stopniowo uświadamiałam sobie, że gatunki muzyczne, zwłaszcza w obrębie muzyki popularnej, to raczej sztuczne, dość uproszczone podziały. Im bardziej hermetyczny, obwarowany regułami gatunek, tym mniej artystycznie wartościowe jego owoce, tym mniej szans na jakieś spektakularne przełomy – mówi Natalia Fiedorzuk, muzyczka znana bardziej jako Natalie and The Loners. – Z drugiej strony gatunek, może bardziej od strony socjologicznej, daje poczucie przynależności do grupy, jest zbiorem jakichś kodów

i komunikatów, a te z kolei dają grupie poczucie bezpieczeństwa – dodaje.

Kult indywidualizmu

Liczba gatunków muzycznych powiększa się w zawrotnym tempie. Polska Wikipedia podaje ich 102, podczas gdy portal Music Genres List wskazuje już ponad 230. Przeciętny odbiorca z pewnością wymieni ich kilkanaście, lecz skąd ma wiedzieć, że muzyka latynoska dzieli się na dziesięć innych podgatunków? I czy zwykły odbiorca jest tak naprawdę zainteresowany dzieleniem i tak szczegółowym kategoryzowaniem jakiegokolwiek nurtu?

– Łączenie gatunków muzycznych to coś w rodzaju pomostu, który zamiast dzielić słuchaczy – łączy. Cel jest zawsze ten sam: stworzyć coś unikalnego – mówi wokalistka i aktorka Natalia Lesz. – Do tej pory artysta był stricte przyporządkowany do jakiegoś gatunku. Tymczasem możliwe, że niedługo będziemy dzielić muzykę po prostu na rozrywkową i poważną, bez podziału na nurty, które nie są jednoznacznie ustalone – dodaje.

Kto w takim razie tworzy kolejne gatunki? Okazuje się, że sami fani. Pragną wpisać się w panujący kult indywidualizmu, więc dzielą poszczególne brzmienia i nadają ulubionej przez siebie muzyce status wyjątkowej, tworzącej nowe dźwięki i nieznane wcześniej gatunki. Dziś każdy chce być wyjątkowy, a dzięki Internetowi każdy może być też muzycznym recenzentem, co rodzi kolejne podziały, teorie i nurty.

– Najwartościowsze rzeczy tworzą się poza pojęciem gatunku, gdzieś w momencie połączenia najbardziej odległych kategorii estetycznych. I nie sądzę, by była to kwestia ostatnich kilku czy kilkunastu lat. „Sonata księżycowa” Beethovena jest skonstruowana całkowicie wbrew przyjętej w epoce klasycyzmu formie sonatowej. Wychodzi na to, że jest gatunkowym pariasem i tym samym pozostaje dziełem wybitnym, przełamującym kanony, do dziś często cytowanym, no i najszybciej kojarzonym ze słowem sonata – zauważa Fiedorzuk.

Czy dzisiejsze kolaboracje i wychodzenie poza narzucone ramy muzyczne

może mieć dla artystów taki wydźwięk? Wydaje się, że nie. Coraz mniej nas dziwi, artyści mają sporą trudność w zaskoczeniu odbiorcy. Na początku XXI w. prym wiodły kolaboracje wokalistek pop z raperami, dziś powróciła muzyka taneczna i kawałki stricte dyskotekowe. Czy jest sens nadawać im kolejne nazwy? Nowy przebój Britney Spears „Scream and Shout” stworzony w duecie z will.i.am jest mieszanką elektroniki, popu i rapu, lecz czy zasługuje na miano nowego gatunku? Dido, wokalistka typowo pop, która słynie z delikatnych i melodyjnych ballad, nazwała kiedyś swoją muzykę i-pop, co miało oznaczać „intelligence pop”, czyli muzykę popularną wyższych lotów. Również muzycy sami starają się tworzyć nowe gatunki, każdy chce być ojcem lub matką jakiegoś trendu – wszystko to wpisane jest oczywiście w pojęcie indywidualizmu i niezależności, które dziś są bardzo w cenie.

Potupaje dla akademików

– Uważam, że w dzisiejszych czasach nie ma gatunku muzycznego, którego nie dałoby się połączyć z innym. Zawsze znajdzie się jakiś szalenie, który stworzy coś świeżego przez połączenie starego brzmienia z nową technologią. Tak robi się dzisiaj najczęściej w muzyce pop i elektronicznej, gdzie w grę wchodzi nie tylko instrumenty, ale też sample ze starych oldschoolowych numerów – mówi Bessia Hetmańska, znana lepiej jako Candy Girl, która zaśłynęła kilkoma przebojami w Polsce, a dziś rozwija karierę na chłonnym rynku azjatyckim.

Ciekawą teorię prezentuje Halber. – To, że gatunki zacierają się i łączą, wynika z prostej przyczyny: gatunki jako zjawisko, a właściwie podział gatunkowy, jest wtórny w stosunku do samej muzyki. Jest wynikiem akademickiej potrzeby serca krytyków, którzy o czymś muszą pisać, wklajają się więc w spory na temat elementów koniecznych i wystarczających do zdefiniowania gatunku, jednak te najciekawsze zjawiska w muzyce wymykają się owym podziałom. Wystarczy popatrzeć, jak wiele różnych zespołów kwalifikowano jako grunge’owe – w pewnym momencie te etykietki miały i płyty Smashing Pumpkins,

Pięć gatunków, których (prawdopodobnie) nikt nie zna

→ SPEED METAL

Ten gatunek jest odłamem heavy metalu, który powstał już w latach 80. Niektórzy opisują go jako „bardzo szybkie tarcie papierem ściernym”. Z czasem speed metal obumarł i przekształcił się w trash metal – w ten sposób powstało kolejne rozszczepienie w ciężkiej muzyce.

→ HOOMII

Ta urocza nazwa nie oznacza nic innego jak muzykę mongolską. Każde plemię posiada charakterystyczne dla siebie dźwięki, jednak hoomii to kolejny gatunek z serii dziwnych: by prawidłowo go zaśpiewać, należy wydobyć dźwięk gardłowy przypominający coś pomiędzy gitarą a gwizdkiem. Każda piosenka zawiera przy tym do dziesięciu słów.

→ CHIPTUNE

Muzyka na wskroś syntetyczna, w której instrumentami są... konsole do gier. Nazwa wywodzi się od słowa „chip”, a opisywanie świata w kontekście jego digitalizacji jest

myślą przewodnią gatunku. Uwaga: chiptune nie należy mylić z nintendocore, które jest zupełnie innym nurtem w muzyce.

→ SCHRANZ

Jak łatwo można się domyślić, schranz powstał w Niemczech, na fali zachwytu muzyką techno. To nurt dla odważnych – BPM na minutę wynosi aż do 170 (dla laików: to bardzo szybki rytm). Ten gatunek aż trzeszczy pośpiesznym bitem oraz różnego rodzaju celowymi zakłóceniami, które występują wręcz w nadmiarze.

→ DANGER MUSIC

Te dźwięki mogą naprawdę wywołać tragedię. Gatunek powstał w środowisku muzycznej awangardy przełomu wieków. Niepokojące, skrzeczące dźwięki nieraz powodowały stany lękowe u słuchaczy, a koncerty były wielokrotnie odwoływane z powodu spodziewanych zamieszek. To muzyka, która służy bardziej manifestem politycznym niż samej przyjemności słuchania.

i Mudhoney, i Sonic Youth, i oczywiście Alice in Chains – tłumaczy dziennikarka.

Jacek Sobczyński zwraca uwagę na jeden z najmłodniejszych ostatnio nurtów muzycznych. – Smuci mnie powolna agonia pierwszej fali dubstepu, zdecydowanie najważniejszej i najciekawszej gałęzi elektroniki minionej dekady. Płyty Kode9, Digital Mystikz czy Bengi – to wszystko tworzyło szalenie oryginalną, spójną całość, urzekającą słuchacza miejskim feelingiem



i niepowtarzalnym, pełnym niedopowiedzeń i mroku klimatem – tłumaczy recenzent. – To se ne vrati, ponieważ drugie pokolenie dubstepu spauperyzowało ten gatunek do poziomu remizowego potupaja, starsi twórcy woleli zaś uciec w ambitne eksperymenty, czego najlepszym przykładem jest podróż Brytyjczyka Mali na Kubę, gdzie z tamtejszymi muzykami nagrał niesamowity, czerpiący z lokalnych rytmów album „Mala in Cuba”, który równie dobrze można ustawić na półce „elektronika” co „muzyka świata”. Jasne, że każde źródło musi w końcu wyschnąć, ale szkoda, że dziś hasło „dubstep” 90 proc. słuchaczy skojarzy ze Skrillexem, Nero czy Flux Pavilionem – dodaje.

Gdy będziecie kończyć lekturę tego tekstu, najpewniej pojawi się już kolejny gatunek muzyczny – z fanowskiej potrzeby serca lub z marketingowej potrzeby pieniądza. Prawdopodobne, że nigdy go nie poznacie wśród natłoku singli, które codziennie są wrzucane do sieci. Mnogość stron prezentujących profile zespołów oraz programów oferujących praktycznie gotowe podkłady muzyczne i sample sprawia, że muzykiem może się stać każdy. Z efektami różnymi, ale demokracja w sieci pozwala na dowolność w tworzeniu. Tylko czy od razu wszystkiemu warto przyklejać łatkę? 🤖

DOMINIKA WĘCŁAWEK

Biedota jest dobra na wszystko

Oficyna Biedota powraca do wydawania muzyki na kasetach magnetofonowych.

W swojej ofercie ma postpunka, elektronikę i alternatywne country. Mała, ale prężna wytwórnia w trzy lata zdążyła wyrobić sobie markę wydawnictwa wszechstronnego i zyskuje coraz więcej fanów.

Różnorodność gatunków i nośników jest siłą, ale też słabością istniejącej od 2010 r. Biedoty. – Trochę zazdroszczę ukierunkowanemu na różne odmiany muzyki eksperymentalnej wydawnictwom pokroju kasetowego Sangoplasmu, winylowego Bocian Records i wydającego na CD Bôlt – przyznaje założyciel Biedoty Michał Turowski. Przy tak wyspecjalizowanych wytwórniach można zamawiać nowe albumy niemal w ciemno. – Kiedy klienci słyszą o mojej premierze, najpierw muszą posłuchać materiałów udostępnionych w sieci, przeczytać informację prasową, zorientować się, co to za gatunek. Nie ma po prostu jakiegoś konkretnego estetycznego spoiwa dla całego katalogu – wyjaśnia Michał. Dodaje jednak, że na listach zamówień pojawiają się często te same nazwiska, czyli nie brak osób, którym tyle różnych szuflad estetycznych odpowiada. Biedota od początku miała być właśnie taką bardzo „rozstrzeloną” oficyną bez konkretnego planu wydawniczego.

– Kryterium doboru jest banalne: materiał musi mi się spodobać – twierdzi Turowski. On sam ma dosyć wszechstronne zainteresowania muzyczne, choć stawia przede wszystkim na muzykę gitarową. W planach Biedoty na najbliższe miesiące można znaleźć także album hip-hopowy oraz literacki audiobook.

Muzyka najważniejsza

Oficyna wystartowała z nowym projektem, przewrotną Serią Numeryczną. Tego samego dnia każdego miesiąca o tej samej godzinie wystawiana jest na sprzedaż limitowana w nakładzie kaset, na której znajdują się dwa różne utwory dwóch wykonawców. Odmienne gatunki muzyczne i brzmienia nieopisane w żaden sposób. Całość ma skłonić do poszukiwań, ożywić nieco rozleniwionego słuchacza. – Semantyka w muzyce ma bardzo duże znaczenie, są artyści z pozycją geniuszy, w przypadku których każdą płytę należy przyjmować z entuzjazmem. Są rzeczy, których wstyd nie znać, a jeżeli twój znajomi się dowiedzą, że nie słuchałeś jeszcze nowej płyty projektu X, to wydziesz na totalnego ignoranta. Tutaj chciałbym odrzucić zupełnie warstwę językową i szufladkowanie – uściśla wydawca. W Serii Numerycznej najważniejsza jest muzyka. Pierwsza część w limitowanej do 30 sztuk liczbie kaset trafiła do sprzedaży już 1 lutego. Na razie zaplanowane są trzy kolejne wydania, ale Turowski wciąż chętnie zbiera utwory od różnych artystów.

Biedota jest oficyną otwartą na nowe nagrania. Ma też swoje odkrycia. Jednym z nich jest Jemek Jemowit. Z nade-



PAWEŁ STARZEK

ślanej koperty wypadło „sześć strasznie tar detnych zdjęć gościa z dziwną fryzurą, biegnącego po plaży, pijącego wyborową, w strasznie złych ciuchach, jakiś kiczowaty maskaron. Do tego jednolite banknot oraz płyta CD”. To była płyta Jemka Jemowita „Tekkno Polo”. Zbyt słaba, by ją wydać, ale Turowski znalazł inną jego płytę zatytułowaną „Zemsta”, wydaną wcześniej na winylu w Grecji. Nie zastanawiał się długo i postanowił po prostu namówić Jemowita na polską reedycję „Zemsty” w limitowanym nakładzie na CD.

Taśmy trzaski

Oficynę Michał prowadzi sam, choć w sprawach organizacyjnych nieoceniona pozostaje jego partnerka. Niedawno też Biedota wydała cztery albumy wspólnie z innym niewielkim wydawnictwem, InnerGuN prowadzonym przez Jakuba „Krojca” Pokorskiego. Koszty dzielą po połowie, gust i wizję wydawniczą w większej części. Oba wydawnictwa pozostają jednak autonomiczne. Biedota to też bardziej kolektyw wydawniczo-artystyczny, w którym wydawca jest blisko związany z podopiecznymi.

Zdarzają się sytuacje, w których muzycy współfinansują tłoczenie swojego albumu, a następnie zabierają na trasę większą część nakładu. – Zdarzyło mi się, że przyszli do mnie członkowie zespołu, którzy nagrali kiedyś kasetę, która leży zduplikowana u nich w szafie, w pudełku po butach. Powiedzieli, że sami nie mają energii, żeby pociągnąć ten temat dalej, i zapytali, czy moglibyśmy wspólnie podziałać. Więc podziałaliśmy – wspomina Turowski.

Właściciel Biedoty preferuje wydawanie muzyki na kasetach. Nie chodzi o hipsterskość i gadżetowość takiej formy wydawniczej, choć owszem, Turowski zna ludzi, którzy kupili wydane przez niego kasety i nawet ich nie przesłuchali, tylko postawili na półce, a muzykę pobrali z Internetu dzięki dołączonemu do wydania kodom. Skąd to wie? – Do jednej z kaset, która roze-

szła się w dosyć wysokim nakładzie, artysta dołączył muzyczny żart. Do dziś na żadnym forum w Internecie nie znaleźliśmy informacji, by jakkolwiek nabywca chwalał ten album wyłapał ów dowcip – zdradza wydawca. Poza tym Turowski przyznaje, że kasety po prostu mają duszę. Trudniej zignorować jakiś album, olać muzykę i przeskoczyć dalej, jak to często ma miejsce, gdy w odtwarzaczu ma się setki empetrójek. Dla Turowskiego jako wydawcy kasety ma jeszcze jedną zaletę. Jest tania w produkcji. Można ją wydać w mikroskopijnym nakładzie. – To też nośnik bardziej plastyczny niż CD. Da się „ubrać” na tysiąc różnych sposobów i na każdy mogą sobie finansowo pozwolić, bez martwienia się wykrojkami w drukarni, setkami złotych kosztów – wylicza Turowski. Różnice są spore. Wydanie albumu na CD w nakładzie kilkuset sztuk kosztuje tyle co kilka albumów na taśmach. Poza tym Turowski uwielbia też to, że wszystko może tu zrobić samodzielnie. Wszystkie kasety były przegrywane z masterów u niego w domu. Każdą pakował własnoręcznie. – Gdy dostaję kasetę z drugiego krańca świata, otwieram paczkę i wkładam ją do odtwarzacza, to wiem doskonale, że ktoś siedział po nocach i duplikował te taśmy tak jak ja, sam pakował do pudełek, sam kleił naklejki – wyjaśnia. Kasety pozwalają też na recykling. – Czasem udaje się szczęśliwie trafić i na wyprzedazy leżą kasety nawinięte akurat pod długość, jakiej potrzebuję, wystarczy tylko zmyć stary nadruk z obudowy – zdradza tajniki odzyskiwania nośników wydawca.

Dobre hobby

Kaseta to też sentyment, niekiedy nie z powodu wspomnień z młodości. 23-letni Turowski załapał się bowiem na schyłek boomu. Jednak już od początku jego Oficyna Biedota miała publikować muzykę w tej formie. Wydawniczy debiut w postaci albumu „19 Wiosen”, jak i drugie w katalogu Wieże Fabryk okazały się warte kompaktu. Z Wieżami łączy się zresztą anegdota, bo Michał zwrócił się do zespołu z propozycją wydawniczą po koncercie, nie mając jeszcze labelu, czym wprawił zespół w lekkie osłupienie. Teraz potrafi osiągać nakład czterocyfrowy (Demolka) czy pozwolić sobie na drogi w produkcji winyl (The Kurws). Kasety często trafiają za granicę, partia wydanego właśnie albumu cenniejszej grupy kIRK „Zła krew”, już trafiła do fanów spoza Polski. Jednak Oficyna Biedota to wciąż przede wszystkim hobby, o tyle dobre, że na razie samo na sobie zarabia i pozwala wielu ciekawym zespołom zaistnieć poza obiegiem wyłącznie koncertowym.

Michał Turowski, założyciel wytwórni Biedota, wydaje na kasetach muzykę, którą sam lubi.



Maciej Nowak

Seweryn by Hupało



ARTUR KOT

Gwiazdorska lista płac niczego nie załatwia, skoro nowa estetyka jest dla reżysera zupełnie niezrozumiała. W efekcie powstał butikowy spektakl w stylu bazarowych podróbek Dolce & Gabbana.

Autor jest teatrologiem, szefem Instytutu Teatralnego, smakoszem, autorem barwnych recenzji kulinarnych. U nas pisze o premierach teatralnych.

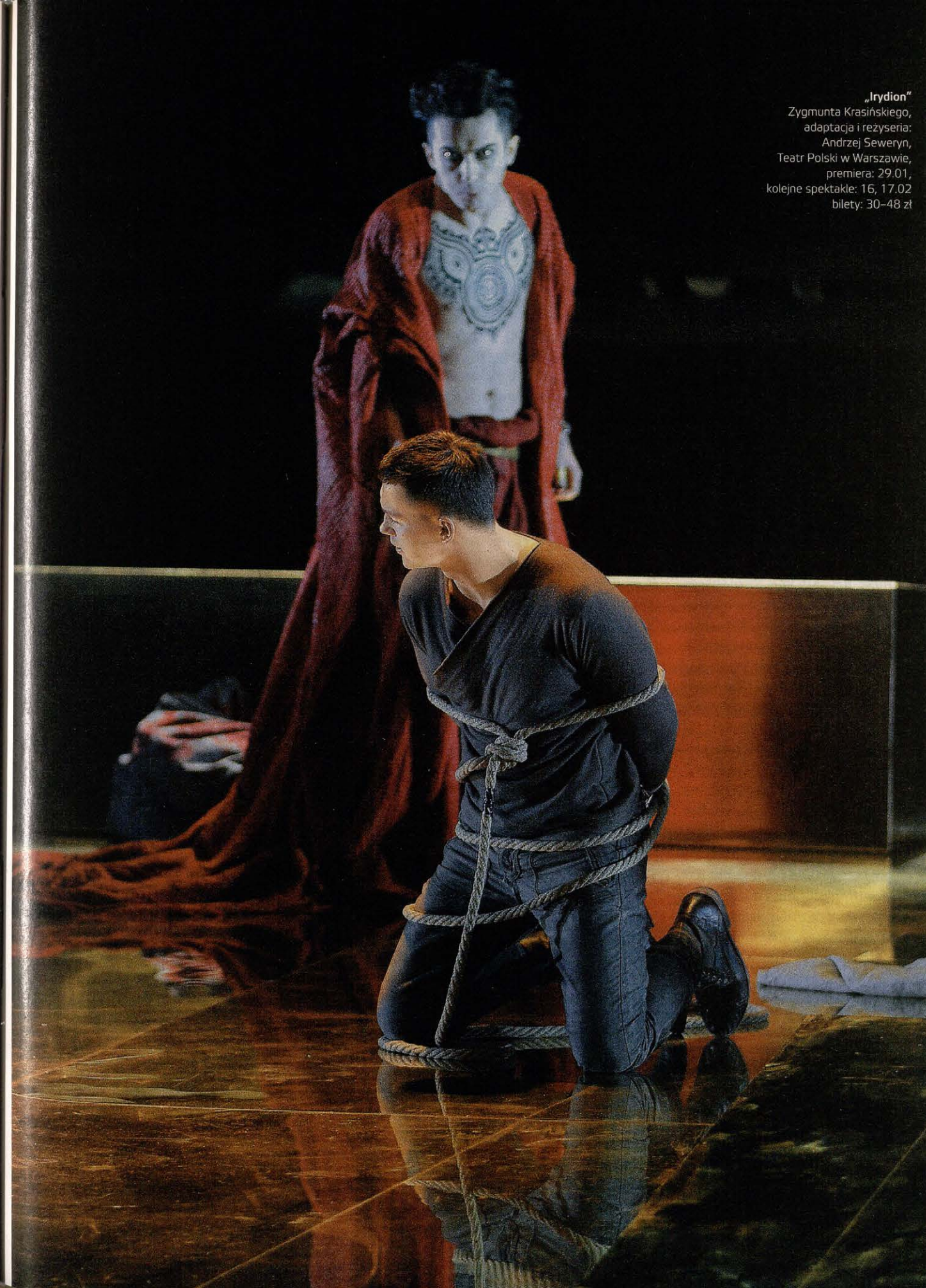
Mogę zacząć ten tekst sentymentalnie. Obchodzący stulecie Teatr Polski to dla mnie miejsce szczególne. Jednej trzeciej jego dziejów doświadczyłem na własnej skórze, bo właśnie tutaj narodziłem się jako autor piszący o teatrze. Również 30 lat temu w dzienniku „Sztandar Młodych” ukazała się moja debiutancka recenzja „Zemsty” wyreżyserowanej przez Kazimierza Dejmka na scenie przy ul. Karasia... Hic natus est... Dobrze, nie? Osobiste doświadczenie usytuowane w ramach wielkiej narracji zawsze robi wrażenie. Jakie to pociągające! Jak pięknie można się wystylizować! Jak cudowną pozę świadka chwil podniosłych przybrać! Ale to chyba jednak zła maska, bo muszę przyznać, że Dejmkowa „Zemsta” zrobiła na mnie fatalne wrażenie, a tekst w „Sztandarze Młodych” był tego beczelnym wyrazem. Pisałem o ponurym i martwym muzeum szlachetczyzny, zachęcałem Tadeusza Bartosika, grającego Cześnika, by skonsumsił nie tylko przyniesioną przez Dyndalskiego polewkę, ale i samego Polewkę (Jana), który był autorem scenografii. No po prostu boki zrywać. Gdybym dziś dorwał gówniarza pozwalającego sobie na podobne figury stylistyczne, zafundowałbym mu wpięrdol.

Ten łzawy akapit to jednak fałsz. Opowieść o jubileuszu Teatru Polskiego trzeba zacząć zupełnie inaczej. Mamy 25 stycznia 2013 r., czarny piątek polskiego parlamentarizmu. Sejm po zawstydzającej i oburzającej debacie odrzuca możliwość skierowania do komisji trzech projektów ustaw o związkach partnerskich. Media z lewa i prawa biją w surmy bojowe, każde z innego powodu, nikt nie ma wątpliwości, że to jeden z momentów dziejowych wykluwania się kształtu nowoczesnej Polski. Ekscesom wybrańców narodu przyglądają się z trybuny dla publiczności rozemocjonowani młodzi ludzie, którzy na bieżąco wrzucają do sieci świadectwa poselskiego zbydłęcia. Polska huczy, Polska się wkurwia, Polska wije się z wściekłości. Gdzieś obok tych rozemocjonowanych i modnie ubranych dzieciaków siedzi w napięciu grupka panów w skromnych garniturach z szarymi aktówkami. W nich projekt uchwały Sejmu

RP uczczenia 100. rocznicy powstania Teatru Polskiego. Zgodnie z porządkiem obrad powinien być dzisiaj głosowany, a tymczasem takie zamieszanie. Ale jednak się udało! Posłowie ocierają z kącików ust resztki jadu i pogardy i przez aklamację, na stojąco, przegłosowują, że „przetwał on pożar i dwie wojny światowe, a na jego deskach występowało wielu znakomitych aktorów, przyczyniając się do rozpowszechniania kultury w naszym kraju”. Triumf! Narodowa zgoda ponad podziałami! Bez przesady. Tylko konwencjonalny gest na boku tego, co rzeczywiście emocjonuje społeczeństwo.

Dyrektor Teatru Polskiego Andrzej Seweryn to postać zasłużona i dzielna. Jako student szkoły teatralnej w 1968 r. podążył na czele demonstracji, która wyszła z Teatru Narodowego po zakazaniu przez władzę partyjną przedstawieniu „Dziadów” w reżyserii Kazimierza Dejmka. To był mityczny moment założycielski demokratycznej, antykomunistycznej opozycji. Andrzej Seweryn tkwił wtedy sam w splocie pacierzowym polskiej dyskusji. Dzisiaj tej intuicji mu braknie. Symbolicznie widać to było w Sejmie, a najzupełniej realnie w „Irydionie”, którego przygotował na stulecie Teatru Polskiego. I nie chodzi o anachroniczny tekst Krasieńskiego, bo decyzja o powrocie do sztuki, którą przed wiekiem rozpoczęła się historia tej sceny, jest w pełni zrozumiała.

Szukając kontaktu ze współczesną wrażliwością, zaprosił do współpracy przy „Irydionie” wybitnych twórców najnowszego teatru: scenografkę Magdę Maciejewską, kostiumografkę Dorotę Kołodyńską, reżyserkę światła Jacqueline Sobiszewski, choreografa Leszka Bzdyla, muzyków Macio Morettiiego i Ola Walickiego. Ale gwiazdorska lista płac niczego nie załatwia, skoro nowa estetyka jest dla reżysera zupełnie niezrozumiała. W efekcie powstał butikowy spektakl w stylu bazarowych podróbek Dolce & Gabbana. Niby nowoczesny i z modnymi grzywkami, ciętymi osobiście przez Jagę Hupało, a przecież – boleśnie tandetny. 🐾



„Irydion”
Zygmunta Krasieńskiego,
adaptacja i reżyseria:
Andrzej Seweryn,
Teatr Polski w Warszawie,
premiera: 29.01,
kolejne spektakle: 16, 17.02
bilety: 30–48 zł

JAN MIROSLAW

Harvey Weinstein, czyli jak zostać królem Oscarów?

Kiedyś Oscary były targowiskiem próżności. Jeden człowiek zamienił je w wyścig zbrojeń.

W piątek do kin wchodzi „Poradnik pozytywnego myślenia”, wyróżniony aż ośmioma nominacjami do Oscara. To klasyczny przypadek małego filmowego Dawida, który powalczy o złoto z hollywoodzkimi Goliatami, takimi jak „Lincoln” (12 nominacji), „Życie Pi” (11), „Nędznicy” (8) i „Argo” (7). Swój sukces zawdzięcza i inteligentnemu scenarzystowi, i doskonałej reżyserii, i krejom aktorskim. Przede wszystkim jednak zawdzięcza go promocyjnemu geniuszowi Harveya Weinsteina. To prawdziwy weteran oscarowych bojów, ale również gracz, który w środowisku filmowym budzi mieszankę obrzydzenia i podziwu: obrzydzenia dla metod, podziwu dla skuteczności. Weinstein nie cofnie się przed niczym, żeby zdobyć upragnioną statuetkę – i bardzo często mu się to udaje. Konkurencja zżyma się na jego bezwstydną kampanię, zarzuca jego propozycjom niski poziom artystyczny i wzywa do przywrócenia czystych zasad, choć od dawna stosuje te same metody gry. A w niej nie chodzi już tylko o nagradzanie dobrych filmów. Chodzi o napompowaną do granic ambicję ludzi, którzy żyją nie dla sztuki, ale dla uznania.

Apetyt Harveya Weinsteina na wygrane zaczął rosnać we wczesnych latach 90., kiedy prowadzone przez niego z bratem Bobem niezależne studio Miramax zaczęło zarabiać na festiwalowych produkcjach, dla których nie było miejsca w wielkich wytwórniach. Awans do pierwszej ligi dał mu jednak dopiero związek z Disneyem, który kupił Mira-

max, pozostawiając Weinsteina na czele firmy. Układ był jasny: koncern nie żałował pieniędzy, oczekując prestiżowych produkcji i zwycięstw. Harvey nie zawiodł. Zaczął od „Pulp Fiction”, które w pierwszym roku nowej spółki zdobyło Złotą Palmę i Oscara za scenariusz. O ile jednak film Tarantino był krokiem milowym w historii kina, o tyle za taki raczej nikt nie uzna „Angielskiego pacjenta”, który dwa lata później zdobył aż dziewięć statuetek. Weinstein trafnie przewidział, że elegancki wojenny melodramat trafi w gusta Akademii, ale nawet on był pewnie zaskoczony skalą zwycięstwa. Trzy lata później dowiódł, że nie było w tym przypadku. W 1999 r., gdy całe Hollywood było przekonane, że nic nie pokona „Szeregowca Ryana”, Weinstein zauważył swoją szansę. Przeciw brutalnemu filmowi o wojnie wystawił „Zakochanego Szekspira”, stosunkowo błahą komedijską. Następnie wykupił tyle reklam, ile tylko zdołał, a wynajęci klakierzy zaczęli przekony-

wać dziennikarzy, że w „Szeregowcu” po pierwszych 20 minutach nie ma czego oglądać. Miramax nie szczędził również środków na wystawne przyjęcia dla członków Akademii, mimo że łamały panujący w branży niepisany zwyczaj. Tak otwartego zabiegania o głosy Hollywood wcześniej nie widziało, ale po zwycięstwie „Szekspira” nad „Ryaniem” bezwstydną kampanię szybko stały się normą. Dziś miliony dolarów idą na ogłoszenia w branżowych magazynach, w których „pod rozważkę” głoszących oddaje się konkretne tytuły i nazwiska. Jeszcze większe pole do popisu stwarza Internet. W szczycie sezonu każdą znaczącą stronę o show-biznesie oblepiają banery kandydatów, cytujące pochlebne recenzje, zapraszające członków Akademii na darmowy pokaz w pobliżu albo pozwalające zamówić kopię filmu do domu. Wyścig tak się rozrósł, że daje źródło utrzymania serwisom takim jak Gold Derby i Awards Daily, których jedynym zadaniem jest

KOMEDIODRAMAT

„Poradnik pozytywnego myślenia”, reż. David O. Russell
USA 2012, Forum Film, 122 min
👍👍👍👍



obsesyjne śledzenie ruchów na przed-oscarowej giełdzie. Wciąż jednak, mimo przyspieszenia (oraz wprowadzenia oficjalnego zakazu bankietów), rozgrywającym jest tu Harvey Weinstein. Już pod nowym szyldem The Weinstein Company próbuje wyrównać wynik osiągnięty z Miramaxem: 249 nominacji, 60 wygranych, w tym trzy za najlepszy film roku. „Jak zostać królem” i „Artysta” dały mu wygrane przez dwa ostatnie lata z rzędu, ale wszystko wskazuje, że to dopiero początek. W końcu Weinstein to człowiek, który przekonał Kate Winslet, by zagrała w „Lektorze”, choć ta zarzekała się wcześniej, że nie będzie grać w filmach o Holokauście kreconych cynicznie z myślą o Oscarach (dostała za niego swoją jedyną statuetkę, po sześciu nominacjach). Ten sam film promował nazwiskami jego zmarłych przedwcześnie producentów, Sydneya Pollacka i Anthony’ego Minghelli, choć wcześniej nachodził obu na łożu śmierci, byle tylko podpisali zgodę na premierę w regulaminowym terminie. W tym samym roku stał również za desperackimi atakami na producentów „Slumdog. Milionera z ulicy”, którym „anonimowe źródła” zarzuciły eksploatację występujących w filmie dzieci. Nerwy opuściły Weinsteina również wtedy, kiedy nie potrafił znaleźć sposobu na „Piękny umysł”. W prasie pojawiły się niepoparte dowodami pytania o rzekomy antysemityzm grane go przez Russella Crowe’a matematyka Johna Nasha. Zapytany o zagranię poniżej pasa producent ze wzruszeniem ramion odpowiedział: „Cóż, gdy jesteś rewolwerowcem, a obok ktoś umiera z naturalnych przyczyn, to i tak przypiszą winę tobie”. W ubiegłym roku doprowadził Meryl Streep do historycznego, trzeciego zwycięstwa, powtarzając, że wprawdzie jest najczęściej nominowaną aktorką w historii (17 razy), ale jest też najczęściej przegrywającą (poprzednia wygrana w 1982 r.). Branie Akademii na litość? W świecie oscarowych kampanii nie ma miejsca na subtelności. Gdyby Weinstein miał napisać poradnik wygrywania, nie miałby słowa „pozytywny” w tytule. 📺

Dorota Chrobak o filmach



MATERIAŁ PRASOWY (2)

reż. Carlos Reygadas
Francja/Holandia/
Meksyk/Niemcy 2012,
Stowarzyszenie Nowe
Horyzonty, 120 min
👍👍👍👍

DRAMAT

Post tenebras lux

Wzorzec kina autorskiego z Sevres. Rzecz skrajnie osobista, momentami dziwaczna (po domu chadza animowany diabeł ze skrzynką na narzędzia) i afabularna (najlepsze streszczenie, z jakim się spotkałam, brzmiało: „Aaa! To ten film o ludziach w lesie”). Co jednak najważniejsze, „Post tenebras...” to obraz oddziałujący głównie na zmysły i emocje, a nie rozum, dlatego u osób o rozwiniętej potrzebie dookreślenia i dopowiadania może pozostawić spory niedosyt. Według mnie to film o tym, że w dzieciństwie widzimy i czujemy więcej, a z czasem ta umiejętność w nas zanika i pozostawia trudną do sprecyzowania tęsknotę. Jednak ilu widzów, tyle interpretacji.



reż. Jacques Audiard
Belgia/Francja 2012, UIP,
120 min
👍👍👍

MELODRAMAT

Rust and bone

Zaskakująco przeciętny film reżysera, który poprzednio błysnął arcydziełem – brawurowym „Prorokiem”. Głównym winowajcą jest tu scenariusz, który na odległość pachnie harlequinem: ona to wyniosła piękność po osobistej tragedii (straciła nogi w wypadku), on – nieokrzesany zabijaka, któremu ona dodaje sił (nawet gdy leży na deskach podczas nielegalnych walk). Co ciekawe, film został nieźle wyreżyserowany i świetnie zagrany (brawa dla Marion Cotillard), co tylko... pogarsza sprawę, bo sprawna realizacja obnaża mielizny scenariusza. Krótko mówiąc, im lepiej grają aktorzy, tym bardziej historia, którą odgrywają, wydaje się wydumana i zwyczajnie kiczowata.

Katarzyna Nowakowska o serialach

Gwiazda śmierci

J.J. Abrams został nowym imperatorem rozrywki. Mniej martwią mnie jego rządy na dużym ekranie, ale w serialowym uniwersum – strach jest.

Kiedy piszę mój felietonik, fani „Gwiezdných wojen” łkają, bo nie wierzą, że twórca „Zagubionych” nadaje się na reżysera „VII Epizodu”. Mnie bardziej zmroziły wieści o zamówieniu dwóch nowych seriali markowanych nazwiskiem Abramsa: wraz z Alfonso Cuaronem (!) ma stworzyć futurystyczne SF „Believe” dla NBC, a razem z J.H. Wymanem – futurystyczne SF dla Foxa. Jako reżyser filmów kinowych dowiódł, że potrafi tchnąć nowego ducha w space-operę („Star Trek”) i dobrze się odnajduje w klimacie kina Nowej Przygody („Super 8”), ale jako twórca telewizyjny jest zdecydowanie przedstawicielem ciemnej strony mocy.

OK, przyznaję: przed laty z przyjemnością oglądałam obyczajową „Felicity”, ale „Zagubieni”, „Agentka o stu twarzach”, „Fringe: Na granicy światów”, „Impersonalni” (przedziwne polskie tłumaczenie „Person of Interest”) oraz „Revolution” to dla mnie synonimy telewizyjnej tandety. Abrams, który jest producentem, reżyserem i scenarzystą, lubuje się w efektownych mirażach: spiski, agenci, podróże w czasie, światy równoległe i kosmos – wszystko ładnie opakowane i nakręcone z rozmachem. Problemem są nielogiczności, dziury i zwykłe brednie zawarte w scenariuszu. Abrams nęci nas zawsze jakimś słodkim popkulturowym cukiereczkiem, by w efekcie dać figę z makiem. Przypomnijcie sobie finał „Zagubionych”, o którym nawet najbardziej oddani fani szeptali, że jest „odrobinę nielogiczny”. Jedyna nadzieja, że teraz J.J. zajmie się budowaniem nowej Gwiazdy Śmierci i nie będzie miał czasu na telewizyjne projekty.



„Stanęła naga... Powieść nieskończona”, Władysław Broniewski
Krytyka Polityczna 2013, 34,90 zł

Broniewski obnażony

Lewicował, pił, z bolszewikami się bił i niespełnionym powieściopisarzem był. „Stanęła naga...”, tom nieznanych dotychczas utworów Władysława Broniewskiego, wydanych przez Krytykę Polityczną, w niewielkim stopniu poszerza wiedzę o pocie.

Największe novum stanowi anonsowana przez edytorke Wioletkę Wojdę prozatorska pasja autora „Bagnetu na broń”. Broniewski przez całe życie planował napisanie powieści, a na krótko przed śmiercią podpisał nawet umowę na jej wydanie. Skończyło się na kilku opowiadaniach, anegdotycznych historyjkach z okresu służby wojskowej oraz reportażach, a także sztuce „Proletariat”. Żaden z tych utworów nie dorównuje jego wierszom. Broniewski chciał być prozaikiem, ale był poetą. Przemocną chęć sprawdzenia się w innym gatunku literackim widać w jego zbierającej pasji.

Jak zauważa Wojda, Broniewski był kolekcjonerem liter, pisał na wszystkim, co miał pod ręką, gromadził zaświadczenia, druki urzędowe, kwity, sprawozdania z wojska. Być może miały być budulcem planowanej epopei.

Dokumentalną wartość mają fragmenty wspomnianej powieści, którą chciał opublikować PIW. Miała to być książka autobiograficzna obejmująca tylko dziecięce lata poety i jego wczesną młodość. Niewykluczone, że pominięcie dojrzałego etapu życia podyktowane było obawą o ingerencje cenzorów, wszak w późniejszych latach autor „Bagnetu na broń” walczył w wojnie polsko-bolszewickiej, a w 1940 r. był aresztowany przez NKWD.

Quasi-reportaże z podróży do ZSRR są świadectwem ideologicznego zaszczepienia autora. Broniewski bez mrugnienia okiem przyjmuje i kolportuje tezy o odpowiedzialności zachodnich agentur oraz tzw. kułaków za Wielki Głód na Ukrainie, de facto wywołany przecież na polecenie Stalina. W tomie znalazła się też garść niepublikowanych wierszy, a także kopie rękopisów i rysunków wykonanych przez autora. Broniewski z kanonu jest znacznie lepszy.

→ Cezary Polak



„Niedźwiedź, kot i królik”, Maria Rostocka, Michał Rostocki
Kultura Gniewu 2012, 69 zł

Podróż w stronę mroku

Debiutancki album Marii i Michała Rostockich to niepokojąca opowieść o podążaniu w stronę mroku. Tytułową trójkę bohaterów poznajemy, gdy są w drodze. Ku czemu? Dowiadujemy się stopniowo, podobnie jak o powodach, dla których niedźwiedź, kot i królik trwają w podróży. Każde zwierzę ma swoją słabość, każde ma zarys charakteru, wszystkie zaś łączy to, że są nie po zwierzęcemu, a tak po ludzku okrutne i złe. Tym gorsze, im dalej idą w las. Zaletą tej historii jest otwarta forma pozwalająca interpretować całość na różne sposoby, a także warstwa wizualna. Komiks składa się z dziesiątek obrazów, które z powodzeniem mogłyby funkcjonować jako pojedyncze dzieło. Maria Rostocka potrafi jednak za pomocą świetnych ilustracji poprowadzić zwartą, kreśloną niemal bez słów opowieść do finału. Ten zaś pozostawia czytelnika z mieszanymi uczuciami.

→ Dominika Węclawek



„Miłość z kamienia”, Grażyna Jagielska
Znak 2013, 32,90 zł

Byliśmy żołnierzami

Grażyna Jagielska leczy się ze stresu bojowego, tak jak nasi żołnierze, którzy wracają z Iraku czy Afganistanu. W otoczonym zielenią ośrodku próbuje wyczyścić własne myśli, wymazać ze świadomości odciętą głowę Meraba Kakubawy oraz obrazy innych ofiar konfliktów zbrojnych, którym pośrednio świadkowała. Jagielska sama jest ofiarą, jednak głównym polem jej życiowej walki było i jest małżeństwo z wybitnym reporterem wojennym Wojciechem Jagielskim. Z definicji toksyczne, bo pełne podskórnej przemocy i lęku o drugiego człowieka. „Miłość z kamienia” jest elementem terapii – żona piszącego nagle wybija się na niezależność i zaskakująco celnymi zdaniem rozlicza się z trudną przeszłością. Mroczne historie retro miesza z wtrętami ze współczesności. Jednym z bohaterów książki Jagielska czyni współpacjenta kliniki psychiatrycznej, pana Lucjana, który zabił swojego zięcia. Rozmowy z inteligentnym, pełnym uroku mordercą są kontrapunktem dla opisów małżeńskich perypetii Jagielskich. Dobre, nie tylko jako dokument z cyklu „Trudne sprawy”. Po prostu – dobrze napisane. Wzruszające, ale nie kliwie.

→ Hanna Rydlewska



RAFAŁ OLEŚWICZ/REPORTER



„Dziennik Mistrza i Małgorzaty”, Michaił Bułhakow i Jelena Bułhakow
tłum. Margarita Bartosik, Muza 2013, 54 zł

Bułhakow na torturach

„Jak wiadomo, istnieje jedyny porządny sposób umierania – od broni palnej, ale takowej, niestety, nie posiadam” – notuje Michaił Bułhakow. „Dziennik Mistrza i Małgorzaty” to w dużej mierze rzecz o powolnej agonii pisarza, skazanego przez stalinowskich czynowników na najstraszniejszą śmierć, jaka może spotkać artystę – zakaz publikowania, miazdząca krytyka oraz środowiskowy i społeczny ostracyzm. Wyrok okrutny, a zarazem upiornie ironiczny – Bułhakow popadł w niełaskę Stalina w momencie, gdy po porzuceniu medycyny zaczął odnosić pierwsze sukcesy na niwie literackiej. Zapiski i listy, które wymieniał wraz z żoną Jeleną, pierwowzorem powieściowej Małgorzaty, są świadectwem tamtej ponurej epoki oraz twórczych mąk pisarza. Dowiadujemy się m.in. o tym, że spalił w piecu część pierwszego rękopisu „Konsultanta z kopytami”. Potem uzupełnił tekst i zmienił jego nazwę na „Mistrz i Małgorzata”.

→ Cezary Polak



„Bracia Sisters”, Patrick deWitt
tłum. Paweł Schreiber, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2013, 39,90 zł

Skacowani kowboje

Eli Sisters nie jest człowiekiem swojej epoki. To płatny zabójca, ale marzy mu się mały interes w spokojnym miasteczku u boku kochającej kobiety. Jest sentymentalny i chciałby trochę schudnąć, denerwuje go brat pijak. Na razie jednak jedzie z wiecznie skacowanym bratem Charliem do Kalifornii, aby załatwić pewnego złodzieja. Patrick deWitt krzyżuje świat Dzikiego Zachodu ze współczesną obyczajowością. Koń bohatera jest opisywany jak psujący się samochód, Charlie Sisters nadużywa morfiny, a Eli zachwala swoje nowe odkrycie – pastę i szczotkę do zębów. Wychodzi zabawna powieść grająca ze stereotypami westernu. Poprzez absurdalne poczucie humoru blisko jej do „Prawdziwego męstwa” braci Coenów, a z drugiej strony jest krwawa niczym Tarantino „Django”. Gdy dodamy do tego dialogi pomiędzy bandytami na poziomie „Rodziny Soprano”, to już wiadomo, że rozrywka będzie przednia.

→ Marcin Kube



PIOTR NOWAK

U góry: Jarosław Trybuś – historyk sztuki

U dołu: Grzegorz Piątek – warsawianista, redaktor miesięcznika „Architektura - Murator”



JERZY DUDEK

Dużo mięsa, mało lukru

Nim powiem, o czym jest ta książka, zdradzę, o czym – na szczęście – nie jest. Nie jest to zatem kolejne dzieło, którego główna teza brzmi: polska architektura jest do bani. A dalej: polskie ulice są pełne reklamowych śmieci, polscy projektanci są biedni, a Polacy nie mają gustu. Spragnionych takiego przekazu odsyłam chociażby do dzieła Piotra Sarzyńskiego „Wrzask w przestrzeni”, które zresztą pojawia się w „Lukrze i mięsie” jako wzór „dystynktywnego narzekania”. Najnowsza publikacja wydawnictwa 40000 Malarzy to zapis rozmowy pomiędzy dwoma świetnymi krytykami i popularyzatorami architektury, Grzegorzem Piątkiem i Jarosławem Trybusiem, którą animuje architekt, projektant przestrzeni dla sztuki Marcin Kwietowicz. Temat: polska architektura po upadku komunizmu. Czytelnik otrzymuje żywy, niepozabawiony koktajl wykład, który z jednej strony kipi od ciekawych informacji, z drugiej zaś może być podstawą ciekawych dyskusji toczonych przez odbiorców. Podrzucam kilka mocnych tropów: czy budynek Agory rzeczywiście jest najlepszym dziełem architektonicznym, jakie wzniesiono w Polsce po 1989 r.? Czy Budzyński i wielbiony przez niego postmodernizm w architekturze to synonim kiczu dla pokolenia dzisiejszych trzydziślatków, a jeśli tak, to dlaczego? Czy najlepsza architektura jest o architekturze? Czy vitkAc Kuryłowicza, porównany w książce do wyniosłej modelki, jest genialny formalnie, ale społecznie agresywny? Dlaczego władze niewielkich polskich miast urokliwe ryneczki zamieniają w granitowe sarkofagi? Kim są starchitekci i czemu Zaha Hadid typuje kiepskie projekty do udziału w polskich konkursach? „Lukier i mięso” to niewielka książka, a wątków w niej tyle, ile kościołów zbudowano w Polsce w latach 80. Lektura obowiązkowa.

→ Hanna Rydlewska



„Lukier i mięso”, Grzegorz Piątek i Jarosław Trybuś
Lukier i mięso
40000 Malarzy 2013, 33 zł

Płyty ocenia Angelika Kucińska



Adam Green & Binki Shapiro, „Adam Green & Binki Shapiro”, Decca Records

INDIE POP

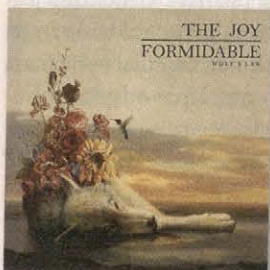
Nierozważny i romantyczna

On jest niegrzecznym wokalistą z Nowego Jorku, ona – miłą twarzą zupełnie przeciętnego alternatywnego zespołu z LA. Kogo ten duet zmienił bardziej, Adama Greena czy Binki Shapiro?

W macierzystym zespole Moldy Peaches był folkowym wariatem, na solowych płytach – wulgarnym Frankiem Sinatrą. U boku Binki Shapiro Adam Green ewidentnie zmiękł, co szczególnie widać po tekstach, w których już sobie nie pozwala ani na absurd, ani na porno. Wspólnie nagrali album pełen niewinnej słodczy popowych piosenek z lat 60. Dyskretnie aranżowanych i romantycznych, z melodiami podobnymi do tych, które dawno temu śpiewała Dusty Springfield. To nie jest wielka płyta, ale łatwo się wciągnąć w te retro-sentymenty. Cytując klasyka: „Piosenki o miłości są takie banalne”. Może. Tyle że w wydaniu tandemu Green – Shapiro również ultraładne.



MATERIAŁ PRASOWY (2)



The Joy Formidable, „Wolf's Law”, Warner

ROCK

Duże piosenki

Kierunek: stadiony. Walińczycy z The Joy Formidable na drugiej płycie podkręcili decybele i apetyty na sławę. Będzie czym straszyc sąsiadów.

Słychać ich z kilku kilometrów. Nie wiadomo, na ile wspólna trasa z Muse, specjalistami od pretensjonalnego hałasu, wpłynęła na podejście do nagrywania, ale słychać, że się nie oszczędzają. Mocarne gitary docierają nieokreślone shoegaze'owe aranżacje i dobrze kontrastują z dziewczęcym głosem Ritzy Bryan. Nie ma rozmywania się w miłośności dzisiejszego indie rocka, są przyzwoite, potężnie brzmiące piosenki. To płyta jednocześnie zbyt jednokierunkowa w swoich oczywistych ambicjach (powtórzę: stadiony), ale i bardzo skuteczna, bo najpewniej zaprowadzi ich do celu (powtórzę: na stadiony). Ktoś wreszcie powinien pozbyć się tych oszołomów z Muse.



RÓŻNE

Nieźła sztuka?

Warszawska galeria wydaje płytę z muzyką młodych krajowych zespołów. Plus za inicjatywę.

Gorzej z utrzymaniem poziomu. Konstytucyjne prawo składanek – są nierówne. Osiem początkujących polskich zespołów zagrało jesienią ubiegłego roku w ramach organizowanej przez galerię Kordegarda akcji „Uruchomucho”. Nie wszystkie były dobre – bez wytykania palcami, ale tak, to o was, Space Buzz (bo że jeszcze łapie się tu Forma, to chyba oczywiste). Średnią podnoszą jak zwykle The Phantoms ze swoją wersją oldschoolowego rock and rolla. Nie odstaje uroczy, dziewczęcy indie pop duetu Dog Whistle. Intryguje Łagodna Pianka i ich fascynacja starym polskim przebojem. Chłopaki, to jest na serio? Mam nadzieję, że tak!



uruchomucho

Różni wykonawcy, „Uruchomucho”, Kordegarda

KUBA DĄBROWSKI

Czarny kot

Reprodukowany na magnesach, kubkach, koszulkach i wszystkich pamiątkach, które można przywieźć z Paryża. Po co tak naprawdę powstał?

Rok 1883, Mulhouse, wschodnia Francja. Theophile Alexandre Steinlen ma 23 lata, pochodzi z Lozanny w Szwajcarii. Studiował teologię, ale rzucił ją narzec swojego prawdziwego powołania – malarstwa. Rodzice nie chcieli utrzymywać artysty darmozjada, wystali go więc na praktykę do fabryki tekstyliów w Mullhaus. Praca jest związana z plastyką, ale absolutnie nie odpowiada ambicjom chłopaka. Przypadkowo poznany, będący akurat przejazdem w mieście François Boccion, jedyny znany malarz z Lozanny, opowiada Steinlenowi o Paryżu. Szczególnie o Montmartrze – maluje przed nim wizję artystycznego fermentu i tanich mieszkań... Namawia chłopaka na wyjazd – Steinlen będzie mógł próbować sił jako malarz, znajdzie zrozumienie dla eksperymentów. Boccion mieszkał w Paryżu przez kilka lat, wrócił do Lozanny w związku z sążeniem dudem brzuszny. Strasznie tęskni za „miastem światła”.

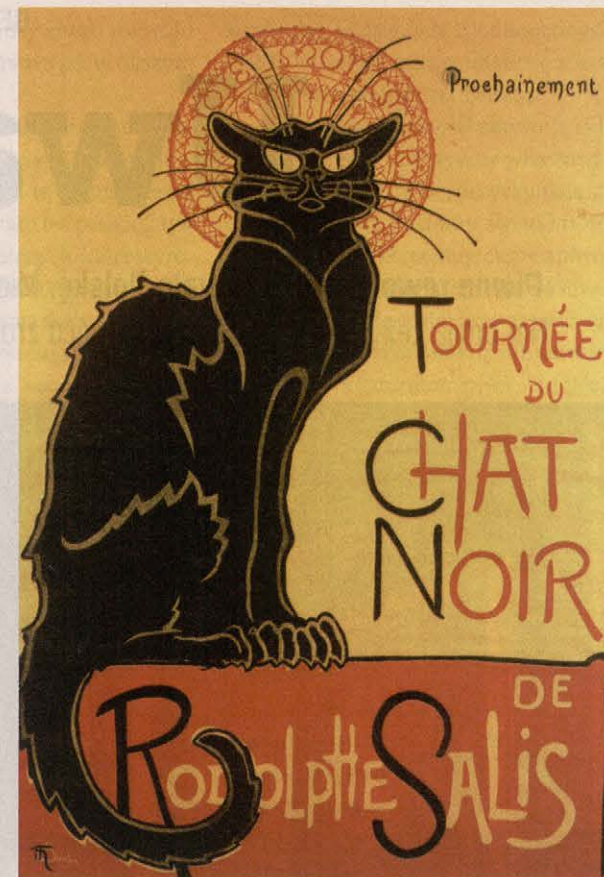
Steinlen dociera do Paryża jeszcze w tym samym roku. Oprócz pięknych budynków, zabytków i ogrodów urzeka go asortyment ulicznych stoisk sprzedających gazety i czasopiśma. Pięknie ilustrowane tytuły jak „Le Mirliton”, cieszą oko jak wizyta w galerii. Steinlen rysuje dużo, przede wszystkim koty. Stwierdza, że zanim przebiję się jako malarz (co może trochę potrwać), spróbuje sił jako ilustrator prasowy. Ze średnimi sukcesami chodzi od redakcji do redakcji za dnia

ize znacznie większymi od knajpy do knajpy wieczorem.

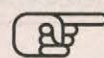
Podczas jednej z wieczornych wycieczek Steinlen trafia do Le Chat Noir. Czarny Kot to najgorętsze miejsce na mapie Paryża. Rzecz absolutnie nowego typu – kabaret. Do piwa i wina (nie najlepszego) występują tancerki, śpiewacy i odgrywane są skecze. Na scenie króluje Theodore Salis – właściciel miejsca – pełni rolę konferansjera, rozsada gości przy stolikach, drwi z nich ze sceny i zasadniczo wprowadza dobrą atmosferę. W Czarnym Kocie zbierają się wszyscy – od proletariuszy przez artystyczną śmietankę po poszukujących weekendowej rozrywki przedsiębiorców. Salis dba, żeby środowiska płynnie się ze sobą mieszały. Steinlen zostaje stałym bywalcem. Znajomości z kabaretu szybko przekładają się na zlecenia z prasy i wystawy na malarskich salonach. Ponadto Szwajcar zaczyna rysować do wydawanego przez Czarnego Kota magazynu humorystycznego i kabaretowych programów, jego ulubione koty pasują tu jak ulał!

Czarny Kot rośnie w siłę i w legendę. Coraz trudniej o wolne stoliki, coraz trudniej Salisowi przebić swoje poprzednie żarty i dokonania. Właściciel nie chce otwierać filii – bez jego obecności i konferansjerki nie były

Kuba Dąbrowski co tydzień pisze o rzeczach, które mogłyby być uznane za sztukę, ale są też częścią codzienności. O zdjęciach, plakatach, reklamach, okładkach książek i płyt, logotypach.



by tym samym. W 1896 r. wpada jednak na pomysł ekspansji – chce zorganizować tournée zespołu kabaretu po teatrach całej Francji. W Paryżu Chat Noir nie musi się reklamować, ale trasę trzeba zapowiedzieć plakatem, ma go wykonać Steinlen. „Zainspirowałem się ulicznym kotem, którego znałem w Lozannie. Pamiętam, jak popatrzyłem kiedyś na niego pod słońce, promienie błyszczały na jego nastroszonym futrze jak aureola, nie musiałem nic wymyślać” – opowiada przyjaciółom genezę powstania plakatu. Afisze w formacie 136 na 96 cm zawisały na murach francuskich miast. Tournée okazuje się sukcesem, o kabarecie robi się głośno w całym kraju. Steinlen dzięki plakatowi wpływa na jeszcze szersze wody. Rok po tournée Salis umiera, kabaret Czarny Kot umiera razem z nim, plakat zaczyna żyć własnym życiem.



BEATA DREWNOWSKA

Uwarzeni

Piwna rewolucja opanowała Polskę. Mieszkania zmienia w minibrowary, a piwnice w składy butelek. Nie omija też koncernów, które w końcu zrozumiały, że chcemy czegoś więcej niż tylko jasnego pełnego.



MARCIN MENTEL

Nic nie zastąpi satysfakcji z własnoręcznie uwarzonego piwa – zapewnia Bartłomiej Szczudły, 33-letni administrator serwerów z Krakowa.

Ostatnio zrobił sweet stouta, ciemne piwo zbożowe z czekoladowo-kawowymi nutami. Teraz przymierza się do English Bittera, najpopularniejszej w angielskich pubach odmiany piwa Ale. Z kolei faworytem Marcina Ostajewskiego z Torunia, 28-letniego doktora Polskiej Akademii Nauk, jest styl AIPA, czyli American India Pale Ale. Piwa te pachną kwiatami, owocami i żywicą, a jednocześnie są gorzkie w smaku. To zasługa dużej ilości amerykańskich odmian chmielu.

Marcin, który swoją pierwszą warkę zrobił pół roku temu, nie jest wyjątkiem. Piwa AIPA są ostatnio popularne wśród polskich piwowarów. Może się to jednak wkrótce zmienić. Nie ma bowiem stylu, który dominowałby na stałe w domowych minibrowarach. Idea amatorskiego warzenia piwa opiera się na eksperymentowaniu i różnorodności. Piwowarzy mają do wyboru niemal 100 stylów piwa, ale część z nich i tak idzie o krok dalej i tworzy autorskie trunki. Tak jak Agnieszka Łopata, konsultantka w zakresie ochrony środowiska. W planach ma piwo na bazie wrzосу z Bieszczad, gdzie mieszka.

Koniec z piwną monotonią

Polskie Stowarzyszenie Piwowarów Domowych szacuje, że regularnie warzeniem piwa zajmuje się w naszym kraju już co najmniej 10 tys. osób. Liczba tych, którzy choć raz spróbowali zrobić własny chmielowy trunek, może być nawet kilka razy wyższa.

– Nie jest wykluczone, że w Polsce mamy obecnie najwięcej domowych piwowarów w Europie – szacuje Andrzej Sadownik, prezes Polskiego Stowarzyszenia Piwowarów Domowych. – Z pewnością jest ich więcej niż w Niemczech czy Czechach, gdzie oferta piw komercyjnych jest względnie bogata i nie było

powodu do tak intensywnego rozwoju domowego piwowarstwa jak w naszym kraju – dodaje.

Światowym centrum amatorskiego browarnictwa są Stany Zjednoczone. Piwo przyrządza tam w domu niemal milion osób. Działa tam też prawie 2 tys. browarów rzemieślniczych, które wyrosły z domowego warzenia. Podobne zjawisko, choć w mniejszej skali, występuje w Danii. W kraju tym znajduje się 125 małych browarów, a jeszcze w 1998 r. było ich zaledwie 13. W większości założyli je domowi piwowarzy.

Rewolucja w USA zaczęła się w latach 70. XX w. Tak jak w Polsce wywołała ją chęć przełamania nudy serwowanej przez globalne koncerny. Przez niemal dwie dekady duże browary zalewały nasz rynek nieróżniącymi się od siebie markami piw jasnych pełnych. Ostatnio jednak Polakom zaczęła przeszkadzać piwna monotonia.

☞ Odkąd w domu nie tylko piecze się chleb i wytwarza wędliny, ale też warzy piwo, koncerny takie jak Żywiec zaczęły urozmaicać swoją nudną dotąd ofertę.

Dla Bartłomieja Szczudły przełomem była wizyta w Belgii, która słynie z jednej z największych ofert piw w Europie.

– W każdym lokalu serwowano co najmniej trzy rodzaje piwa lanego. Byłem oszołomiony mnogością odmian i ogromnymi różnicami w smaku – wspomina.

Piwowarzy postanowili wziąć sprawy w swoje ręce, bo chcieli spróbować stylów, których nie mogli kupić w sklepach. Ich trunki zaczęły trafiać na piwne konkursy, a w Internecie zaroilo się od forów i blogów. Autorem jednego z nich jest Michał Saks, 32-letni domowy piwowar z Trójmiasta. Zanim zafascynowało go piwo, wytwarzał m.in. miody. Podczas

Marcin Ostajewski warzy piwo w stylu AIPA, czyli American India Pale Ale. Jego wyrób pachnie kwiatami i żywicą.

konkursu w Stanach Zjednoczonych w 2010 r. jeden z jego miódów został uznany za najlepszy na świecie.

– Piwowarzy domowi aktywują całą branżę. Kreują pozytywny wizerunek piwa, a co za tym idzie, przyczyniają się do zwiększania poziomu świadomości konsumentów – komentuje ekspert piwny Maciej Choldrych, właściciel firmy Piwoznawcy.pl. – Dzięki nim browary zaczęły się przyglądać niszom konsumenckim oraz różnym gatunkom piwa – dodaje.

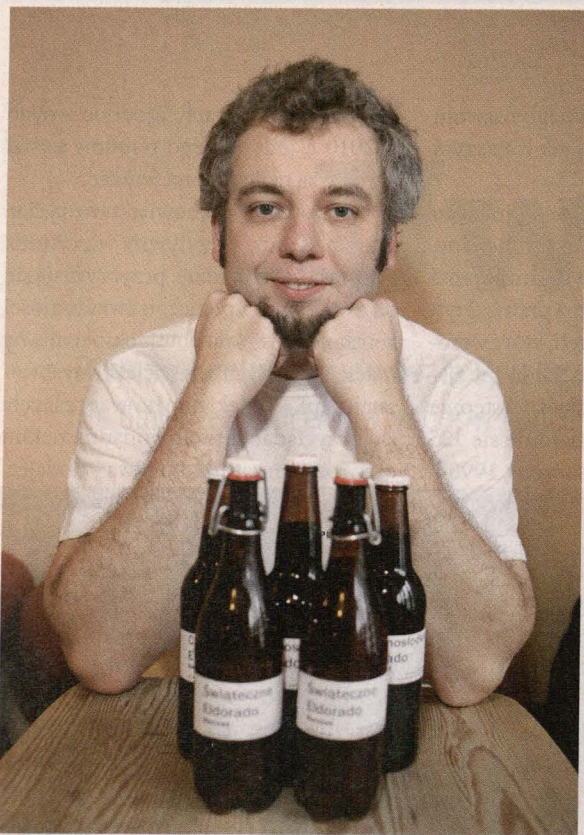
Jako pierwsze na rosnące oczekiwania Polaków wobec piwa zareagowały browary regionalne, jak Ciechan czy Amber. Z letargu zbudziły się już jednak też piwne koncerny. Kompania Piwowarska, Grupa Żywiec oraz Carlsberg Polska zaczęły wprowadzać na rynek piwa niepasteryzowane, smakowe czy pszeniczne. Hitem ubiegłego roku były mieszanki piwa z lemoniadą, tzw. radlery.

– Jeszcze nigdy w historii polskiego piwowarstwa oferta piw nie była tak urozmaicona – komentuje Sebastian Tołwiński, rzecznik prasowy Grupy Żywiec, która oferuje niemal 30 różnych chmielowych trunków. – Dziś konsument w Polsce chce być pozytywnie zaskakiwany. Jest też gotowy zapłacić więcej, jeśli tylko otrzyma unikalną propozycję produktową – dodaje.

W domu jak w browarze

Domowych browarników łączy niechęć do powszechnej komercji i szybkiego tempa życia. Są, jak przyznają, zmęczeni zalewem bylejakości i chodzeniem na skrót. Pociąga ich idea slow food.

– Obserwujemy zwrot w kierunku domowego pieczenia chleba, wędliniarstwa, przetworów czy przydomowych ogródków warzywnych. Ci, którzy nie będą samodzielnie warzyć piwa, coraz częściej będą sięgać po piwa z małych browarów – twierdzi Agnieszka Łopata. Chmielowe trunki Agnieszka wytwarza od 2009 r. Prowadzi też blog „Kuchnia piwowarki Agi” poświęcony łączeniu piwa i potraw, a z piwowarem Tomaszem Rogaczewskim stworzyli projekt



35-letni Andrzej Miler, policjant ze Szczecina, do grona piwowarów dołączył trzy lata temu. Marzy mu się własny browar restauracyjny.

Dla domorosłego piwowara Bartłomieja Szczudły przełomem była wizyta w słynącej z wielkiej piwnej oferty Belgii.

„Piwo i jedzenie, czyli Tomka i Agi bitwa na smaki”.

– On gotuje dania z mięsem, ja po wegetariańsku. Kręcimy filmy, podajemy przepisy, opisujemy zasady łączenia piwa z jedzeniem. Publiczność decyduje, kto wygrał daną bitwę – mówi Agnieszka.

Gdy opowiada, że jest piwowarką, ludzie zazwyczaj reagują pozytywnie. – Na pokazach warzenia i degustacjach, które czasami prowadzę, czuję, że zarazam pasją i zaszczepiam zainteresowanie dobrym piwem – przyznaje Agnieszka. – Paru uczestników nawet mi się oświadczyło. Nie byłoby pewnie takiego entuzjazmu, gdybym szydełkowała albo robiła biżuterię, bo to jest takie normalne, kobiece – dodaje ze śmiechem.

Kolejne etapy warzenia piwa w domu nie różnią się od tych z dużych browarów. Agnieszka Łopata zwraca jednak uwagę, że warzelnie przemysłowe idą często na skróty, wykorzystują tańszy surowiec i różne dodatki. – Wszystko jest bardziej zautomatyzowane, czynnik ludzki ma mniejsze znaczenie, tak-

że w rozumieniu pasji i sztuki, jaką jest piwowarstwo – mówi.

– Jeżeli raz spróbuje się piwa uwarzonego przez domowego piwowara, to trudno powrócić do tych konserwnych – zapewnia Marcin Ostajewski.

Domowi piwowarzy swoje miniaturowe warzelnie urządzają zazwyczaj w kuchniach. Niektórzy w garażach czy domkach na działkach.

– Przygotowanie domowego piwa jest jak gotowanie zupy – żartuje Marcin Ostajewski. Nie da się go zrobić bez dużego, 30–40-litrowego garnka pełniącego rolę kadzi. Samo warzenie trwa od 5 do nawet 10 godzin. Pierwszy etap to zacieranie słoju w ciepłej wodzie. To właśnie wtedy w powietrzu unosi się słodkawy zapach, charakterystyczny dla warzenia piwa.

Po pewnym czasie powstaje zacier, czyli baza piwa. Można kupić także gotowe ekstrakty. Dostęp do nich, tak jak do pozostałych surowców i sprzętu do warzenia, nie stanowi dziś w Polsce problemu. Oferują je liczne sklepy internetowe.

Przefiltrowany zacier, czyli brzeczka, gotuje się z chmielem. Nadaje on piwu goryczkę, wnosi smak i aromat. Następnie do brzeczki dodaje się drożdże i przelewa ją do fermentora.

Gotowe piwo trafia do butelek. Z jednej uwarzonej warki powstaje ich zazwyczaj 40–50. Marcin Ostajewski używa tzw. krachli, czyli butelek z korkiem ceramicznym na sprężynie. Agnieszka Łopata kupuje zwykle butelki po piwie w sklepach po cenie kaucji. Taki typ opakowań wymaga zakupu kapsli i domowej kapslownicy.

Piwo pachnące śliwką

Warzenie piwa uczy cierpliwości. – Teoretycznie po zamknięciu w butelce piwo jest gotowe do spożycia po dwóch, trzech tygodniach. Jednak każdy trunek mocno zyskuje w czasie leżakowania, a na przykład portery powinny czekać w butelce co najmniej rok – wyjaśnia Marcin Ostajewski.

Piwa uwarzone w domu nie służą gaszeniu pragnienia. Marcin nie pija własnych piw w samotności. Zazwyczaj robi

to ze znajomymi, gdy chce im pokazać efekty pracy. Własne piwo otwiera także, aby uczcić ważne wydarzenia. Ale nawet wówczas wypija je z dziewczyną lub rodziną.

Niekiedy w wyniku domowych eksperymentów powstaje coś, co nie mieści się w żadnym ze stylów piwnych, ale mimo wszystko jest smaczne. Ale bywa i tak, że piwo jest zbyt kwaśne, aby je przelknąć.

– Nie da się ukryć, że nieudane piwo to bardzo duże rozczarowanie. Pół biedy, gdy zdążymy się zorientować, że warka jest zepsuta jeszcze w fermentorze. Gorzej, gdy zdążymy nalać do butelek i dopiero po dwóch miesiącach okazuje się, że piwo skwaśniało – mówi Bartłomiej Szczudło.

Pionierskie dzieła mogą być także strzałem w dziesiątkę. Tak jak rauchbock, treściwe zimowe piwo pachnące suszoną śliwką, zrobione przez Andrzeja Milera, 35-letniego policjanta ze Szczecina. Do grona domowych piwowarów dołączył trzy lata temu.

– Zdecydowałem się zrobić rauchbocka, ponieważ znałem go tylko z literatury i sam musiałem stworzyć od zera recepturę – przyznaje Andrzej.

Piwo wygrało ubiegłoroczną edycję konkursu piw domowych organizowanego od kilku lat przez Grupę Żywiec podczas festiwalu Birolia. W nagrodę Żywiec wyprodukował je w swoim browarze w Cieszynie. Niemal 100 tysięcy butelek Brackiego Rauchbocka trafiło na rynek w grudniu ubiegłego roku. Piwo sprzedawało się znakomicie, także w Szczecinie, z czego Andrzej Miler jest najbardziej dumny.

Marzenie o własnej warzelni

Andrzejowi Milerowi marzy się własny browar restauracyjny, który serwuje gościom firmowe piwa. – Nie ma nic lepszego niż zarabianie pieniędzy na robieniu czegoś, co jest pasją – uważa.

Głównym piwowarem restauracyjnego browaru Brovarnia Gdańsk został Michał Saks. – Piwa, które tam sprzedajemy, to efekt moich eksperymentów z surow-

cami i metodami produkcji, które robię w domu – mówi Michał.

Domowi piwowarzy marzą też o własnych browarach. Wkrótce otworzy go Agnieszka Łopata. Coraz bliżsi zbudowania rzemieślniczej warzelni są też autorzy projektu AleBrowar, który wyróżli z domowego warzenia piwa. Jednym z nich jest Bartek Napieraj, 32-letni prawnik z Wrocławia.

Na razie AleBrowar jest browarem kontraktowym. – Receptury piw opracowujemy sami, eksperymentując w domach. A następnie zlecamy ich przygotowanie regionalnej wytwórni w Gościszewie. Sami też wymyśliłyśmy nazwy i zajmujemy się dystrybucją – wyjaśnia Bartek Napieraj. – Planujemy jednak jeszcze w tym roku zbudować własny browar na Pomorzu – dodaje.

Na początku tego roku Bartek rzucił pracę w kancelarii, aby całkowicie poświęcić się warzeniu piwa. – Chcę robić coś, za co będę w pełni odpowiedzialny i pod czym bez wstydu będę się mógł podpisać moim nazwiskiem – zapewnia Napieraj. ☞

Agnieszka Łopata, konsultantka ds. ochrony środowiska, ma w planach warzenie piwa na bazie wrzoso z Bieszczad, gdzie mieszka.



MARIANNA SASKA

Cyberwojna wylewa się na ulice

Gry, przez które godzinami tkwiłmy przed monitorem komputera, są już passé. Nadszedł czas **miejskich podchodów**. Tropów szukamy na smartfonach.

Umówiłam się z nim na moście. Nie wiem, jak wygląda, znam tylko jego imię operacyjne: Babbitt. GPS pokazuje, że jestem prawie na miejscu. Jest już ciemno. Mżawka. Na ulicach nie ma prawie nikogo. Po przeciwnej stronie skrzyżowania, oparty o balustradę mostka, stoi około trzydziestoletni mężczyzna w kaszkiecie, płaszczu i z papierosem w ręku. Wygląda jak z filmu o francuskim ruchu oporu. Nonszalancko spogląda na telefon, potem na mnie. Podchodzę. – Resistance? – zagaduję. – Agent Adela? – pyta Babbitt z lekko zagranicznym akcentem. – Nie ma czasu do stracenia, przejmujemy ten portal!

Świat to za mało

Uzbrojona w telefon komórkowy przez cały weekend biegam po mieście. Kiedy tylko dostałam zaproszenie do gry „Ingress”, podekscytowana ruszyłam na podbój Edynburga. Ingress to stworzona przez Google’a gra opierająca się na tzw. augmented reality, czyli na łączeniu wirtualnej fikcji ze światem rzeczywistym.

To propozycja dla nowej generacji graczy, którzy nie chcą już siedzieć przy Playstation i wcinać pizzy. Muszą ruszyć się z domu, poznać miasto i no-

wych ludzi. To największa zaleta tej nowej mody: można odkryć to, czego nie widać z wygodnej kanapy.

Prekursorem gier typu augmented reality jest „Parallel Kingdom”, który na mapę naszego świata nakłada magiczną rzeczywistość. Spacerujesz po mieście, a twój telefon informuje cię na przykład, że na drodze stanął ci potwór, z którym musisz walczyć. Możesz się też natknąć się na innego gracza i zagrać razem z nim.

W 2012 r. powstała z kolei polska gra „Urban Troops”, stworzona przez krakowskie studio Future Reality Games. Gra również wymaga wyjścia z domu i interakcji z innymi graczami. „Urban Troops” to połączenie zabaw typu paintball czy Air Soft Gun, w których uczestnicy rzeczywiście strzelają do siebie z replik broni i strzelanek komputerowych typu „Call of Duty” czy „Counter Strike”. To, czy wygrasz, zależy od twojej kondycji fizycznej, zręczności i liczby znajomych. Strzelasz na niby, używając smartfona.

Wejść do gry

„Ingress”, podobnie jak „Parallel Kingdom” i „Urban Troops”, jest zakotwiczony w rzeczywistości na dwa sposoby: korzysta z map Google’a i lokalizuje

gracza według GPS-a w jego telefonie. Fabuła jest dość prosta. W naszym świecie zaczęły pojawiać się portale, bramy, przez które przenika dziwna substancja znana jako Exotic Matter (Egzotyczna Materia). Jest ona związana z obecnością w naszym wymiarze innej rasy, nazywanej Shapers (Kształtujący), która wywiera wpływ na znaną nam rzeczywistość. Egzotyczna Materia i portale nie są widoczne gołym okiem, ale można je wykryć i wykorzystać, używając technologii, która została umieszczona w twoim smartfonie. Alternatywną rzeczywistość odkrywaj więc za pomocą telefonu.

Żeby zagrać w „Ingress”, trzeba otrzymać zaproszenie. Gra nadal znaj-

duje się w fazie testów. Zaproszenie można dostać od innych graczy lub poprosić o nie na stronie ingress.com (czekałam na nie tydzień). Na razie gra jest dostępna tylko w systemie Android, ale ma również powstać wersja na urządzenia mobilne Apple’a.

Zasady są proste. Po przejściu krótkiego szkolenia masz do wyboru rolę agenta jednej z dwóch frakcji: Enlightened, czyli Oświeconych, i Resistance, czyli Oporu. Oświeceni uważają, że obecność Shaperów korzystnie wpłynie na rozwój ludzkości. Przedstawiciele Resistance są odmiennego zdania i usiłują uchronić ludzkość przed wpływem obcej rasy. Aktualnie, w skali świata, przewagę ma Resistance.

Po wyborze frakcji ruszasz w teren. Twoim zadaniem jest zdobywanie, utrzymywanie i łączenie portali, czyli czegoś w rodzaju bram między wymiarami. Znajdują się one głównie w miejscach związanych ze sztuką i są powiązane z jakimś punktem orientacyjnym: z pomnikiem, muzeum, historycznym budynkiem. Sieć portali cały czas się rozszerza, ponieważ uczestnicy gry sami mogą zgłaszać lokalizacje, które według nich nadają się na międzywymiarowe bramy. W ten sposób powiększa się też zasób zdjęć, które Google może wykorzystać w innych swoich produktach takich jak Google Maps czy Google Now.

Przy okazji pojawienia się kolejnej nowości Google’a coraz więcej mówi

się o innym wynalazku tej firmy – okularach służących właśnie do poszerzenia rzeczywistości i zdobywania na jej temat dodatkowych informacji. Kluczowe w tym projekcie technologicznego giganta są dokładne dane na temat otaczającego nas świata. Google’owi niewątpliwie przydadzą się informacje dostarczane przez ingressowców: dokąd chodzą, gdzie zaglądają w drodze do pracy, jakie miejsca polecają w swojej okolicy. Dlatego nie wszystkim użytkownikom Internetu nowa gra się podoba.

– „Ingress” wydaje się kolejną zamaskowaną strategią zdobywania danych. Google, prosząc użytkowników o tworzenie nowych portali, zdobę-

W grze „Ingress” zdobywa się, utrzymuje i łączy portale, czyli niewidoczne gołym okiem bramy między wymiarami, znajdujące się głównie w miejscach związanych ze sztuką. Punktem orientacyjnym mogą być pomniki i muzea.



dzie całą bazę geoznaczonych zdjęć bez potrzeby zapuszczania się w odległe miejsca – ostrzega Jessica Roy z serwisu Betabeat.

Wyścig do bram

Po kilku tygodniach od zgłoszenia, jeśli zostaną zaakceptowane, twoje portale pojawią się na mapie świata. „Powstały nowe portale, przejmijcie je, jeśli tylko możecie!” – padła informacja na lokalnym czacie mojej frakcji. Wybiegam z domu, okazja do zdobycia nowych bram nie zdarza się codziennie! Kilku agentów wychodzi w teren, ci, którzy muszą siedzieć w pracy, monitorują nasze działania na komputerach i wysyłają wskazówki. Podaję swoją pozycję: „Przechodzę przez most, idę w kierunku hotelu, czy ten portal jest nadal do wzięcia?” – pytam innych graczy. „Już go przejęliśmy, idź do katedry” – dostaję polecenie od kogoś z mojej frakcji. Kościół znajduje się 500 m ode mnie, biegnę. Telefon trzymam pod kurtką, leje deszcz. Zdążyłam! Byłam pierwsza na miejscu i przejęłam swój pierwszy portal!

Po udanej akcji idę napić się czegoś ciepłego. Wielu agentów jest w terenie. Informuję ich, gdzie jestem, i obserwuję wejście do kawiarni. Wchodzi wysoki facet, staje w drzwiach, notuje coś w telefonie. Dostaję wiadomość: „Adela, gdzie jesteś, właśnie weszliśmy do środka”. Nie rozmawiamy zbyt długo, koordynujemy akcję i rozchodzimy się, każde w swoim kierunku. Turysta przy stoliku obok dziwnie przygląda się naszej podekscytowanej trójce.

Następnego dnia wychodzę odwiedzić tylko dwa portale, które znajdują się w okolicy: cmentarz i mostek. Do domu wracam po pięciu godzinach, kiedy wysiada mi bateria w telefonie. Nawet nie czuję zmęczenia! Bilans weekendu: sześciu nowych znajomych, bolące od biegania nogi i nowy poziom w grze.

Agent w niebezpieczeństwie

Spacerując po edynburskiej starówce, na spokojnie odwiedzam portale. Na-

gle orientuję się, że jeden z nich słabnie – gracz z przeciwnej drużyny wybrał na telefonie opcję „atak”. Wiem to, ponieważ na smartfonie widzę, jak portal traci moc. Szybko chowam się za pomnikiem, doładowuję miejsce energią, na ile mogę. Wtedy gra się zawiesza! Jak to zazwyczaj bywa – w najgorszym momencie. Resetuję telefon i obserwuję otoczenie. Spostrzegam wroga. Chudy, wysoki, w okularach i zielonej przeciwdeszczowej kurtce. Nie ujawniam się. Udaje mi się połączyć z „Ingressem”, nadaję wiadomość z prośbą o wysłanie posiłków. Za późno... Na moich oczach kolor portalu zmienił się z niebieskiego na zielony! Oświecony rozgląda się, odchodzi. Chyba mnie nie zauważył. Wiadomość do frakcji: „Nibble zdobył pomnik. Idę za nim, zmierza w kierunku galerii”. Teraz czuję się jak w filmie szpiegowskim. Utrzymuję dystans ok. 20 m. On atakuje portale, ja je doładowuję. Podchody trwają.

Zdarza się, że graczy puszczają nerwy i w złości wyrwa innym telefon. Google zabrania podobnych zachowań: „Używaj zdrowego rozsądku, zostaw innych w spokoju, jeśli nie chcą z tobą rozmawiać” – czytamy w przewodniku do gry.



Fakt, że spotykam się w ciemnych uliczkach z nieznanymi, nasuwa oczywiste pytanie: czy to bezpieczne? Niezbyt. Na razie w „Ingress” grają głównie geeki, miłośnicy gier, na pierwszy rzut oka niegroźne towarzystwo.



Ale niedługo gra będzie otwarta dla wszystkich i mnóstwo ludzi zacznie biegać po mieście ze swoimi drogimi telefonami, które mogą stanowić łatwy łup. A portale są często ulokowane w odległych i ciemnych miejscach.

A co jeśli komuś puszczą nerwy i w złości wyrwie ci telefon, bo atakujesz jego portal? Podobno takie historie już się zdarzały. Google oczywiście zabrania podobnych zachowań. „Osoby postronne mogą być zainteresowa-

W miejskich podchodach trzeba być czujnym. Gracze z przeciwnej drużyny mogą na telefonie wybrać opcję ataku na twój portal.

ne tym, co robisz. Niektórzy gracze mogą chcieć wejść z tobą w interakcję, inni nie. Używaj zdrowego rozsądku, zostaw innych graczy w spokoju, jeśli nie chcą z tobą rozmawiać” – czytamy w przewodniku do gry.

Prywatność to inna kwestia. Google oficjalnie zabrania ujawniania prawdziwych tożsamości agentów, jednak większość graczy do komunikacji ze swoją frakcją używa sieci społecznościowej Google'a, a tam w użyciu są w większości prawdziwe imiona i nazwiska uczestników.

Osobiście jak dotąd spotkałam się z jednym niebezpieczeństwem: ruch uliczny. Gra jest bardzo absorbująca, już raz prawie wpadłam pod samochód, bo gapiłam się w ekran zamiast na ulicę!

Choć zupełnie siada mi już bateria, w drodze powrotnej do domu udaje mi się utrzymać jeszcze jeden portal. „Dobra robota, Adela!” – chwala mnie na czacie chłopaki z drużyny (na razie jestem jedyną aktywnie działającą dziewczyną w naszej frakcji i na naszym terytorium). Wracam do domu i sprawdzam na dużej mapie, jak prowadzi się frakcji w skali globalnej. W końcu nasze małe codzienne bitwy są tylko fragmentem cyberwojny, która rozgrywa się na całym świecie.

ROZMAWIAJĄ BARTOSIAK & KLINKE

Spowiedź galernika

Z wykształcenia jest muzealnikiem. – Gdybym miał pracować w tym zawodzie, po dwóch tygodniach sam stałbym się eksponatem – mówi **Adam Darski „Nergal”**, wspominając początki zawodowej kariery.



ADAM DARSKI „NERGAL”

36 lat, muzyk, kompozytor, producent muzyczny, założyciel i lider deathmetalowej grupy Behemoth. W 2010 r. wraz ze swoim zespołem otrzymał za „Evangelion” Fryderyka – nagrodę polskiego przemysłu fonograficznego – w kategorii Album Roku Metal.

Jak zarobiłeś pierwsze pieniądze?

Na początku podstawówki kolegowaliśmy się z gościem o imieniu Tibor. Był inteligentnym facetem, ale przy okazji klasycznym osiedlowym chuliganem. Chłopakiem, który miał tak zwany zły wpływ na wszystkich dokoła. Na mnie również. Kiedyś niczym Frodo Baggins i Sam Gamgee ruszyliśmy w świat. Pojechaliśmy kolejką do Gdańska, a potem autobusem na wieś, daleko od miasta. Tibor twierdził, że jak zbierzemy kobałkę truskawek, to będziemy bogaci. Po paru godzinach mieliśmy pół kobałki, a ochoty i siły, żeby tyrać dalej w polu, zero. Poszliśmy się rozliczyć do skupu i zobaczyliśmy, że otaczają nas niezliczone liczby wypełnionych po brzegi kobałek. Podkraśliśmy cudze zbiory i uzupełniliśmy nasze braki. W międzyczasie zaniepokojona Irena, moja mama, postawiła na nogi wszystkich sąsiadów, nauczycieli i moich kolegów, bo myślała, że ktoś mnie porwał. A my, nie do końca uczciwie zarobiwszy parę złotych, wróciliśmy do domu.

Złe dobre początki...

Na przełomie lat 80. i 90. już uczciwie handlowałem swoimi heavymetalowymi kasetami. Nawet w siarczyste mrozy, przy gęsto zacinającym śniegu, rozstawialiśmy z kumplem stolik między panią sprzedającą buraki a panią zeniącą sweterki z angory. Płaciliśmy porządkowemu za użytkowanie jednego metra kwadratowego, odpalaliśmy Deicide na magnetofonie i czekaliśmy na klientów. W ten sposób pozbywałem się własnej kolekcji. To było takie socjalistyczne Allegro (śmiech). Głównie jednak gadaliśmy o muzyce, czasami ktoś otworzył piwo – powstał specyficzny punkt towarzysko-usługowy.

Kto by pomyślał, że dobrze zapowiadający się handlowiec po chwili zacznie karierę w przemyśle wykładzinowym.

I dywanowym! Matka narzeczonej była właścicielką hangaru, w którym, ubrany w czerwony surducik, handlowałem dywanami i ciąłem wykładzinę.

Pracowałem tam, rzecz jasna, na specjalnych warunkach. Od początku miałem fory, a ponieważ nie lubiłem tej roboty, to migałem się, jak mogłem. Głównie chodziłem po budynku, nuciłem różne riffy i szukałem rur, na których mogłem się podciągać. Męczyłem się w tej robocie potwornie. Jeździłem wtedy czerwonym „szerszeniem”, czyli dużym fiatem, którego wykorzystywałem do transportu dywanów. Trochę na boku dogadywałem się z klientami i po 18 przewoziłem im ich skarby. Przez dwa tygodnie pracy w hangarze zarobiłem 1400 zł. To było naprawdę coś!

A ile dostawałeś za ustawianie butelek z alkoholem w hipermarkecie?

Pracowałem tam już jako student dzięki firmie pośredniczącej. Z tego, co pamiętam, miałem stałą stawkę: 4 złote za godzinę. W markecie zasuwałem między 22 a 6 rano. Świetna robota, bo można się było potwornie opierniczać. Poza układaniem na półkach nosiłem też meble i robiłem przeprowadzki. Byłem klasycznym fizolem. Galernikiem z wiosem w łapie.

I tak dopłynąłeś aż do Madrytu...

To był już pełen brutal. Galera galer. Bardziej fizycznie pracować się już chyba nie da. Przez dwa miesiące wakacji, w 40-stopniowym upale, waliłem kilofem w żelbetowe ściany i nosiłem 20-kilogramowe worki gruzu. Po pewnym czasie na szczęście awansowałem. Zacząłem fugować, kłaść kafle i zakładać futryny. Nie powiem, trochę fuszerek tam odwaliłem (śmiech).

Co kupiłeś za hiszpańską monetę?

Podwójny album koncertowy W.A.S.P. „Double Life Assassins”, wysokie skórzane buty, skórzane spodnie i, co najważniejsze, gitarę Jackson V. Do Polski wróciłem bez grosza. Nie miałem nawet kasy, żeby kupić bilet kolejowy z Warszawy do Gdańska. Cała ta madrycka fucha określiła mnie życiowo. Już wtedy wszystko postawiłem na jedną kartę.

Rozumiemy, że gitara do dziś wisi na ścianie jako trofeum.

A gdzie tam! Sprzedałem ją, żeby kupić lepszy instrument. To nie była gitara, tylko topór, którym można było ścinać drzewa albo strzelać z łuku. Grała na słowo honoru, ale wyglądała morderczo! Była mokrym snem każdego polskiego deathmetalowca. Ale na pewno nie wiosłem na przyzwitym poziomie.

Pracowałeś kiedyś w wyuczonym zawodzie muzealnika?

Odbębniłem tylko praktyki. Gdybym miał pracować w tym zawodzie, po dwóch tygodniach sam stałbym się eksponatem.

A zarobiłeś coś swoim „radiowo-pornograficznym głosem”?

Kiedyś użyczyłem głosu jednemu ze złych bohaterów w grze komputerowej „Risen 2”. To była świetna i dobrze płatna zabawa. Cały czas pojawiają się też propozycje, żebym nagrał audiobooka swojej książki „Spowiedź heretyka”. Zwłaszcza żeńska część publiczności za tym głosuje.

Czy opowiadanie o sobie na potrzeby wywiadu rzeki było ciężką robotą?

Nie, bo jestem gawędziarzem z natury. Poza tym miałem świetnych słuchaczy, a zarazem dziennikarzy – moich przyjaciół, których lubię i szanuję. Kiedy dostałem do ręki pierwszy egzemplarz z drukarni, byłem cholernie dumny. Przygody, o których wam teraz opowiadam, dość dokładnie opisałem w tej książce. Dziś dochodzę do wniosku, że wszystkie moje joby były zbiegami okoliczności. Nigdzie nie czułem się dobrze, do niczego się nie nadawałem, wszędzie pracowałem na odpiardol, a najgorzej znosiłem to, że ktoś każał mi coś robić. Jakakolwiek forma zwierchnictwa była dla mnie nie do przyjęcia. Od zawsze to ja chciałem rządzić. Urodzeni szefowie tak mają (śmiech).

ROZMAITOŚCI



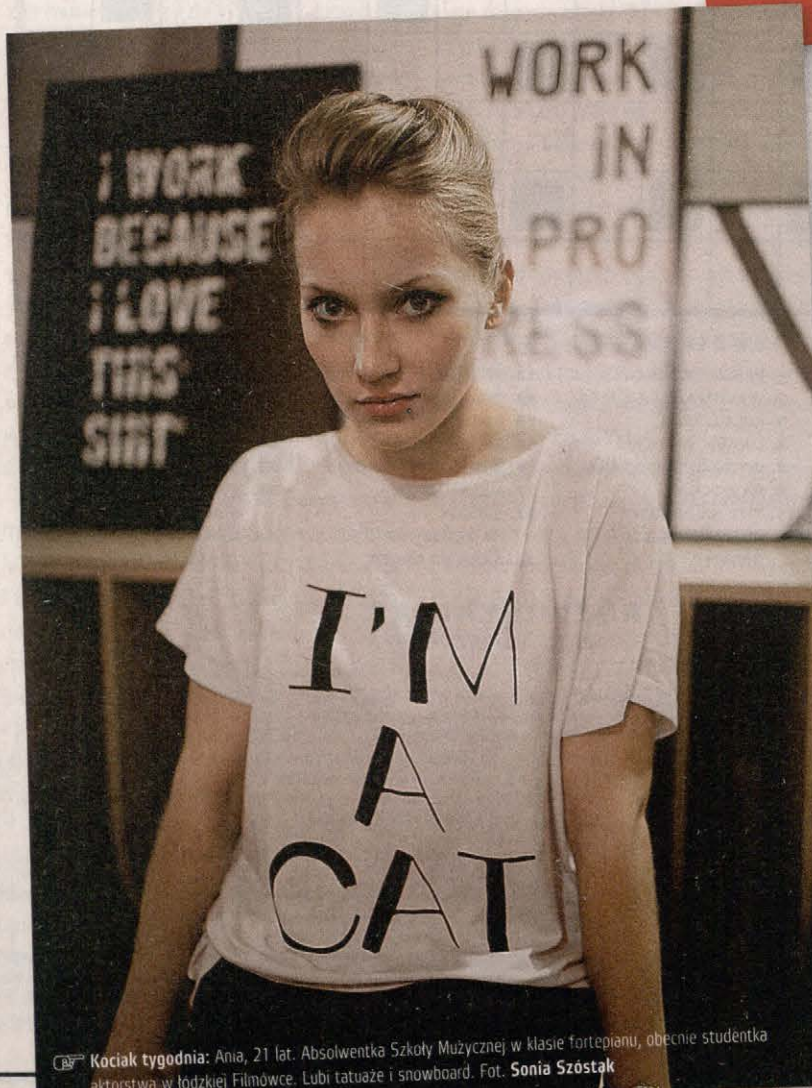
Szarmantnie ssaki

Czy dżentelmen ruga czy mruga?

By zbesztać fajtlapę lub dźgnąć aroganta, kusi każdego, kto spodziewał się kunsztownej obsługi, a przyszło mu się zetknąć z ludzką marnością. Jeśli dżentelmen został źle obsłużony w punkcie gastronomicznym lub lokalu rozrywkowym, nie natęży się wewnętrznie ani nie koncytuje, jak bez mrugnięcia okiem majtnąć w kogoś talerzem. Nie urządza sensacyjek, bo i tak ich wszędzie pełno. Gdy dostał nie to, czego się spodziewał, zamiast rugać kelnera, wyjawia spokojnie, co mu nie leży, i prosi o to, czego chciał. Dopiero w przypadku, gdy kelner za nic ma jego sugestie, dżentelmen może zawezwać zwierzchnika, ale nie po to, by dać upust wszystkim nieszczęsny emocjom minionego dnia, lecz po to, by podobny dyskomfort nie przydarzył się innym gościom. Jeśli lokal nie rokuje poprawy, dżentelmen nie robi z siebie masochisty i omija go w przyszłości, delektując się myślą, ile to innych ma przed sobą. → Ula Ryciak



**Kolejność rzeczy:
sentymet,
temperament,
moment,
lament,
aliment.**
Julian Tuwim



Kociak tygodnia: Ania, 21 lat. Absolwentka Szkoły Muzycznej w klasie fortepianu, obecnie studentka aktorstwa w łódzkiej Filmówce. Lubi tatuaże i snowboard. Fot. **Sonia Szostak**



ekonomia24.pl

wszystko jest ekonomią

Płaca cukiernika 1581 zł/miesiąc



Drożdże 1,25 zł/100g

53.17 + 0.00 (0.00%)
52.75 - 0.42 (-0.79%)

Cukier 4,41 zł/kg

↓ - 3,5%



Mąka 2,04 zł/kg



Ekonomiczna wiedza procentuje

Podejmując biznesowe decyzje, kieruj się zdaniem ekspertów.
Wejdź na serwis ekonomia24.pl i skorzystaj z wiedzy
doświadczonych i uznanych dziennikarzy „Rzeczpospolitej”.

Mały biznes w małych miejscowościach

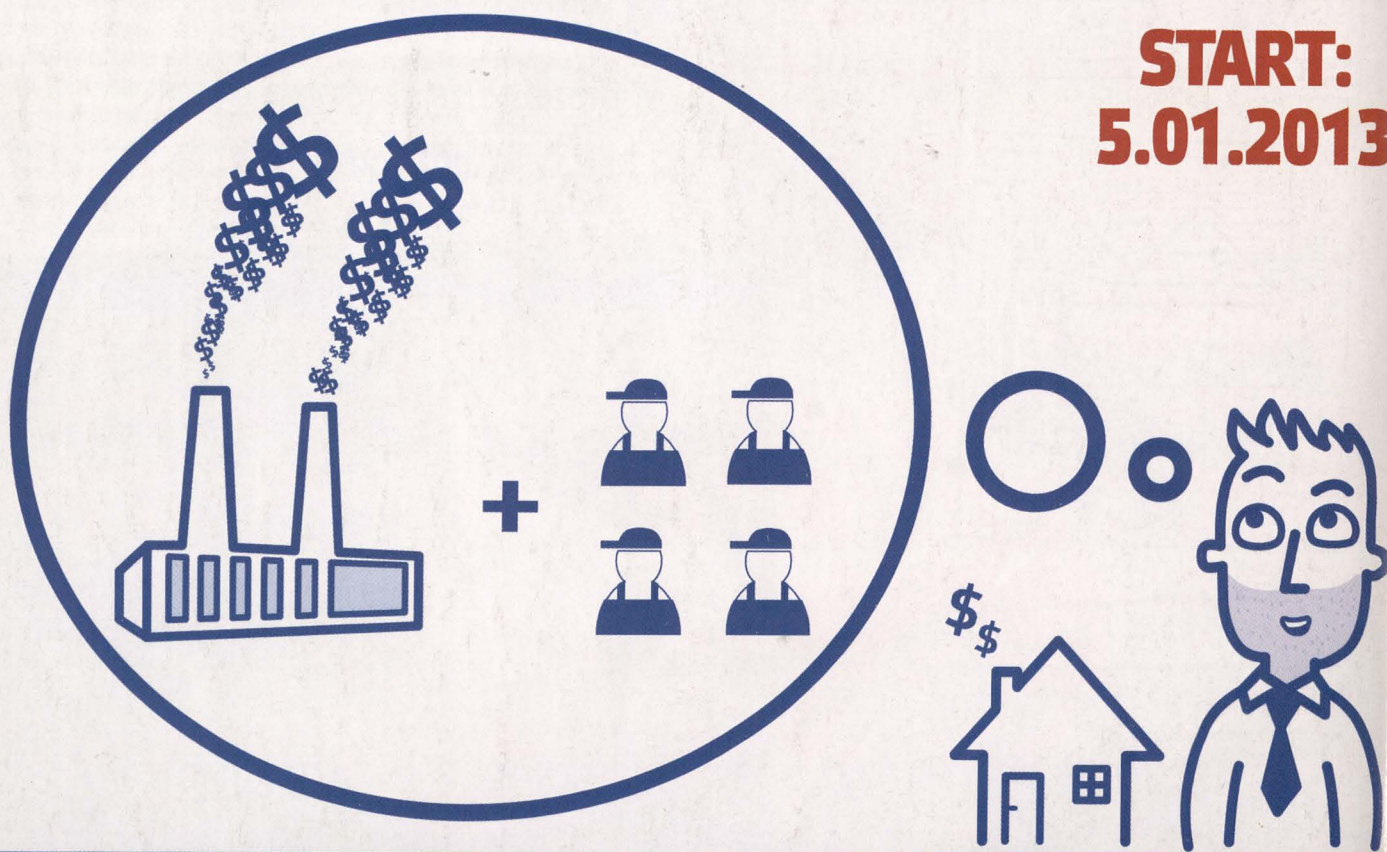
Konkurs na najlepszy Biznes Plan

Mieszkaś w miejscowości do 50 tys. mieszkańców, jesteś przedsiębiorczy i masz 20-35 lat?

Potrzebujesz funduszy na rozwinięcie swoich pomysłów, chcesz być własnym szefem?

Stwórz własny biznes i wygraj **50 000 zł**

**START:
5.01.2013**



www.rp.pl/malybiznes


Bank Pocztowy

 **RZECZPOSPOLITA**

ATKearney

 **IBS**
Instytut Badań Strukturalnych


LEWIATAN

NZS

Studenckie Forum
■ Business Centre **Club**

 **PARKIET**

**PRZE
KROJ**